



**„W” JAK  
WŁAMYWACZ**

**Sue Grafton**

Prószyński i S-ka



Kolejne ekscytujące dochodzenie Kinsey Millhone zaczęło się zupełnie zwyczajnie. Beverly Danziger, piękna i bogata czterdziestolatka, zleciła jej odszukanie swojej siostry Elaine. Ostatnio widziano ją w Santa Teresa; ubrana w futro z rysiów za kilkanaście tysięcy dolarów, wybierała się na Florydę. Nigdy tam jednak nie dotarła.

Cena 16,60 zł

Informacje o naszych książkach  
można znaleźć na stronie  
<http://www.proszynski.com.pl>



**Sue Grafton**

**„W” JAK  
WŁAMYWACZ**

**PRZEŁOŻYŁA**

**Agnieszka Ciepłowska**

**Warszawa 1998**

Tytuł oryginału:  
„B”is for Burglar

Copyright© 1985 by Sue Grafton Ali rights reserved

Ilustracja na okładce: Ryszard Ronowski

Redaktor prowadzący serię: Wiesława Karaczewska

Opracowanie merytoryczne: Teresa Walczak

Redaktor techniczny: Barbara Wójcik

Korekta:  
Wiesława Jarych

Łamanie: Elżbieta Rosińska

**ISBN 83-7180-938-7**

Wydawca:  
Prószyński i S-ka SA  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:  
Opolskie Zakłady Graficzne SA  
45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Stevenowi, który potrafi przejrzeć mnie na wylot.

Autorka chciałaby wyrazić swoją wdzięczność za bezcenną pomoc, jakiej udzieliły jej następujące osoby: Steven Humphrey, John Carroll, Brenda Harman z D.D.S., Billie Moore Squires, De De LaFond, William Fezler z Ph.D., Sydney Baumgartner, Frank E. Sinca-vage, Milton Weintraub, Jay Schmidt, Judy Cooley, Bill Pronzini i Marcia Muller oraz Joe Driscoll z Driscoll and Associates Investigations z Columbus w Ohio.

Zawsze gdy jest już po wszystkim, chciałoby się obsztorcować samego siebie za ślepotę. „Przecież to było jasne jak słońce” - oto świetna propozycja tematu lekcji często przerabianej przez prywatnych detektywów.

Nazywam się Kinsey Millhone.

Większość moich sprawozdań ma identyczny początek. Piszę najpierw, kim jestem i czym się zajmuję, jakby te podstawowe dane miały nadać sens wszystkiemu, co dzieje się później.

A oto najważniejsze informacje na mój temat: jestem kobietą, lat trzydzieści dwa, samotna, wolny zawód. Gdy miałam dwadzieścia lat, ukończyłam akademię policyjną. Zaraz po dyplomie zostałam zatrudniona w departamencie Santa Teresa. Dzisiaj już nawet nie pamiętam, jak sobie przedtem wyobrażałam tę pracę. Musiałam mieć jakieś mgliste, wyidealizowane pojęcie o prawie i porządku, o dobrych i złych ludziach oraz o własnych wystąpieniach przed sądem, w czasie których miałam być proszona o poświadczenie, którzy są którzy. Byłam przekonana, że źli ludzie idą do więzienia, aby wszyscy pozostali mogli wieść spokojny żywot. Dostyc szybko pojęłam ogrom mojej naiwności. Nie potrafiłam zaakceptować bezsensownych rygorów obowiązujących w policji, a przy tym ciągle czułam się sfrustrowana, bo na kobietę policjanta patrzono z mieszaniną politowania i wzgardy. Nie miałam ochoty trawić życia, broniąc się przed „dobrodusznymi” zniewagami, nie zamierzałam na każdym kroku udowadniać, jaka jestem twarda. Płacili mi za mało, żeby mi się chciało znosić te wszystkie upokorzenia, więc odeszłam.

Przez dwa lata miałam się różnych zajęć, ale żadne nie wciągnęło mnie na dobre. O zawodzie policjanta jedno można powiedzieć z absolutną pewnością: wymaga on chorobliwego upodobania do trwania w ciągłym napięciu. Byłam uzależniona od adrenaliny. Nie umiałam wrócić do zwyczajnego trybu życia.

W końcu dostałam pracę w niewielkiej agencji detektywistycznej. Kolejne dwa lata spędziłam, ucząc się tego interesu, po czym, uzbrojona w odpowiednią licencję oraz niezłe koneksje, otworzyłam własne biuro. Tak już od pięciu lat zarabiam na skromne utrzymanie. Jestem teraz mądrzejsza i bardziej doświadczona, ale kiedy pojawia się klient i siada naprzeciwko mnie, po drugiej stronie biurka, nadal nie potrafię odgadnąć, co ze sobą przynosi.

# ROZDZIAŁ 1

Tamtego ranka byłam w biurze od niespełna dwudziestu minut. Otworzyłam drzwi na taras, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, i nastawiłam kawę w ekspresie. W Santa Teresa czerwcowe poranki są zawsze chłodne, a popołudnia zamglone. Nie minęła jeszcze dziewiąta. Właśnie sortowałam pocztę z poprzedniego dnia, kiedy dobiegło mnie stukanie i do środka płynnym krokiem weszła jakaś kobieta.

- Ach tak - odezwała się. - To zapewne pani jest Kinsey Millhone. Nazywam się Beverly Danziger.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Kobieta usiadła i zaczęła szperać w torebce. Znalazła paczkę papierosów z filtrem, wytrząsnęła jednego.

- Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę.

Nie czekając na odpowiedź, przypaliła papierosa. Wypuszczając dym, zdmuchnęła zapalną, niespiesznie rozejrzała się, gdzie ją wyrzucić. Zdjęłam z szafki popielniczkę, przetałam ją z kurzu i postawiłam na biurku. Potem zaproponowałam gościowi kawę.

- Owszem, chętnie - przystała z uśmiechem. - I tak już przesadziłam dziś rano, więc jeszcze jedna mała czarna niczego nie zmieni. Właśnie przyjechałam z Los Angeles, trafiłam dokładnie na godziny szczytu. Potworne!

Nalewając kawę do kubka, obrzuciłam ją uważnym spojrzeniem. Na moje oko dobiegała czterdziestki; niewysoka, zadbana, pełna energii. Włosy, lśniące czarne i zupełnie proste, starannie przycięto w taki sposób, że obramowywały twarz jak czepek kąpielowy. Błyszczące niebieskie oczy kryły się w cieniu czarnych rzęs; jasna cera tylko wysoko na kościach policzkowych nosiła ślad



odrobiny różu. Kobieta ubrana była w błękitny sweter z dekoltem w łódkę oraz w bladoniebieską popelinową spódnicę. Miała torebkę z mięciutkiej skórki, podzieloną na mnóstwo zapinanych na suwaki kieszonek i kieszoneczek z Bóg wie jaką zawartością. Długie, ostro spiłowane paznokcie pomalowała na różowo, a na serdecznym palcu nosiła ślubną obrączkę wysadzaną rubinami. Emanowała pewnością siebie oraz swoistą nonszalancją. Przywodziła na myśl skromnie opakowany upominek z ekskluzywnego domu towarowego.

Pokręciła przecząco głową, kiedy zaproponowałam jej śmietankę i cukier. Posłodziłam sobie kawę i wreszcie przystąpiłam do rzeczy.

- W czym mogę pomóc?

- Mam nadzieję, że odnajdzie pani moją siostrę.

Zaczęła ponownie szperać w torebce. Wydobyła z niej notesik z adresami, pióro wieczne z różanego drzewa i ołówki do kompletu, a także podłużną białą kopertę, którą położyła na brzegu biurka. W życiu nie widziałam kogoś tak bezgranicznie pochłoniętego własną osobą, ale nie był to przykry widok. Obdarzyła mnie przelotnym uśmiechem, zupełnie jakby wiedziała, o czym myślę. Otworzyła notesik i odwróciła go w moją stronę. Różowym paznokciem wskazała jeden z wpisów.

- Na pewno będzie pani chciała zanotować adres i numer telefonu - rzekła. - Moja siostra nazywa się Elaine Boldt. Mieszka na Via Madrina. Ten drugi adres to jej apartament na Florydzie. Elaine co roku spędza kilka miesięcy w Boca.

Zdziwiłam się trochę, ale zapisałam oba adresy. W tym czasie pani Danziger wyjęła z podłużnej koperty pismo wyglądające na urzędowy dokument. Przyjrzała mu się krótko, jak gdyby jego treść mogła zmienić się od czasu, gdy go widziała ostatnio.

- Kiedy zaginęła pani siostra? - spytałam.

Beverly spojrzała na mnie.

- Cóż - zaczęła z wahaniem - właściwie trudno powiedzieć, czy rzeczywiście zaginęła. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi niepoważnie... Po prostu nie wiem, gdzie w tej chwili przebywa, a potrzebny mi jej podpis na tych dokumentach. Siostra ma prawo do dziewiętej części spadku; prawdopodobnie chodzi o jakieś dwa, może trzy tysiące dolarów. Nie można jednak rozdzielić pieniędzy, dopóki brak notarialnie poświadczonego podpisu Elaine. Proszę bardzo, niech pani sama zobaczy.

Wzięłam od niej dokument i dokładnie go przeczytałam. Został sporządzony przez firmę prawniczą w Columbus w Ohio. Pełen był różnych „zważywszy”, „przysądzać”, „postanowiono” oraz „cokolwiek”, które sprowadzały się do tego, że w następstwie śmierci niejakiego Sidneya Rowana wskazane poniżej osoby nabyły uprawnienia do określonych części jego majątku. Beverly Danziger, przy której nazwisku figurował adres w Los Angeles, wymieniona była jako trzecia, a Elaine Boldt i jej adres w Santa Teresa - na czwartym miejscu.

- Sidney Rowan to nasz daleki kuzyn - popłynął strumień wyjaśnień. – Nie przypominam sobie, żebym go kiedykolwiek spotkała, ale tak czy inaczej, otrzymałam to pismo, a Elaine zapewne dostała takie samo. Podpisałam formularz, poświadczyłam podpis u notariusza, odesłałam dokument i zapomniałam o całej sprawie. Proszę spojrzeć na datę. Wszystko to działo się pół roku temu. A potem nagle, ni z tego, ni z owego, w zeszłym tygodniu odezwał się do mnie ten prawnik... jak on się nazywa?

Zerknęłam w dokument.

- Wender.

- A, tak, właśnie. Zupełnie nie wiem, dlaczego jego nazwisko ciągle wylatuje mi z głowy. Jak mówiłam, dzwoniło do mnie z biura pana Wendera; nie dostali odpowiedzi od Elaine. Naturalnie pomyślałam, że jak zwykle wyjechała na Florydę i nie pofatygowała się nawet, by kazać przesyłać tam korespondencję. Skontaktowałam się z administratorką domu na Via Madrina, ale i ona od kilku miesięcy nie miała od Elaine żadnych wieści.

- Próbowwała pani dzwonić na Florydę?

- O ile dobrze rozumiałam, pan Wender dzwonił tam kilkakrotnie. Zdaje się, że zastał w mieszkaniu jakąś przyjaciółkę siostry, bo zostawił komuś swoje nazwisko i numer telefonu. Niestety, Elaine się do niego nie odezwała. Tillie zresztą miała nie więcej szczęścia.

- Tillie?

- Administratorka. Zajmuje się wszystkimi sprawami związanymi z mieszkaniem Elaine na Via Madrina w czasie, gdy moja siostra przebywa na Florydzie. Oczywiście także przekazuje tam korespondencję. Twierdzi, że Elaine zwykle przesyła jej parę słów mniej więcej co tydzień, ale gdzieś od marca nie liniała od niej żadnej wiadomości. Wszystko to razem jest najprawdopodobniej jakimś błahym nieporozumieniem, ale nie mam czasu sama szukać siostry.

Beverly ostatni raz zaciągnęła się papierosem i zgasiła dziobiąc nim popielniczkę.

Przez cały czas robiłam notatki, ale sceptycyzm musiał być na mojej twarzy wyraźnie widoczny.

- O co chodzi? Chyba zajmuje się pani takimi sprawami? - spytała Danziger.

- Tak, owszem, ale biorę trzydzieści dolarów za godzinę plus koszty. Jeżeli cała rzecz dotyczy dwóch lub trzech tysięcy dolarów, to gra może się okazać niewarta świeczki.

- Och, zamierzam uzyskać zwrot kosztów z części spadku należnej Elaine. W końcu przez nią są te wszystkie trudności. Sprawa nie może ruszyć z miejsca, dopóki nie będzie jej podpisu. Swoją drogą, jakie to dla niej typowe! Całe życie zachowuje się tak samo.

- A jeśli będę musiała szukać pani siostry na Florydzie? Wystarczy, że za czas podróży policzę tylko połowę stawki, a i tak będzie to kosztowało fortunę. Proszę pani...

- Beverly.

- Dobrze, Beverly. Nie chciałabym krytycznie oceniać twojej decyzji, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że świetnie byś sobie sama poradziła z tym kłopotem. Chętnie ci odpowiem, od czego zacząć.

Beverly obdarzyła mnie uśmiechem, ale tym razem powiało od niego arktycznym chłodem. Uświadomiłam sobie, że ta kobieta przywykła bezwzględnie stawiać na swoim. Utkwiła we mnie spojrzenie intensywnie błękitnych oczu, otwartych szeroko jak u porcelanowej lalki; patrzyła twardo i nieustępliwie. Po chwili odruchowo zamrugła czarnymi rzęsami.

- Nie jesteśmy z Elaine w najlepszej komitywie - rzekła gładko. - Mam wrażenie, że już i tak poświęciłam całej sprawie zbyt wiele czasu, ale przyrzekłam panu Wenderowi, że odnajdę siostrę, by można było wypełnić postanowienia testamentu. Na pana Wendera naciskają pozostali spadkobiercy, on z kolei wywiera presję na mnie. Jeśli chcesz, mogę ci dać załączkę.

Raz jeszcze zanurzyła dłonie w torebce i wyjęła książeczkę czekową. Odkręciła skuwkę wiecznego pióra z różanego drzewa i podniosła na mnie wzrok.

- Siedemset pięćdziesiąt dolarów wystarczy?

Sięgnęłam do szuflady w biurku.

- Spiszę umowę.

\* \* \*

Zaniosiłam czek do banku i odszukałam swój samochód wśród dziesiątków innych zaparkowanych na tyłach biura. Pojechałam do mieszkania Elaine na Via Madrina, niedaleko centrum miasta.

Sądziłam, że dostałam rutynową sprawę, którą da się zamknąć w ciągu jednego, najdalej dwóch dni. Pomyślałam nawet z przykrością, że najprawdopodobniej będę musiała zwrócić co najmniej połowę pieniędzy, które właśnie wpłaciłam do banku. Swoją drogą, nie miałam wiele do roboty, w interesie panował zastój.

Sąsiedztwo Elaine Boldt składało się ze skromnych bungalówów powstałych w latach trzydziestych, przemieszanych z niewysokimi blokami mieszkalnymi. Małe, najczęściej stiukowe domki przeważnie zajmowały rodziny, ale już wyraźnie rzucało się w oczy, że zaczyna dominować interes. Wprowadzali się tu kręgarze oraz niedrodzy dentyści, którzy oferowali zabiegi pod narkozą. Można sobie wyleczyć zęby, nie zwijając się z bólu. **PROTEZY W JEDEN DZIEŃ - KREDYTY.** A co wówczas, gdy pacjent nie zapłaci za górną szczękę? To dopiero tarapaty! Okolica dzielnie broniła się przed zmianami. Znaczna część ciągle jeszcze pozostała nietknięta. Podstarzali emeryci uparcie podtrzymywali więdnące życie krzewów hortensji, chociaż można przypuszczać, że agenci nieruchomości i tak zetną je wszystkie. Santa Teresa jest bogate i wiele pieniędzy przeznacza się na utrzymanie „odpowiedniego wyglądu” miasta. Nie ma śladu po oślepiających neonach czy slumsach, nie ma ziejących dymem kompleksów fabrycznych niszczących środowisko. Wszystko tu jest ze stiuku i czerwonej dachówki; królują bugenwille, postarzone drewno, ściany z cegły suszonej na słońcu, łukowate okna, palmy, balkony, paprocie, fontanny, bulwary oraz morze kwiatów. Na każdym kroku odrestaurowana historia. Miasto jest dziwnie nieokreślone - bujne i żywiołowe, a zarazem tak wyafinowane, że urzeka jak żadne inne na świecie.

Dotarłam wreszcie do domu, w którym mieszkała Elaine Boldt. Zaparkowałam od frontu, zamknęłam drzwiczki na kluczyk i przez kilka minut przyglądałam się posiadłości. Widok był intrygujący. Budynek w kształcie podkowy, zwrócony wgłębieniem w stronę ulicy, obejmował podwórze obrosnięte palmami. Miał dwa piętra oraz podziemny garaż. Był przedziwną kombinacją nowoczesności i parodii stylu hiszpańskiego: wzdłuż frontu ciągnęły się łukowate podcienie zwieńczone balkonikami z wysokimi kratami kutymi w żelazie, a szerokie boki i tył pozostały surowe, pozbawione

ozdób. Zupełnie jakby architekt przykleił glazurę ze śródziemnomorskim wzorem na kartonowe pudełko, dodając na krawędzi ostrą czerwoną dachówkę. Miało to sprawiać wrażenie, że dach jest tam, gdzie go nie było. Nawet palmy wyglądały jak podparte patyczkami atrapy wycięte z tektury.

Minęłam podwórze i znalazłam się w oszklonym holu z rzędem skrzynek pocztowych i dzwonek do drzwi po prawej stronie. Po lewej, przez kolejną parę ruchomych szklanych tafli, najwyraźniej zamkniętych, widziałam windę oraz wyjście na schody pożarowe. Na każdym kroku towarzyszyły mi artystycznie wkomponowane ogromne rośliny doniczkowe. Przejście na wprost prowadziło na patio, gdzie dojrzałam basen otoczony jasnożółtymi płóciennymi leżakami. Sprawdziłam nazwiska mieszkańców wypisane na plastikowych paskach przy przyciskach dzwonek. Było ich dwadzieścia cztery. Administratorka Tillie Ahlberg zajmowała mieszkanie numer 1. „E. Boldt” widniało przy dzwonku mieszkania numer dziewięć, które znajdowało się zapewne na pierwszym piętrze.

Najpierw wdusiłam przycisk oznaczony „E. Boldt”. Istniała możliwość, że właścicielka mieszkania odpowie na dzwonek domofonu i od razu wypełni zleczone zadanie. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, a ja nie miałam ochoty wyjść na głupka, ganiając po całym świecie za kobietą, która równie dobrze mogła siedzieć u siebie w domu. Nikt się nie odezwał, więc zadzwoniłam do Tillie Ahlberg.

Po dziesięciu sekundach domofon zatrzeszczał, jakby transmitował przekaz z przestrzeni kosmicznej.

- Tak?

Przysunęłam usta bliżej głośniczka.

- Dzień dobry. Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem. Na zlecenie Beverly Danziger próbuję ustalić miejsce po bytu jej siostry Elaine Boldt. Czy mogłabym z panią porozmawiać?

Przez chwilę docierały do mnie jedynie zakłócenia, aż wreszcie doczekałam się niezbyt chętniej odpowiedzi:

- No dobrze. Proszę. Właśnie miałam wychodzić, ale dziesięć minut pewnie mnie nie zbawi. Mieszkam na parterze. Proszę iść w prawo od windy, a potem do końca korytarza i na lewo.

Usłyszałam brzęczyk, pchnęłam szklaną taflę. Przez otwarte na oścież drzwi mieszkania Tillie Ahlberg zobaczyłam leżący na stoliku w przedpokoju zakiet i portmonetkę, a obok stał składany wózek na zakupy.

Zastukałam we framugę. Gospodyni nadeszła z lewej strony. Zauważyłam tam lodówkę i fragment kuchennego blatu.

Tillie Ahlberg miała około sześćdziesiątki. Morelowe włosy zwiły jej się w drobne loczki, wyraźnie niedawno robiła trwałą ondulację. Skręt musiał być mocniejszy, niż sobie życzyła, bo naciągnęła na głowę ciasną siatkę wydzierganą na szydełku. Niesforna grzywka, której nie sposób było okiełznać, sterczała jak u Ronalda McDonalda, więc Tillie niezmordowanie upychała ją pod siatkę. Miała orzechowe oczy, a twarz upstrzoną piegami w kolorze imbiru. Ubrana w workowatą spódnicę oraz sportowe buty, wyglądała na osobę, która potrafi dać sobie radę w życiu.

- Mam nadzieję, że nie wydałam się nieuprzejma - rzekła pogodnie. - Po prostu, jeśli nie dotrę do sklepu z samego rana, później już całkiem tracę serce do zakupów.

- Nie zajmę pani dużo czasu - obiecałam. - Chciałabym wiedzieć, kiedy ostatnio były jakieś wiadomości od Elaine Boldt. Przy okazji: czy jest mężatką?

- Była. Owdowiała, chociaż skończyła dopiero czterdzieści trzy lata. Jej mąż miał sieć przedsiębiorstw instalacji przemysłowych na południu. Z tego, co wiem, umarł na atak serca trzy lata temu i zostawił jej mnóstwo pieniędzy. Wtedy kupiła tutaj mieszkanie. Usiądziemy?

Zaprowadziła mnie do salonu umeblowanego imitacjami antyków. Przyćmione złote światło sączyło się przez bladeżółte zasłony, a powietrze przepęlniały jeszcze zapachy śniadania: wyczułam bekon, kawę i cynamon.

Tillie, choć na wstępie stwierdziła, że się śpieszy, teraz wydawała się gotowa poświęcić mi tyle czasu, ile zechcę. Usiadła na otomanie. Ja zajęłam bujany fotel.

- O ile wiem - zaczęłam - o tej porze roku Elaine Boldt zazwyczaj przebywa na Florydzie.

- To prawda. Ma tam drugie mieszkanie. W jakimś Boca Raton. Zdaje mi się, że to w pobliżu Fort Lauderdale. Nigdy nie byłam na Florydzie, więc te wszystkie miasta to dla mnie tylko nazwy. Elaine zawsze wyjeżdżała koło pierwszego lutego i wracała do Kalifornii pod koniec lipca albo na początku sierpnia. Mówiła, że lubi upały.

- Przekazujesz jej pocztę?

Tillie pokiwała głową.

- Mniej więcej co tydzień, zależy, jak dużo się nabiera. A ona co jakieś dwa tygodnie przysyła mi pocztówkę. Pozdrowienia, parę słów o pogodzie i czy potrzebuje kogoś do czyszczenia zasłon... takie tam. W tym roku ostatni raz napisała pierwszego marca i od tamtej pory nie mam od niej ani słowa... to do niej niepodobne.

- Zatrzymałaś przypadkiem te pocztówki?

- Nie, zawsze je wyrzucam. Nie zbieram takich rzeczy. I tak już za dużo papieru wala się po świecie. Czytam je, potem drę i więcej o nich nie myślę.

- Elaine nie wspominała, że wybiera się w podróż?

- Ani słowem. Ale to w końcu nie moja sprawa.

- Nie odniosłaś wrażenia, że coś ją trafiło?

Tillie uśmiechnęła się leciutko.

- Trudno się czegoś domyślać z paru słów na pocztówce.

- Gdzie ona może teraz być?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że to do niej niepodobne, nie dać znaku życia przez tyle czasu. Próbowalam się tam dodzwonić ze cztery albo i pięć razy. Raz odebrała jakaś przyjaciółka, ale potraktowała mnie bardzo szorstko, a potem już nikt nie odpowiadał.

- Co to za przyjaciółka? Znasz ją?

- Nie, w ogóle nie spotykam znajomych Elaine z Boca. To mógł być naprawdę ktokolwiek. Nie zapisałam, jak się ta kobieta nazywa, a nie mam pamięci do nazwisk.

- A co z pocztą? Czy pojawiają się nowe rachunki?

Tillie wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Nie interesuję się tym specjalnie. Przesyłam wszystko, co przychodzi. Akurat jest trochę nowej poczty, właśnie miałam wysłać. Chcesz zobaczyć? - Wstała, podeszła do dębowego sekretarzyka, przekreśliła kluczyk i otworzyła przeszklone drzwiczki. Wyjęła plik kopert, przejrzała je pobieżnie, podała mi wszystkie. - Tak zwykle wygląda jej poczta.

Przejrzałam je równie pobieżnie jak ona. Visa, MasterCard, Saks Fifth Avenue. Jakiś kuśnierz o imieniu Jacques z adresem w Boca Raton. Rachunek od Johna Picketta, D.D.S., Inc., mieszczącego się tuż za rogiem, na Arbol. Żadnych listów osobistych.

- Czy płaci rachunki za wodę, gaz i prąd z tego mieszkania? - zapytałam.

- Już jej wysłałam za ten miesiąc.

- Może została aresztowana?

Moje pytanie wywołało uśmiech na twarzy pani Ahlberg.

- Nie, na pewno nie. Nie ona. To zupełnie nieprawdopodobne. Nie prowadzi samochodu, daję głowę, że w życiu nic nie przeszkobiła.

- Wypadek? Choroba? Narkotyki? - Czułam się jak lekarz wypytyjący pacjenta podczas badań okresowych.

Tillie podeszła do moich pomysłów z dużym sceptycyzmem.

- Cóż, zapewne mogła się znaleźć w szpitalu, ale wtedy na pewno by nas zawiadomiła. Prawdę mówiąc... to rzeczywiście dziwne. Gdyby ta jej siostra nie przyszła do ciebie, sama bym pewnie w końcu zawiadomiła policję. Tutaj po prostu coś jest nie tak.

- Z drugiej strony, można wyjaśnić jej nieobecność na wiele sposobów - zastanowiłam się głośno. - Jest dorosła. Ma pieniądze i praktycznie żadnych obowiązków. Jeśli nie ma ochoty, nie musi nikogo informować o swoich zamiarach. Może wybrała się w rejs. Albo ma sekretnego kochanka. Może razem z tą przyjaciółką z Boca ruszyły w tango. Pewnie w ogóle nie przypuszczała, że ktoś będzie jej szukał.

- Dlatego do tej pory jeszcze nie podnosiłam alarmu, ale coraz mniej mi się to wszystko podoba. Nie sądzę, żeby chciała tak zniknąć bez słowa.

- Cóż, pomyślę nad tym wszystkim. Nie chcę cię teraz zatrzymywać, ale wpadnę jeszcze kiedyś. Chciałabym obejrzeć mieszkanie Elaine - powiedziałam.

Wstałam, a Tillie odruchowo także się podniosła. Uścisnęłam jej rękę i podziękowałam za pomoc.

- Nie wysyłaj na razie korespondencji - poprosiłam. - Sprawdzę kilka możliwości, wrócę za dzień czy za dwa i dam ci znać, do czego doszłam. Myślę, że nie ma powodów do niepokoju.

- Mam nadzieję - rzekła Tillie. - Elaine jest bardzo miła.

Zanim się rozstałyśmy, dałam Tillie swoją wizytówkę.

Nie byłam jeszcze wtedy zaniepokojona, ale rozbudziła się we mnie ciekawość i bardzo chciałam ją zaspokoić.



## ROZDZIAŁ 2

W drodze powrotnej do biura wstąpiłam do rejestrów publicznych. Zajrzałam do działu katalogów i wyciągnęłam miejską księgę adresową Boca Raton. Sprawdziłam adres, który miałam podany jako tamtejsze miejsce zamieszkania Elaine Boldt. Była tam odnotowana, jak najbardziej, wraz z numerem telefonu identycznym z tym, którym już dysponowałam. Zanotowałam nazwiska właścicieli kilku sąsiednich mieszkań i ich numery telefonów. W jednym kompleksie znajdowało się kilka budynków mieszkalnych, zgadywałam, że była to tak zwana zabudowa kompleksowa: miejscowa agencja nieruchomości, korty tenisowe, leczniczy źródł mineralny i salka rekreacyjna. Zanotowałam wszystkie dane, na wszelki wypadek, żeby już tu nie wracać.

Po przyjeździe do biura założyłam teczkę Elaine Boldt, zapisałam, ile czasu poświęciłam sprawie do tej pory oraz wszystkie zdobyte informacje. Próbowałam się dodzwonić na Florydę; czekałam chyba ze trzydzieści sygnałów - bez rezultatu. Zadzwoiłam do agencji nieruchomości w Boca Raton. Podali mi nazwisko administratora budynku, w którym mieszkała Elaine Boldt. Nazywał się Roland Makowski, zajmował apartament numer 101. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Makowski, słucham.

Najkrócej, jak umiałam, wyjaśniłam mu, kim jestem oraz dlaczego próbuję się skontaktować z Elaine Boldt.

- Nie przyjechała w tym roku - oznajmił. - Normalnie już tu jest o tej porze, pewnie zmieniła plany.

- Na pewno jej nie ma?

- Ja jej nie zauważyłem. Kręcę się po budynku cały boży dzień i ani razu jej nie widziałem. Tyle wiem. Jest jej przyjaciółka, Pat. Powiedziała mi, że pani Boldt była i wyjechała. Może to i prawda, ale musielibyśmy się ciągle rozmijać. Może ta Pat pani powie, dokąd wyjechała pani Boldt. Ze mną nie rozmawia. Powiedziałem jej, żeby nie suszyła ręczników na poręczy balkonu. To zabronione. Balkon to nie suszarnia, tak jej powiedziałem. Obraziła się na mnie.

- Może mi pan podać jej nazwisko?

- Co?

- Czy może mi pan podać nazwisko Pat? Przyjaciółki Elaine Boldt.

- A, tak.

Czekałam przez chwilę.

- Mam długopis i kartkę - powiedziałam.

- Aha. Usher. Powiedziała, że podnajmuje mieszkanie. Niech pani powtórzy, jak się pani nazywa?

Podalam mu raz jeszcze własne nazwisko, tym razem łącznie z numerem telefonu, na wypadek, gdyby chciał się ze mną skontaktować. Nie wiele mi dała ta rozmowa. Zyskałam jedynie przekonanie, że Pat Usher jest jedyną nicią wiodącą do Elaine Boldt i uznałam za konieczne jak najszybciej z nią porozmawiać.

Raz jeszcze wykręciłam numer Elaine na Florydzie i pozwoliłam sygnałowi buczeć aż do znudzenia. Nic. Jeżeli Pat Usher nadal była w tamtym mieszkaniu, to zdecydowanie postanowiła nie odbierać telefonu.

Przejrzałam spis mieszkań sąsiadujących z apartamentem Elaine Boldt i wybrałam numer Roberta Perretiego, mieszkającego tuż obok. Żadnej odpowiedzi. Wykręciłam numer do sąiadki przez drugą ścianę i odczekałam dziesięć sygnałów - tak jak nam doradza spółka telefoniczna. W końcu ktoś odebrał, sądząc po głosie, osoba mocno wiekowa.

- Słucham? - zabrzmiało bardzo słabo, niemal płacziwie.

Zacząłam mówić głośno i wyraźnie, jak do osoby o osłabionym słuchu.

- Pani Ochsner?

- Tak.

- Nazywam się Kinsey Millhone. Dzwonię z Kalifornii. Próbuje się skontaktować z osobą zajmującą sąsiednie mieszkanie, pod numerem 315. Nie orientuje się pani przypadkiem, czy ktoś tam teraz jest?

Dzwoniłam przed chwilą, odczekałam ze trzydzieści sygnałów, ale bez skutku.

- Czy pani ma kłopoty ze słuchem? - zapytała starszka. - Bardzo głośno pani mówi.

Roześmiałam się i przestałam krzyżeć w słuchawkę.

- Przepraszam. Nie byłam pewna, czy pani mnie dobrze słyszy.

- O, ja słyszę doskonale. Mam osiemdziesiąt pięć lat i trudno mi zrobić krok bez czyjejs pomocy, ale z uszami wszystko w najlepszym porządku. Słyszałam przez ścianę każdy z tych trzydziestu sygnałów i myślałam już, że zwariuję, jeśli to potrwa dłużej.

- Czy Pat Usher gdzieś wyszła? Przed chwilą rozmawiałam z zarządcą budynku; powiedział, że jest w mieszkaniu.

- A, tak. Jest tam cały czas. Wiem o tym na pewno, bo właśnie przed chwilą trzasnęła drzwiami. Czy mogę spytać, dlaczego pani chce z nią rozmawiać?

- Właściwie próbuję się skontaktować z Elaine Boldt, ale jak rozumiem, nie przyjechała w tym roku.

- To prawda. I muszę pani powiedzieć, że jestem z tego powodu mocno rozczarowana. Kiedy przyjeżdża Elaine, grywamy w brydża z Idą Rittenhouse i z Wink. W tym roku od Bożego Narodzenia nie zagrałyśmy ani roberka, a przez to Ida robi się, szczerze mówiąc, nie do wytrzymania.

- Czy domyśla się pani, gdzie może przebywać pani Boldt?

- Nie. A ta osoba, która zajmuje jej mieszkanie, właśnie się wyprowadza. Tutejsze przepisy nie pozwalają na podnajem lokali, nawet mnie zdziwiło, że Elaine się na to zgodziła. Były na tę osobę skargi do zarządu i w końcu, o ile mi wiadomo pan Makowski poprosił ją, żeby się wyprowadziła. Ona, oczywiście, zrobiła mu scenę i powiedziała, że jej umowa z Elaine obejmowała okres do końca lipca. Jeżeli pani chce z nią porozmawiać, to musi się pani pośpieszyć. Widziałam, jak przyniosła kartony ze sklepu monopolowego i sądzę... cóż, właściwie mam nadzieję, że się pakuje.

- Może rzeczywiście powinnam przyjechać. Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. Jeśli przyjadę, zajrzę do pani.

- Nie grywasz przypadkiem w brydża, serdeńko? Od pół roku męczymy się w kierki, z tego wszystkiego Ida nabrała skłonności do używania brzydkich słów. Doprawdy trudno ją znieść.

- No cóż, nigdy nie grałam, ale mogę spróbować - odrzekłam.

- Po pensie za punkt - poinformowała mnie starszka obcesowo, a ja się roześmiałam.

Zadzwoiłam do Tillie. Odebrała zdyszana, jak gdyby biegła do telefonu.

- Cześć, Tillie - powiedziałam. - To znowu ja, Kinsey.

- Właśnie wróciłam z targu - wysapała. - Zaczekaj chwilę, tylko złapię oddech. Ufff! Mogę ci w czymś pomóc?

- Myślę, że powinnam przyjechać i rozejrzeć się po mieszkaniu Elaine.

- Dlaczego? Coś się stało?

- Jej znajomi na Florydzie twierdzą, że nie przyjechała. Może zgadnie-my, dokąd się wybrała. Jeśli przyjadę teraz, będziesz mogła mnie wypuścić?

- Oczywiście. Muszę tylko wypakować zakupy, to zajmie najwyżej parę minut.

Ponownie dotarłam na Via Madrina i wcisnęłam guzik domofonu. Rozległ się brzęczyk i Tillie wpuściła mnie do środka. Spotkałyśmy się przy windzie, w rękę miała klucz do mieszkania Elaine. W czasie gdy dokładnie relacjonowałam jej rozmowę z administratorem budynku na Florydzie, znalazłyśmy się na pierwszym piętrze.

- To znaczy, że w ogóle nikt jej tam nie widział? W takim razie, coś jest nie w porządku - uznała. - Stanowczo. Wiem, że wyjechała, i jestem pewna, że wybierała się na Florydę. Wyglądałam przez okno, kiedy podjechała taksówka, nawet zatrąbiła. Widziałam, jak Elaine wsiadała. Była ubrana w ten swój cudowny futrzany płaszcz, a na głowie miała turban od kompletu. Zamierzała podróżować nocą, nie lubiła tego, ale nie czuła się dobrze i sądziła, że zmiana klimatu może jej pomóc.

- Była chora?

- Och, no wiesz. Dokuczają jej zatoki, miewa częste przeziębienia, a może alergię czy jeszcze coś innego. Nie chcę jej krytykować, ale chyba ma lekkiego hysia na punkcie własnego zdrowia. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że zdecydowała się lecieć jak najszybciej. Właściwie miała wyruszyć za jakieś dwa tygodnie, ale lekarz powiedział, że zmiana klimatu może jej pomóc, więc pewnie zarezerwowała miejsce na pierwszy wolny lot.

- Nie wiesz, czy korzystała z usług jakiegoś biura podróży?

- Przypuszczam, że tak. Pewnie z któregoś z tych najbliższych. Nie prowadziła samochodu, więc lubiła mieć wszystko pod ręką, żeby nie chodzić daleko. No, to jesteśmy.

Zatrzymała się przed drzwiami apartamentu numer dziewięć, znajdującego się na pierwszym piętrze, bezpośrednio nad jej mieszkaniem. Przekręciła klucz w zamku i wprowadziła mnie do środka.

Wnętrze było mroczne, story zaciągnięte, powietrze suche i nieruchome. Tillie przeszła przez salon, odsunęła kotary.

- Czy ktoś tu był od czasu jej wyjazdu? - spytałam. - Sprzątaczką? Akwizytorzy?

- O ile mi wiadomo, nie.

Obie próbowałyśmy mówić normalnym tonem, ale jest coś niepokojącego w przebywaniu w cudzym mieszkaniu, w którym właściwie nie powinno się być. Poczulałam mrowienie na plecach.

Razem obeszyliśmy wszystkie pomieszczenia i Tillie stwierdziła, że nie widzi nic niezwykłego. Potem wyszła, a ja zostałam sama. Chciałam się spokojnie rozejrzeć i zastanowić.

Elaine zajmowała narożne mieszkanie na pierwszym piętrze, jego okna wychodziły na dwie strony. Przez jakiś czas spoglądałam na ulicę. Nic nie jechało. Jakiś chłopak obcięty na Irokeza opierał się o samochód zaparkowany dokładnie pod oknami. Boki głowy miał wygolone jak przed egzekucją, a pas włosów pozostały na środku sterczał jak płótek dzielący pasma autostrady. Ufarbowany był na różowo; nie widziałam takiego koloru, od kiedy wyszły z mody odblaskowe legginsy. Chłopak wyglądał na jakieś szesnaście, może siedemnaście lat, miał na sobie czerwone spodnie z płótna spadochronowego z nogawkami wetkniętymi w wojskowe buty oraz pomarańczową bluzę z wypisanym na piersiach sloganem, którego z tej odległości nie mogłam przeczytać. Patrzyłam, jak zwija i przypala jointa.

Przeszłam do bocznych okien, przez które można było zajrzeć do wnętrza szampaowego piętrowego domu. Dach został strawiony przez ogień, widać było przezeń okapy odstające jak płetwy przypalonej ryby. Wejście zabito deskami, szkło z okien rozprysnęło się, najprawdopodobniej pod wpływem wysokiej temperatury. Na martwym trawniku, niby wąty kamień węgielny tkwił szyld z napisem „NA SPRZEDAŻ”. Nie najlepszy widok z okien nieruchomości, która, jak podejrzewałam, musiała kosztować Elaine nie mniej niż sto tysięcy dolarów. W duchu wzruszyłam ramionami i poszłam do kuchni.

Błaty, szafki i wszystkie urządzenia lśniły czystością. Podłoga została najwyraźniej umyta i zapastowana. Na półkach znalazłam trochę puszkowanej żywności, w tym „Dziewięć żywotów - wołowina z wątróbką”. W lodówce na drzwiach stał żelazny zapas słoiczków: oliwki, pikle, musztardy i dżemy. Poza tym - pusto. Piecyk elektryczny był wyłączony z kontaktu, sznur wisiał zaczepiony o zegar, który wskazywał ósmą dwadzieścia. W plastikowym koszu na śmieci pod zlewem tkwiła pusta torba z brązowego papieru, jej brzeg schludnie wywinięto na krawędź kubelka. Wszystko wskazywało na to, że Elaine Boldt pedantycznie przygotowała mieszkanie na swoją dłuższą nieobecność.

Opuściłam kuchnię i wolno przeszłam do przedpokoju. Rozkład mieszkania wydał mi się taki sam, jak u Tillie. Weszłam w krótki korytarzyk. Drzwi po prawej prowadziły do niedużej łazienki. Marmurowa umywalka miała kształt muszli, wszystkie wieszaki i uchwyty były pozlacane, a na ścianach lśniły upstrzone złotymi plamkami lustrzane płytki. Mały wiklinowy pojemnik na śmieci, stojący pod umywalką, był prawie pusty; pozostało w nim tylko cieniutkie szarobrązowe pasemko włosów przychepione do ścianki, ledwie cień, wspomnienie po czyszczeniu szczotki do włosów.

Naprzeciw łazienki był niewielki gabinet. Stało w nim biurko, telewizor, fotel i sofa. Szuflady biurka zawierały zwykły zestaw ołówków, spinaczy, kartek i karteluszek, których na razie nie uważałam za konieczne przeglądać. Obejrzałam bliżej jedynie kartę ubezpieczenia socjalnego i zanotowałam sobie jej numer. Następnie przeszłam do sypialni z przyległą do niej łazienką.

Wnętrze było mroczne, zasłony zaciągnięte, ale i tu wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Po prawej znajdowała się garderoba, wystarczająco obszerna, by ją komuś podnająć. W środku odkryłam kilka pustych wieszaków pomiędzy wiszącymi ubraniami oraz wolne miejsca na półkach, najwyraźniej po garderobie spakowanej przez Elaine. W kącie została nieduża walizka. Wyglądała na kosztowną, ozdobiona jakimś imieniem wypisanym zakrętasami.

Na chybił trafił zajrzałam do kilku szuflad. W jednej znalazłam swetry spakowane w plastikowe torby, inne były puste, zostały w nich tylko pachnące saszetki przypominające poduszeczki. Bielizna. Drobną biżuteria.

Łazienka była przestronna i uprzątnięta, szafka na lekarstwa niemal całkowicie opróżniona, zostało w niej tylko kilka specyfików dostępnych bez

recepty. Wróciłam do drzwi i przez jakiś czas stałam w progu, rozglądając się po sypialni. Nic tu nie wskazywało na szaleństwo ani pośpiech, włamanie, wandalizm, chorobę, samobójstwo, alkoholizm, narkomanię lub choćby zamieszanie. Nawet leciutka mgiełka kurzu na gładkich powierzchniach zdawała się nienaruszona.

Wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi. Zjechałam windą na parter, poszłam do Tillie i spytałam ją, czy nie ma jakiejś fotografii Elaine.

- Chyba nie mam - odparła - ale mogę ci ją opisać, jeśli chcesz. Jest mniej więcej mojego wzrostu, to znaczy jakieś metr sześćdziesiąt, i waży pewnie z sześćdziesiąt kilogramów. Robi sobie pasemka, zaczesuje włosy do tyłu. Niebieskie oczy. - Tillie zamilkła. - A tak, czekaj, może i mam jej zdjęcie. Właśnie sobie przypomniałam. Jedną chwileczkę.

Zniknęła gdzieś w okolicach pracowni i po kilku chwilach wróciła z fotką zrobioną polaroidem. Zdjęcie było podbarwione na pomarańczowo, jego jakość pozostawiała wiele do życzenia, na dodatek wyraźnie się lepiło. Zrobiono je z dość dużej odległości, co najmniej z dziesięciu metrów. Przedstawiało dwie kobiety stojące przed blokiem na Via Madrina. Natychmiast odgadłam, którą z nich była Elaine; uśmiechnięta, schludna i elegancka, w świetnie skrojonych luźnych spodniach. Druga była gruba, miała na nosie okulary przeciwsłoneczne z niebieskiego plastiku, a fryzurę tak sztywną, że pewnie można by ją zdjąć z głowy razem ze skórą. Elaine ledwie przekroczyła czterdziestkę, mrużyła oczy przed słońcem.

- Zrobione zeszłej jesieni - powiedziała Tillie. - Ta po lewej to Elaine.

- A ta druga?

- To Marty Grice, ta z domu obok. Straszny los ją spotkał. Morderstwo... Będzie pewnie... z pół roku temu. Ależ ten czas leci.

- Jak to się stało?

- Mówią, że zabił ją włamywacz. Najpierw ją zamordował, a potem próbował podpalić dom, żeby zatuszować zbrodnię. To było straszne. Pewnie czytałaś w gazecie.

Pokręciłam przecząco głową. Zdarzają się długie okresy, kiedy w ogóle nie czytam gazet. Widziałam natomiast sąsiedni dom, zwęglony dach i rozbite okna.

- Przykra sprawa - powiedziałam. - Mogę zatrzymać to zdjęcie?

- Oczywiście.

Przyjrzałam mu się raz jeszcze. Zatrzymany obraz lekko niepokoił, bo utrwalił nie tak odległy jeszcze moment, kiedy obie kobiety uśmiechały się, nieświadome groźnej przyszłości. Dzisiaj jedna była martwa, druga zaginęła. Bardzo mi się ten zbieg przypadków nie podobał.

- Przyjaźniły się? - zapytałam.

- Właściwie niespecjalnie. Grywały w brydża i tyle. Zresztą Elaine traktuje ludzi z rezerwą. W dodatku sprawia czasem wrażenie, jakby nie rozumiała, że nie wszyscy mogą żyć na takim poziomie jak ona. Choćby ten futrzany płaszcz. Doskonale wiedziała, że Leonardowi i Marty nie podozdrożono się najlepiej, ale gdy szła na brydża, zawsze zakładała ten płaszcz. Na Marty działało to jak czerwona płachta na byka. Właściwie nigdy mi tego nie powiedziała, ale bywała złośliwa.

- Czy to ten sam płaszcz, który Elaine miała na sobie, kiedy widziałas ją ostatnim razem?

- Tak, ten. Futro z rysiów za dwanaście tysięcy dolarów i jeszcze turban od kompletu.

- No, no!

- Tak, tak, naprawdę piękne. Czego ja bym nie dała za takie futro!

- Możesz mi powiedzieć jeszcze coś o tym, jak wyjeżdżała?

- Niewiele... Niosła jakiś bagaż. Chyba podręczną torbę, a taksówkarz wziął resztę walizek.

- Pamiętasz, z jakiej firmy była ta taksówka?

- Zupełnie nie zwróciłam na to uwagi. Elaine zazwyczaj wzywa City Cab albo Green Stripe. Czasami Tip Top, ale za nimi nie przepada. Tak mi przykro, że nie umiem, ci pomóc. Jeśli wyjechała stąd na Florydę, a tam nie dotarła, to gdzie się podziała?

- Właśnie to mnie interesuje - odparłam.

Posłałam Tillie uśmiech, który w zamierzeniu miał być pełen otuchy. W rzeczywistości czułam niepokój.

Po powrocie do biura zsumowałam pobieżnie dotychczasowe wydatki. Wyniosły one może siedemdziesiąt pięć dolarów za wszystko razem: czas spędzony z Tillie oraz w apartamencie Elaine, wizyta w rejestrach i telefonowanie wraz z kosztami połączeń zamiejscowych. Znałam prywatnych detektywów, którzy całe dochodzenie prowadzili przez telefon, ale nie uważam tego za właściwą metodę. Jeśli nie staniesz z człowiekiem twarzą w twarz, może cię łatwiej oszukać i ukryć przed tobą wiele spraw.



Zadzwoiłam do pobliskiego biura podróży, zarezerwowałam lot do Miami i z powrotem. Opłata wynosiła dziewięćdziesiąt dziewięć dolców w każdą stronę przy locie nocnym, pod warunkiem że nie będę na pokładzie jadła, piła ani korzystała z toalety. Wykonałam jeszcze jeden telefon i wynajęłam na Florydzie tani samochód.

Samolot odlatywał dopiero za kilka godzin, więc wróciłam do domu, przebrałam się w dresy i przebiegłam pięć kilometrów. Po powrocie wtknęłam do kosmetyczki szczoteczkę oraz pastę do zębów - całe moje pakowanie.

Możliwe, że będę musiała znaleźć biuro podróży, z którego usług korzystała Elaine, dowiedzieć się, jaką wybrała linię lotniczą i czy przypadkiem nie zabukowała biletów do Meksyku lub na Karaiby. Na razie jednak miałam nadzieję, że uda mi się złapać na Florydzie jej przyjaciółkę, zanim zniknie z horyzontu, zrywając moje jedyne powiązanie z tamtejszym otoczeniem Elaine.

# ROZDZIAŁ 3

O czwartej czterdzieści pięć nad ranem, kiedy samolot lądował w Miami, panowały jeszcze smoliste ciemności. O tej porze na lotnisku było niewielu podróżnych; przygaszono światła, zupełnie jak w domu pogrzebowym. Tu i ówdzie ktoś drzemał na plastikowym foteliku z głową opartą na płóciennym zagłówku, a kurtkę wzdętą nad ramionami.

W strefie odbioru bagażu, w przegrodach z frontem z przydymionego szkła, piętrzyły się osierocone torby i walizki. Wszystkie sklepy na terenie portu lotniczego były jeszcze zamknięte na cztery spusty. Interkom wzywał kogoś do białego telefonu, ale nazwisko było tak zniekształcone, że pewnie nikt się nie zgłosił.

W samolocie udało mi się przespać zaledwie godzinę, więc czułam się wymięta i nie do życia. Odebrałam wynajęty samochód razem z mapą i o piątej piętnaście jechałam jedyneką na północ. Dziesięć kilometrów do Fort Lauderdale, prawie drugie tyle do Boca Raton. Na niebo wytaczał się perłowoszary świt i chmury zebrane na stertę jak kalafiory na straganie. Krajobraz po drugiej stronie autostrady był płaski, biały piasek podpełzał do brzegów szosy. Łaty ostrej trawy i skarłowaciałych cyprysów przecinały horyzont, a hiszpański mech zwisał z drzew jak podarte szmaty. Powietrze było już wilgotne i balsamiczne, pomarańczowe promienie wschodzącego słońca zwiastowały nadchodzący dzień. Dla zabicia czasu zatrzymałam się w przydrożnym barku szybkiej obsługi i zjadłam coś brązowego z czymś żółtym, następnie splukałam to sokiem pomarańczowym z kartonu. Wszystko razem smakowało jak żywność dla astronautów.

Zanim dotarłam do florydzkiego mieszkania Elaine Boldt, minęła już siódma. System zraszający trawniki obsypywał krótko przystrzyżoną trawę perełkami wody. Na osiedle składało się siedem betonowych dwupiętrowych budynków z ocienionymi tarasami urozmaicającymi spokojny rysunek niskich brył. Krzewy hibiskusa wprowadzały w krajobraz jasną czerwień i róż. Objechałam cały teren, prowadząc wolniutko szerokimi ulicami, które zawracały dopiero przy kortach tenisowych. Każdy budynek miał pod bokiem osobny basen; ludzie już wylegli na plastikowe leżaki, już łapali opaleniznę. Zlokalizowałam numer domu, którego szukałam, i zatrzymałam się na małym parkingu przed frontem. Mieszkanie administratora znajdowało się na parterze, drzwi wejściowe stały otworem, tylko siatka chroniła przed inwazją owadów, które już dawno zbudziły się w trawie.

Zapukałam w aluminiową ramę.

- Jestem, jestem - odezwał się żeński głos nieoczekiwanie blisko.

Ośloniłam dłonią oczy, próbowałam dojrzeć osobę za siatkową przesłoną.

- Czy zastałam pana Makowskiego?

Po drugiej stronie drzwi zmaterializowała się kobieca postać, twarz miała na wysokości moich kolan.

- Niech pani chwilę zaczeka. Robiłam przysiady i nie mogę się pozbierać. Boże jedyny, ależ to boli! - Przytrzymując się krzesła ukłękła z trudem. - Makowski naprawia sedes pod dwieście ósmym. Mogę w czymś pomóc?

- Szukam Elaine Boldt. Orientuje się pani, gdzie ona jest?

- To pani dzwoniła z Kalifornii?

- Tak, to ja. Chciałam się tutaj rozejrzeć i spróbować odgadnąć, dokąd mogła pojechać. Zostawiła może adres kontaktowy?

- Nie, nic. Żałuję, że nie potrafię pomóc, ale wiem niewiele więcej niż pani. Proszę, proszę wejść. - Dźwignęła się wreszcie na nogi i otworzyła siatkowe drzwi. - Jestem Charmaine Makowski... o ile przyjąć, że jestem sobą. Uprawia pani jakiś sport?

- Trochę biegam, nic więcej - odparłam.

- Bardzo rozsądnie. Niech pani nigdy nie robi przysiadów. Dobrze pani radzę. Każdego dnia robię sto i nadal wszystko mnie boli. - Była dobrze po czterdzieście, policzki miała zaczerwienione z wysiłku. Jasnożółty kostium gimnastyczny opinał jej brzuch, najwyraźniej w ostatnim stadium ciąży. Wyglądała jak dojrzały grejprut.

- No właśnie - powiedziała, świadoma mojego spojrzenia. - Los sobie ze mnie zakpił. Myślałam, że to mięśniak, aż zaczęło kopać. Wie pani, co to jest? - Wskazała wypukłość tuż poniżej pasa. - Tak wygląda pępek, kiedy się odkręci na odwrót. Trochę to kłopotliwe. Nie przypuszczaliśmy, że będziemy mieli dzieci. Mam już prawie pięćdziesiąt lat, a Makowski sześćdziesiąt pięć. Och, w końcu, co za różnica? To pewnie lepsze niż menopauza. Rozmawiała pani z tą spod 315? Nazywa się Pat Usher, pewnie już pani wie. Mówi, że Elaine jej podnajęła, ale ja w to nie wierzę.

- Elaine nie wspominała o takim uzgodnieniu?

- Ani słówkiem. Ja wiem tylko, że ta Usher wprowadziła się tutaj parę miesięcy temu. Z początku nikt nic nie mówił, bo wszyscy sobie wyobrażaliśmy, że zjechała pewnie na jakieś dwa tygodnie. Mieszkańcy mogą sobie zapraszać gości, jakich im się tylko podoba, ale przepisy zabraniają podnajmowania. Chętni do kupna mieszkania są bardzo dokładnie sprawdzani, a gdybyśmy pozwalali na podnajmowanie, toby był prawdziwy raj dla przybłędów wszelkiej maści. Osiedle zaczęłoby schodzić na psy. No, w każdym razie, po miesiącu Makowski poszedł tam na górę, żeby z tą Usher pogadać, a ona mu powiedziała, że zapłaciła Elaine za pół roku i nie zamierza się stąd ruszać. Doprowadziła Makowskiego do białej gorączki.

- Miała podpisaną umowę?

- Miała rachunek, że zapłaciła Elaine jakieś pieniądze, ale nie było napisane za co. Makowski wręczył jej eksmisję, ale wybierała się jak sójka za morze. Pewnie jeszcze się pani z nią nie widziała?

- Właśnie zamierzam tam iść. Nie wie pani, czy jest w mieszkaniu?

- Pewnie tak. Nie wychodzi specjalnie często, tylko nad basen pracować nad opalenizną. Proszę jej przekazać życzenia nagłej śmierci od administratora.

Mieszkanie numer 315 znajdowało się na drugim piętrze, w narożniku budynku o kształcie litery L. Zanim jeszcze nacisnęłam dzwonek, odniosłam wrażenie, że zostałam dokładnie obejrzana przez wizjer. Po jakimś czasie drzwi się uchyliły na szerokość łańcucha, ale w szparze nikt się nie pokazał.

- Pat Usher? - spytałam.

- Tak.

- Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem z Kalifornii. Próbuję odszukać Elaine Boldt.

- Po co? - Mówiła głosem wypranym z jakichkolwiek emocji, całkowicie opanowanym tonem. Bez żadnej radosnej nuty, bez odrobiny wdzięku.

- Siostra próbuje nawiązać z nią kontakt, by podpisała pewien prawniczy dokument. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie ona jest?

Za drzwiami zapanowała ostrożna cisza.

- Przyszła pani, żeby mi doręczyć jakieś dokumenty? - dotarło do mnie po chwili.

- Nie. - Wyjęłam fotokopię swojej licencji i wsunęłam w szparę uchylonych drzwi. Licencja zniknęła gładko, jak karta kredytowa wessana przez bankomat. Po jakimś czasie zjawiała się ponownie.

- Proszę zaczekać. Zobaczę, może mi się uda znaleźć jej adres.

Zostawiła drzwi uchylone, w dalszym ciągu zabezpieczone łańcuchem. Zakiełkowała we mnie nikła iskierka nadziei. Być może czyniłam jakieś postępy. Gdyby mi się udało odnaleźć Elaine w ciągu najbliższego dnia lub może dwóch, byłabym bardzo zadowolona z siebie, co niekiedy warte jest przynajmniej tyle samo, ile zapłata, niezależnie od rodzaju pracy. Stałam i czekałam, przyglądając się wycieraczce. Na środku widniała litera B ułożona z czarnej szczeciny, obramowana jaśniejszą. Czyżby na Florydzie mieli tyle błota, żeby usprawiedliwić istnienie podobnej wycieraczki? Była tak sztywna, że można by o nią zedrzyć podeszwy. Popatrzyłam w lewo. Tuż za tarasem wyłaniały się palmy z kulistymi owocami na czubkach. Wróciła Pat Usher; podjęła rozmowę nadal przez szparę w drzwiach.

- Musiałam go wyrzucić. Z tego, co wiem, była w Sarasocie. Znużyła mnie ta konwersacja przez drzwi, zaczynałam się irytować.

- Będzie pani przeszkadzało, jeśli wejdę? Jestem tu w sprawie wypełnienia postanowień testamentu. Elaine Boldt ma otrzymać jakieś dwa lub trzy tysiące dolarów, jeśli uzyskam jej podpis.

Apel do chciwości - pomyślałam. - Odwołanie do ukrytej tęsknoty za gratką.

Czasami używam tego jako fortelu, kiedy tropię dłużnika, uchylającego się od płacenia. Tym razem była to nawet prawda, więc mój głos brzmiał wspaniałą głębią szczerości.

- Administrator panią przysłał? - spytała Pat Usher.

- Czy pani przypadkiem nie popada w paranoję? Szukam Elaine i chciałabym z panią porozmawiać. Jest pani jak dotąd jedyną osobą, która ma jakiegokolwiek pojęcie, gdzie jej szukać.

Cisza. Rozmyślała nad moimi słowami, jakby zdawała test na inteligencję i dzięki temu pytaniu mogła podnieść punktację. Miałam ochotę ją pogryźć, ale była jedyną nicią prowadzącą do kłębka i bardzo nie chciałam jej uszkodzić.

- No, dobrze - rzekła w końcu z wyraźnym ociąganiem. - Tylko muszę się ubrać.

Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, miała na sobie wkładany przez głowę, cieniutki jak mgiełka peniuar, który się nosi, jeśli jest się zbyt leniwym, żeby założyć majtki. Matowa cera zdradzała klasyczny przypadek marskości wątroby. Oczy Pat Usher miała zapuchnięte, podkrążone i naznaczone niebieskawozielonymi sińcami, a pod każdym z nich oraz na nosie widniał plaster.

- Złamałam nos w wypadku samochodowym - powiedziała. - Nie chcę, żeby ludzie mnie taką oglądali.

Odsunęła się od wejścia, peniuar popłynął za nią jak w łagodnej bryzie. Zamknęłam za sobą drzwi. Mieszkanie urządzono w pastelowych kolorach z rattanowymi meblami. Lekko zalatywało pleśnią. Przesuwane szklane drzwi w salonie prowadziły na ocieniony taras, z którego widać było tylko soczystą zieleń czubków drzew i chmurki podobne do obłoków piany z płynu do kąpieli.

Pat Usher wyjęła papierosa z kryształowej szkatułki stojącej na stoliku do kawy i przypaliła zapalniczką od kompletu, która, o dziwo, działała. Usiadła na kanapce, bose stopy oparła na brzegu stolika. Podeszwy miała szare.

- Może pani usiąść, jeśli pani chce.

Jej oczy były niesamowicie, elektrycznie zielone, najpewniej dzięki soczewkom kontaktowym. Włosy miała brunatne, z rewelacyjnym połyskiem, którego nigdy nie udało mi się uzyskać na własnych. Patrzyła na mnie z zainteresowaniem, lekko rozbawiona.

- Czyj to testament?

Miała dziwny sposób zadawania pytań: bez znaku zapytania na końcu; po prostu stwierdzała, że oczekuje odpowiedzi. Mimo woli zrobiłam się ostrożna i zaczęłam uważać na własne słowa.

- Jakiegoś dalekiego kuzyna z Ohio.

- To dość radykalne posunięcie, wynajmować prywatnego detektywa, żeby otrzymać trzy tysiące.

- Chodzi o pozostałych spadkobierców - wyjaśniłam.

- Chce pani, żeby Elaine podpisała jakiś dokument.

- Przede wszystkim chciałabym z nią porozmawiać. Znajomi i rodzina są zaniepokojeni, ponieważ od dawna nie mieli od niej żadnych wieści. W sprawozdaniu powinnam zawrzeć kilka słów o tym, gdzie była.

- O mój Boże, więc mamy także i sprawozdanie! Elaine zawsze była niespokojna. Podróżowała. O co tyle krzyku.

- Czy mogę spytać, co panią z nią łączy?

- Jesteśmy przyjaciółkami. Znamy się od lat. Po przyjeździe na Florydę zapragnęła towarzystwa.

- Kiedy się tu zjawiała?

- W połowie stycznia. Mniej więcej. - Umilkła, obserwując popiół na czubku papierosa. Jej spojrzenie, dalekie i nieobecne, powędrowało w górę, na spotkanie mojego wzroku.

- Od tamtego czasu mieszka pani tutaj? - zapytałam.

- Pewnie, dlaczego nie? Straciłam możliwość dzierżawy tam, gdzie mieszkałam wcześniej, a ona powiedziała, że mogę się tu wprowadzić.

- Dlaczego wyjechała?

- Proszę ją o to spytać.

- Kiedy ostatnio miała pani od niej jakieś wiadomości?

- Ze dwa tygodnie temu.

- I wówczas była w Sarasocie?

- Właśnie. Zatrzymała się tam u znajomych.

- U kogo?

- Proszę pani, Elaine ma we mnie towarzyszkę, nie niańkę. Nie moja sprawa, z kim się zadaje, więc nie pytam.

Rozgrywałyśmy szermierkę słowną, której nie mogłam wygrać. Pat Usher zdobywała przewagę, a ja czułam się z tego powodu urażona. Spróbowałam ostatni raz.

- Czy wie pani o czymś jeszcze, co mogłoby mi pomóc?

- Nie wiedziałam, że już pani pomogłam - rzekła z krzywym uśmiechem.

- Próbowałam być optymistką - mruknęłam.

Wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, że pozbawiam panią nadziei. Powiedziałam wszystko, co wiem.

- Rozumiem, że będziemy musiały na tym poprzestać. Zostawię wizytówkę. Jeśli Elaine Boldt ponownie tutaj zajrzy, przekaże jej pani prośbę, żeby się ze mną skontaktowała?

- Jasne. Nie ma sprawy.

Wyjęłam z portfela prostokątny kartonik i wstając położyłam go na stoliku.

- Słyszałam, że miała pani jakieś nieporozumienia z sąsiadami?

- Aż trudno w to uwierzyć. O co tym ludziom chodzi? Płacę czynsz, nie wyprawiam przyjęć, nie słucham głośno muzyki. Wystarczyło, że powiesiłam pranie, a pan administrator wyszedł z siebie. Dostał napadu szału. Nic z tego nie rozumiem.

Wstała także i odprowadziła mnie do drzwi. Peniuar wzdymał się za nią, tak że wyglądała na grubszą, niż była w rzeczywistości. Przechodząc koło kuchni, kątem oka spostrzegłam tekturowe pudła rzucone koło zlewu. Pat odwróciła się i powiodła wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Zamierzam się przeprowadzić do jakiegoś motelu w pobliżu. Nie życzę sobie mieć szeryfa na karku. Szczerze mówiąc, myślałam właśnie, że to będzie pani. W dzisiejszych czasach kobiety zostają szeryfami, wiedziała pani o tym? Szeryfki.

- Tak, słyszałam.

- A pani? Jak to się stało, że została pani detektywem? Dziwaczny sposób zarabiania na życie, prawda?

Teraz, kiedy już miałam wychodzić, zrobiła się rozmowna. Ciekawa byłam, czy dałoby się z niej wyciągnąć jeszcze jakieś informacje. Wydawała się spragniona towarzystwa, jak ktoś, kto zbyt długo przebywał z przedszkolakami.

- Poniekąd to kwestia przypadku - powiedziałam - ale lepsze niż sprzedawanie butów. Pani nie pracuje?

- Nie, już nie. Jestem na emeryturze. Nigdy więcej nie zamierzam pracować.

- Ma pani szczęście. Ja nie mam specjalnego wyboru. Jeśli nie pracuję, nie jem.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się szczerze.

- Kiedyś żyłam w oczekiwaniu na przełom. Potem zrozumiałam, że lepiej zrobić, jeśli sama wezmę los we własne ręce, rozumie mnie pani? Na tym świecie nikt pani niczego nie podaruje, to pewne.

Zgodnie pokiwałam głową i spojrzałam w dół, na parking.

- Lepiej już pójdę - powiedziałam. - Czy mogę panią prosić jeszcze o jedno?

- Co takiego?



- Czy zna pani innych przyjaciół Elaine? Ktoś powinien wiedzieć, jak się z nią skontaktować, nie sądzi pani?

- Pyta pani niewłaściwą osobę - odrzekła. - Elaine zwykła odwiedzać mnie w Lauderdale, więc nie znam jej tutejszych przyjaciół.

- A jak się spotkałyście tym razem? Bo słyszałam, że przyjechała tutaj pod wpływem nagłego impulsu.

Przez chwilę wydawała się zmieszana, ale zaraz odzyskała kontenans.

- Tak, to prawda, tak właśnie było. Zadzwoiła do mnie z lotniska w Miami i zabrała po drodze.

- Jechała wynajętym samochodem.

- Właśnie. Oldsmobil cutlass. Biały.

- Jak długo tu była, zanim wyjechała?

Pat znowu wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie tak długo. Ze dwa dni.

- Czy wydawała się nieswoja, zdenerwowana?

- Zaraz, chwileczkę. - Jakby się lekko zirytowała. - Do czego pani dąży? Może będę mogła pomóc, jeśli będę wiedziała, o co chodzi.

- Nie jestem pewna - rzekłam potulnie. - Szukam po omacku, próbuję sobie uzmysłowić, co się dzieje. Znajomi z Santa Teresa są zaniepokojeni, że tak zniknęła, nikomu nic nie mówiąc.

- Już pani mówiłam, że mi powiedziała. Poza tym jest dorosła. Nie musi wracać do domu o określonej godzinie ani się spowiadać, dokąd idzie i o której wróci. W czym tkwi problem?

- Właściwie nie ma żadnego problemu. Po prostu siostra Elaine chce się z nią skontaktować, a nie może. To wszystko.

- Przepraszam. Jestem trochę rozdrażniona. Niełatwo mi było ostatnimi czasy, przykro mi, że panią tak potraktowałam. Elaine prawdopodobnie wkrótce się odezwie, wówczas podam jej pani nazwisko i numer telefonu.

- Wspaniale. Dziękuję za pomoc.

Wyciągnęłam do niej rękę, a ona krótko uściśnięła mi dłoń. Palce miała suche i zimne.

- Miło mi było panią poznać.

- Mnie także - odparła.

Jeszcze się zawahałam, spojrzałam na nią w zadumie.

- Jeśli faktycznie przeprowadzi się pani do motelu, to jak Elaine panią znajdzie?

Krzywy uśmiezek wrócił na jej twarz, ale tym razem w oczach było coś innego.

- Zostawię swój nowy adres panu Makowskiemu, mojemu zaprzyjaźnionemu administratorowi. W ten sposób także i pani będzie wiedziała, jak do mnie dotrzeć. Czy to wystarczy?

- Oczywiście. Dziękuję.

-

# ROZDZIAŁ 4

Ruszyłam w stronę schodów. Na plecach czułam jej wzrok, aż wreszcie usłyszałam zamykanie drzwi. Poszłam na parking, wsiadłam do samochodu i ruszyłam. Chciałam porozmawiać z panią Ochsner z sąsiedniego apartamentu, ale pomyślałam, że lepiej będzie z tym poczekać. Coś w osobie Pat Usher nie dawało mi spokoju. Nie chodziło o to, że część z tego, co mi powiedziała, była nieprawdą. Sama jestem urodzonym kłamcą i wiem, jak się to robi. Trzeba się trzymać możliwie najbliższej prawdy i sprawiać wrażenie, że się chce przekazać informacje. Jednocześnie starannie selekcjonując fakty, można osiągnąć odpowiedni efekt. Problem Pat polegał na tym, że ją poniosło i zaczęła upiększać historię tam, gdzie akurat powinna trzymać buzię zamkniętą na kłódkę. Cały ten fragment o tym, jak Elaine Boldt zabrała ją z Fort Lauderdale wynajętym białym cutlassem, był kłamstwem. Elaine przecież nie prowadziła samochodu. Wiedziałam o tym od Tillie. Na razie jeszcze nie potrafiłam się zorientować, dlaczego Pat kłamała, ale musiało to być ważnym elementem całości. Naprawdę niepokoiło mnie w niej to, że nie miała klasy, więc dziwiło, iż kobieta pokroju Elaine Boldt wybrała ją sobie na przyjaciółkę. Z tego, co mówiła mi zarówno Tillie, jak i Beverly, wywnioskowałam, że Elaine była w jakimś sensie snobką, a Pat Usher nie wyglądała na osobę wystarczająco błyskotliwą.

W pobliskim sklepiku kupiłam dwa papierowe bloczki, żeby mieć na czym robić notatki, a następnie zadzwoniłam do pani Ochsner, mieszkającej pod numerem 317. Podniosła słuchawkę po długim czasie.

- Słucham?

Przedstawiłam się i powiedziałam, gdzie jestem.

- Właśnie przed chwilą rozmawiałam z Pat Usher. Nie chcę, żeby wiedziała, że spotykam się z panią. Czy możemy się gdzieś umówić?
- Interesujące - rzekła pani Ochsner. - Pomyślmy chwilę. Może zjadę windą do pralni. To tuż obok parkingu; stamtąd możesz mnie zabrać.
- Świetnie - zgodziłam się. - Będę za dziesięć minut.
- Lepiej za piętnaście. Poruszam się wolniej, niż sobie wyobrażasz.

Kobieta, której pomogłam usiąść na przednim siedzeniu samochodu, poruszała się o lasce i jeszcze mocno utykała. Była niska, miała garb jak plecaczek, białawe włosy, sterczące wokół głowy niczym puszek dmuchawca, oraz twarz o skórze cienkiej i pomarszczonej jak zwiędłe jabłko. Artretyzm powykreślał jej dłonie w tak groteskowe kształty, że mogłaby łatwo odgrywać najróżniejsze postacie w teatryku cieni. Luźna sukienka wisiała na jej kościstym ciele jak na wieszaku. Kostki u nóg owinęła sobie elastycznymi bandażami. Przez lewe ramię miała przerzucone dwie sztuki odzieży.

- Chcę to oddać do czyszczenia - oznajmiła. - Uwiniesz się z tym w okamgnieniu. I trzeba zrobić przystanek przy sklepie. Skończyło mi się chrupkie pieczywo i śmietanka do kawy. - Tryskała energią, jej głos, choć drżący, zdradzał podekscytowanie.

Obeszłam samochód i usiadłam za kierownicą. Uruchomiłam silnik, spoglądając w okna drugiego piętra. Chciałam się upewnić, że nie obserwuje nas Pat Usher. Ruszyłam. Pani Ochsner zerknęła na mnie ciekawie.

- Sądząc po głosie, spodziewałam się, że wyglądasz zupełnie inaczej - oznajmiła. - Sądziłam, że będziesz miała blond włosy i niebieskie oczy. A jakie masz? Szare?

- Piwne. - Opuściłam okulary przeciwsłoneczne, żeby mogła się sama przekonać. - Gdzie jest pralnia chemiczna?

- Zaraz obok tego sklepiku, z którego dzwoniłaś. Jak się nazywa taka fryzura?

Spojrzałam na swoje odbicie we wstecznym lusterku.

- Chyba w ogóle się nie nazywa. Sama ją robię co jakieś półtora miesiąca nożyczkami do paznokci. Chcę mieć krótkie włosy, bo nie lubię się z nimi certolić. Źle wygląda?

- Sama nie wiem. Pewnie do ciebie pasuje, ale jeszcze, za mało cię

znam. A co ze mną? Właśnie tak sobie mnie wyobrażałaś po rozmowie przez telefon?

Przyjrzałam się jej.

- Wyobraziłam sobie panią jako straszną piekielnicę.

- Taka byłam w twoim wieku. Teraz już muszę na siebie uważać, nie chcę skończyć jak ta zdziwaczała Ida. Wszystkie moje przyjaciółki już pomarły i muszę przestawać z tymi opryskliwymi staruchami. Jak tam, poszczęściło ci się w sprawie Elaine?

- Niespecjalnie. Pat Usher twierdzi, że Elaine była w Boca przez jakieś dwa dni, a potem wyjechała.

- Tutaj jej nie było.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. Elaine zawsze zaraz po przyjeździe stuka w ścianę. To taki nasz znak. Robi tak od lat. Najdalej godzinę po przyjeździe przyszłaby do mnie, żeby umówić się na brydża. Doskonale wiedziała, jakie to ważne.

Zaparkowałam przed wejściem do pralni chemicznej i wzięłam dwie sukienki, które pani Ochsner położyła na siedzeniu.

- Zaraz będę z powrotem - powiedziałam.

Sumiennie załatwiłam oba zlecenia, wróciłam do samochodu i dopiero wtedy zaczęłyśmy rozmawiać. Zrelacjonowałam jej wizytę u Pat Usher.

- Co pani o niej myśli? - zapytałam.

- Jest agresywna - odparła pani Ochsner. - Z początku chciała nawiązać ze mną bliższą znajomość. Kiedy siadałam w słońcu na balkonie, próbowała do mnie zagadywać. Zawsze czuć od niej smołę, za dużo pali.

- O czym rozmawiałyście?

- Cóż, nie były to rozmowy z polotem, zapewniam cię. Najczęściej mówiła o żywieniu, ale nigdy nie widziałam, żeby wkładała do ust coś poza papierosem. Ciągłe popijała oranżadę i usta jej się nie zamykały. To egocentryczka. Wcale nie chciała mnie słuchać. Zwyczajnie nie przyszło jej to do głowy. Nudziła mnie śmiertelnie i zaczęłam jej unikać. Teraz zachowuje się niegrzecznie, bo wie, że jej nie akceptuję. Ludzie, którym brak pewności siebie, są szczególnie wyczuleni na wszystko, co w ostateczności potwierdza ich zaniżone poczucie własnej wartości.

- Czy wspominała Elaine?

- O, tak. Powiedziała, że Elaine pojechała w podróż, co wydało mi się

dziwne. Nigdy się nie zdarzyło, żeby przyjechała tutaj tylko po to, by zaraz gdzieś wyjechać. Jaki by to miało sens?

- Może mi pani powiedzieć, z kim jeszcze Elaine mogłaby się kontaktować? Miała tutaj jakichś innych przyjaciół albo może krewnych?

- Muszę nad tym pomyśleć. Nie potrafię sobie nikogo przypomnieć tak od ręki. Wydaje mi się, że prawie wszyscy jej przyjaciele mieszkają w Kalifornii, bo przecież tam spędza większość czasu.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, głównie o sprawach nie dotyczących tematu, który mnie najbardziej interesował. O jedenastej czwartej pięć podziękowałam pani Ochsner i odwiozłam ją na parking. Dałam jej wizytówkę, żeby mogła do mnie zadzwonić, gdyby miała ochotę. Przez chwilę patrzyłam jeszcze, jak kuśtyka do windy. Szła nierównym krokiem jak marionetka kierowana z góry poplątanymi sznurkami. Pomachała mi laską i ja jej pomachałam. Nie powiedziała mi wiele, ale miałam nadzieję, że da mi znać, co się tutaj będzie działo po moim odlocie.

Pojechałam na plażę, stanęłam na parkingu i zanotowałam wszystko, co zapamiętałam. Zajął mi to godzinę, ręka mi ścierpła, ale musiałam zrobić notatki, dopóki szczegóły miałam świeżo w pamięci. Kiedy skończyłam, zdjęłam buty, zamknęłam samochód na kluczyk i poszłam na spacer po plaży. Było za gorąco na bieganie, w dodatku z braku snu czułam się ociężała. Bryza znad oceanu zgęstniała od soli. Fale poruszały się ze zwolnioną prędkością, jak okiem sięgnąć, ani śladu piany. Ocean połyskiwał niebiesko, a piasek pysznił się barwnymi muszlami. Na kalifornijskich plażach widywałam tylko pęki wodorostów i od czasu do czasu nakrętkę od butelki po coca-coli wygładzoną przez morze. Miałam ochotę wyciągnąć się gdzieś tutaj i zdrzemnąć w gorących promieniach słońca, ale musiałam ruszać w drogę.

Obiad zjadłam w budce zbudowanej z przydymionych różowych betonowych bloczków; radio zalewało mnie jakimś hiszpańskojęzycznym programem równie mi obcym jak jedzenie. Na moją ucztę składała się zupa z czarnej fasoli oraz bolsa - rodzaj torebki z ciasta zawierającej pikantne mielone mięso. O czwartej po południu byłam już w samolocie lecącym do Kalifornii. Spędziłam na Florydzie prawie dwanaście godzin, a nie byłam chyba ani trochę bliższa odnalezienia Elaine Boldt. Może faktycznie, zgodnie z tym, co powiedziała Pat Usher, była w Sarasocie, ale szczerze w to wątpiłam. Chciałam już wrócić do domu. Spałam jak zabita, póki samolot nie dotarł do Los Angeles.

Następnego ranka o dziewiątej byłam już w biurze. Wypełniłam formularz skierowany do urzędu rejestracji kierowców w Wydziale Komunikacji w Tallahassee na Florydzie, a drugi zaadresowałam do Sacramento, na wszelki wypadek - gdyby Elaine dostała prawo jazdy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Podobne formularze wysłałam do urzędu rejestracji pojazdów w obu tych miejscowościach; nie miałam wielkiej nadziei na odpowiedź, ale po prostu nie chciałam niczego zaniedbać. Wszystkie cztery koperty wrzuciłam do skrzynki, a potem wyciągnęłam książkę telefoniczną i zaczęłam sprawdzać adresy biur podróży usytuowanych w pobliżu mieszkania Elaine. Miałam nadzieję, że uda mi się ustalić jej plany i sprawdzić, czy wykorzystała bilet lotniczy. Jak dotąd miałam tylko słowo Pat Usher, że Elaine dotarła do Miami. Być może nie pojechała nawet na lotnisko w Santa Teresa albo wysiadła z samolotu gdzieś po drodze. W każdym wypadku musiałam sprawdzić wszystko krok po kroku. Czułam się, jakbym stała przy taśmie montażowej i weryfikowała rzeczywistość za pomocą lupy jubilerskiej. W życiu prywatnego detektywa nie ma miejsca na zniecierpliwienie, zwątpienie albo niedbałość. O ile wiem, tych samych kwalifikacji wymaga posada pani domu.

Większość moich dochodzeń wygląda właśnie w ten sposób. Niekończące się zapiski, niekończące się możliwości sprawdzone raz i jeszcze raz, podążanie kolejnymi śladami, które czasami wiodą donikąd. Zwykle ruszam w ten sam sposób: haruję jak wół, metodycznie gromadząc wszelkie informacje - na początku nigdy nie wiadomo, co może później mieć znaczenie. To drobiazgowa robota; trzeba pracowicie tropić najmniej istotne fakty.

W dzisiejszych czasach trudno pozostać anonimowym. Właściwie o każdym z nas można zebrać dowolne informacje; istnieją zapisy na mikrofilmach, rejestry usług, procesy sądowe, małżeństwa i rozwody, testamenty, narodziny i śmierć, licencje, pozwolenia, rejestrowanie samochodów. Jeśli chcesz pozostać niezauważonym, musisz płacić za wszystko gotówką, a gdy popełnisz błąd, nie daj się zaskoczyć. Inaczej każdy dobry prywatny detektyw, a nawet zwykły, tyle że dociekliwy obywatel, będzie potrafił cię znaleźć. Zadziwiające, że przeciętny człowiek nie ma paranoi. Większość naszych danych osobowych stanowi część rejestrów publicznych. Trzeba jedynie wiedzieć, jak do nich dotrzeć. Tego, czego nie mają w kartotekach władze miejskie ani stanowe, dowiesz się za parę groszy od sąsiada. Skoro nie mogłam się skontaktować z Elaine Boldt w najprostszy sposób, musiałam

spróbować do niej trafić okreżną drogą. Wyjechała do Boca dwa tygodnie wcześniej niż zwykle i w dodatku wybrała się w podróż nocą, czego, zdaniem Tillie, nie lubiła. Powiedziała Tillie, że jest chora i wyjeżdża z miasta za radą lekarza. Na tym etapie nie miałam na to żadnego dowodu. Elaine mogła okłamać Tillie. Tillie mogła okłamać mnie. Mogłam też przyjąć, że Elaine wyjechała z kraju, zostawiając w swoim mieszkaniu Pat Usher, z zadaniem głoszenia wieści, iż w rzeczywistości jest w Sarasocie. Nie miałam bladego pojęcia, dlaczego miałyby robić coś takiego, ale wiele rzeczy było dla mnie równie niejasnych.

Zawęziłam listę biur podróży do szczęściu, zadzwoniłam do Beverly Danziger i zdałam jej sprawozdanie ze swojej bytności na Florydzie. Chciałam, żeby była na bieżąco, nawet jeśli wyprawa niewiele mi dała. Miałam też do niej kilka pytań.

- Co z rodziną? - spytałam. - Czy wasi rodzice żyją?

- O, nie, oboje zmarli wiele lat temu. Zresztą nigdy nie byliśmy szczególnie zżyci. Pewnie nawet nie utrzymywali kontaktu z kuzynami czy ciotkami.

- Co z pracą? Kim jest twoja siostra z zawodu?

Beverly roześmiała się.

- Chyba nie masz jeszcze prawdziwego obrazu Elaine. Ona w życiu nie kiwnęła palcem.

- Ale ma ubezpieczenie socjalne - stwierdziłam. - Jeżeli kiedykolwiek pracowała, zyskam jeszcze jeden ślad.

- Cóż, nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek pracowała, a jeśli nawet, to na pewno do tego nie wróciła - stwierdziła Beverly, ucinając temat. - Elaine zawsze była rozpuszczana. Uważała, że wszystko jej się należy, a czego nie dostała, zabierała innym.

Nie miałam nastroju na wysłuchiwanie zadawnionych żalów.

- Słuchaj, przeskoczmy od razu do ostatniej linijki. Myślę, że powinniśmy zgłosić zaginięcie na policji. W ten sposób będziemy mogły poszerzyć zakres poszukiwań. Przy okazji od razu wyeliminujemy kilka możliwości, a uwierz mi, na tym etapie wszystko jest pomocne.

Po drugiej stronie panowała tak kompletna cisza, że sądziłam, iż Beverly odłożyła słuchawkę.

- Halo?



- Jestem, jestem - odezwała się. - Nie rozumiem tylko, dlaczego chcesz o tym rozmawiać akurat z policją.

- Bo to jest następny logiczny krok. Elaine może sobie spokojnie wypoczywać gdzieś na Florydzie, ale co, jeśli nie? W tej chwili mamy na to wyłącznie słowo Pat Usher. Dlaczego by nie poszerzyć zasięgu poszukiwań? Niech gliniarze też szukają. Niech policja z Boca Raton prześle zapytanie do Sarasoty - zobaczymy, do czego dojdą. Mogą puścić w obieg jej rysopis i w końcu przynajmniej określić, czy nie jest chora, martwa albo w areszcie.

- Martwa?

- Przepraszam. Wiem, że to brzmi alarmująco, pewnie zupełnie niepotrzebnie, ale gliny mają dostęp do informacji, których ja nigdy nie zdobędę.

- Aż trudno uwierzyć w to wszystko. Chciałam tylko uzyskać jej podpis. Wynajęłam cię, bo myślałam, że to będzie najszybszy sposób, żeby ją odnaleźć. Naprawdę nie wydaje mi się, żeby to była sprawa dla policji. To znaczy... nie chcę, żebyś ich zawiadamiiała.

- Dobrze. W takim razie, co dalej? Nie możesz wymagać, żebym szukała twojej siostry, a potem dyktować mi, co mam robić.

- Nie rozumiem, dlaczego nie, jeśli uważam, że to niewłaściwe. Przecież możesz zostawić sprawę tak, jak jest.

Tym razem ja milczałam dłuższą chwilę. Zastanawiałam się nad powodem jej zaniepokojenia.

- Beverly, czy ja dobrze zrozumiałam? Chcesz, żebym przerwała dochodzenie?

- Och, sama nie wiem. Muszę się zastanowić. Oddzwonię później. Po prostu nie spodziewałam się problemów i nie jestem pewna, czy chcę, żebyś to ciągnęła. Może Wender będzie mógł działać bez jej podpisu. Może znajdzie jakąś lukę prawną, która mu pozwoli zatrzymać jej część spadku, dopóki się nie pojawi.

- Dwa dni temu nie robiłaś wrażenia osoby myślącej w ten sposób - powiedziałam.

- Może popełniłam błąd. Spróbuj się teraz tym nie przejmować, dobrze? Zadzwoń, jeśli będę chciała, żebyś dalej prowadziła sprawę. Na razie wyślij mi sprawozdanie i rachunek. Będę musiała naradzić się z mężem.

- Oczywiście - odparłam zdumiona - ale muszę ci powiedzieć, że jestem zaniepokojona.

- Na pewno niepotrzebnie - rzuciła i przerwała połączenie.

Wpatrywałam się w słuchawkę. O co w tym wszystkim chodzi? Z całą pewnością była zaniepokojona. Nie mogłam jednak zignorować wyraźnego polecenia. Nie zwolniła mnie wprost, ale zawiesiła w działaniu, więc nie powinnam dalej badać sprawy bez jej zgody.

Z ociążaniem wróciłam do swoich zapisków i wystukałam na maszynie sprawozdanie. Grałam na zwłokę i zdawałam sobie z tego sprawę. Nie byłam jednak jeszcze gotowa, żeby przerwać poszukiwania. Włożyłam kopię do akt, a oryginały wsunęłam do koperty, którą zaadresowałam do Beverly, załączając wyszczególnienie kosztów dochodzenia poniesionych do tej chwili. Poza tamtym czekiem na siedemset pięćdziesiąt dolarów, który mi dała na początku, upoważniła mnie do zrealizowania jeszcze jednego, na dwieście pięćdziesiąt dolarów. Zastrzegła przy tym, że suma „nie może przekroczyć tysiąca dolarów bez uprzedniego pisemnego uzgodnienia”. Jak do tej pory nie miało to większego znaczenia, ponieważ mieściłam się w ustalonych granicach. Razem z ceną biletu lotniczego, wynajęciem samochodu, rozmowami zamiejscowymi i godzinami mojej pracy koszty sięgały dziewięćset dziewięćdziesięciu sześciu dolarów i paru centów. Była mi winna dwieście czterdzieści sześć baksów. Podejrzewałam, że zapłaci mi należność, a następnie umyje ręce. Zabawiła się w wynajęcie detektywa, bo chciała przysporzyć kłopotów Elaine, rozżłoszczona, że siostra nie podpisała umowy, kiedy ją o to poproszono. Teraz nagle Beverly zdała sobie sprawę, że otworzyła puszkę Pandory.

Zamknęłam biuro, a w drodze do domu wrzuciłam sprawozdanie do skrzynki pocztowej. Elaine Boldt nadal była osobą zaginioną i bardzo mi się to nie podobało.

# ROZDZIAŁ 5

Telefon zadzwonił w nocy, osiem po drugiej. Odruchowo podniosłam słuchawkę, mózg miałam jeszcze zupełnie otepiały od snu.

- Kinsey Millhone? - Męski głos odezwał się tonem całkowicie wypranym z emocji, zupełnie jakby czytał kolejne nazwisko z książki telefonicznej. Od razu wiedziałam, że to glina. Oni wszyscy tak mówią.

- Tak. Kto mówi?

- Dyżurny Benedict z posterunku policji Santa Teresa. Mieliśmy wezwanie z paragrafu dwieście osiem na Via Madrina 2097, mieszkania jeden. Pani Tillie Ahlberg prosiła, żeby skontaktować się z panią. Czy będzie pani mogła przyjechać? Jest tu z nią policjantka, ale ona prosiła o panią i będziemy wdzięczni, jeśli zechce pani spełnić jej prośbę.

Podparłam się na łokciu, kilka szarych komórek podjęło pracę.

- Co to jest dwieście osiem? - spytałam. - Kradzież z włamaniem?

- Tak, psze pani.

Było jasne, że dyżurny Benedict nie chciał ponieść najmniejszego ryzyka, zalewając mnie strumieniem faktów.

- Czy Tillie nic się nie stało?

- Nic, psze pani. Nie jest ranna, ale roztrzęsiona. Nie chcemy pani niepokoić, ale porucznik się zgodził, żeby do pani przedzwonić.

- Będę za pięć minut - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Odrzuciłam kołdrę, sięgnęłam po dzinsy oraz koszulkę trykotową, potem wciągnęłam buty, nie wstając nawet z kanapy. Zazwyczaj sypiam nago, owinięta tylko w kołdrę, bo to znacznie mniej pracochłonne niż codzienne ścielenie łóżka. Poszłam do łazienki, umyłam zęby i spryskałam twarz

wodą. Niepokorne włosy przeczesalam palcami, chwytając kluczyki do samochodu. Zupełnie już rozbudzona zastanawiałam się, jaki to był rodzaj dwieście osiem. Tillie Ahlberg z całą pewnością nie była sprawcą, w przeciwnym wypadku najpierw wezwałaby adwokata.

Nocne powietrze było chłodne, mgła kłębiła się nad plażą i połową miasta, wypełniając puste ulice delikatnym białawym powiewem. Światła na skrzyżowaniach mrugały sumiennie raz na zielono, raz na czerwono. Zupełnie nie było ruchu, więc zaryzykowałam i przejeżdżałam także na czerwonych. Przed domem numer 2097 stał zaparkowany radiowóz, a w partelowym mieszkaniu u Tillie zapalone były wszystkie światła. Poza tym panował spokój - żadnych błyskających czerwonych świateł ani sąsiadów zgromadzonych na chodniku. Zapowiedziałam się przez domofon, ktoś odblokował zamek. Pchnęłam drzwi po prawej stronie windy i szybkim krokiem ruszyłam przez korytarz na sam koniec, do mieszkania Tillie. Tam, w pobliżu drzwi, stało kilka osób w pidżamach i koszulach nocnych, a umundurowany policjant cierpliwie zachęcał ich do powrotu do łóżek. Gdy tylko mnie dostrzegł, ruszył w moją stronę; ręce wsparł na biodrach, jakby nie do końca wiedział, co ma z nimi zrobić. Wyglądał tak, że prawdopodobnie nadal proszono go o okazanie dokumentu tożsamości, kiedy zamawiał drinka. Dopiero z bliska mogłam dostrzec na jego twarzy oznaki czasu: delikatne zmarszczki w kącikach oczu, lekko zwiotczałą skórę na dolnej szczęce. Oczy miał stare i wiedziałam, że widział już więcej, niż chciał.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Pan Benedict?

- Tak, psze pani - powiedział, potrząsając moją dłońią. - Pani Millhone, jak się domyślam. Miło mi panią poznać. Doceniamy, że pani przyjechała. - Uścisk dłoni miał mocny, ale krótki. Skinął głową w stronę otwartych na oścież drzwi do mieszkania Tillie. - Może pani wejść. Jest z nią oficer Redfern, spisuje szczegóły.

Podziękowałam i weszłam do mieszkania, zerkając na prawo. Salon wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Przystanęłam i przyglądałam się przez chwilę. Wandalizm w takim miejscu? Przeszłam do kuchni. Tillie siedziała przy stole, ręce miała ściśnięte między kolanami, piegi wystąpiły na jej bladej twarzy jak cętki z czerwonego pieprzu. Umundurowana policjantka, mniej więcej około czterdziestki, siedziała przy tym samym stole i robiła notatki. Miała krótko przycięte blond włosy, a na

policzku małe znamię podobne do muszki. Identyfikator mówił, że nazywa się Isabelle Redfern. Mówiła do Tillie cicho, pokrzepiającym tonem, jak ktoś, kto próbuje przekonać samobójcę, żeby nie skakał z mostu.

Gdy Tillie mnie dojrzała, zaczęła drżeć, a łzy ciurkiem popłynęły jej z oczu, zupełnie jak gdyby moje pojawienie się było cichym przyzwoleniem, żeby się rozkleić. Przyklękłam obok niej i ujęłam w ręce jej dłonie.

- Już dobrze, już - odezwałam się kojącym głosem. - Co tu się dzieje?

Chciała coś powiedzieć, ale z początku nie udało jej się wydobyć żadnego dźwięku poza sapnięciem, które brzmiało, jakby ktoś nadepnął na gumową kaczkę. Wreszcie udało się jej wykrztusić odpowiedź.

- To było włamanie... Obudziłam się i zobaczyłam, jak ta kobieta stoi w drzwiach mojego pokoju... Mój Boże, myślałam, że dostanę ataku serca! Tak się bałam, że nie mogłam się ruszyć. A potem... potem ona zaczęła... jakoś tak zasyczała, wpadła do salonu i zaczęła wszystko niszczyć... - Tillie załkała w chusteczkę do nosa, zacisnęła oczy.

Oficer Redfern i ja spojrzaliśmy po sobie. Dziwna sprawa. Objęłam Tillie ramieniem i uściśnęłam ją lekko.

- Już dobrze, Tillie - powiedziałam. - To się już skończyło i teraz jesteś bezpieczna.

- Tak się bałam! Myślałam, że ona mnie zabije. Zachowywała się jak niespełna rozumu, jak zupełna wariatka, syczała, dyszała i wszystko miażdżyła... Zatrzasnęłam drzwi od sypialni, zamknęłam się na klucz i zadzwoniłam po policję. A potem pamiętam, że zrobiło się cicho, ale nie otwierałam drzwi, dopóki nie przyjechała policja.

- Bardzo dobrze. Dobrze zrobiłaś. Posłuchaj mnie teraz: wiem, że bardzo się wystraszyłaś, ale zrobiłaś wszystko tak, jak trzeba. Teraz już nic ci nie grozi.

Policjantka pochyliła się nad nią.

- Przyjrzała się pani tej kobiecie?

Tillie pokręciła głową, znowu zaczęła drżeć.

Tym razem oficer ujęła jej ręce.

- Niech pani kilka razy głęboko odetchnie. Proszę spróbować się uspokoić. Już po wszystkim i nie ma się czym denerwować. Proszę głęboko oddychać. No, proszę, proszę spróbować. Ma pani w domu jakies środki uspokajające albo alkohol?

Wstałam i poszłam do kuchni. Otwierałam jak leci wszystkie szafki po kolei, ale nie było śladu żadnego trunku. Znalazłam buteleczkę esencji waniliowej, wlałam zawartość do szklanego pucharka na lody. Tillie przeknęła płyn, nawet nie patrząc.

Zaczęła głęboko oddychać, powoli się uspokajała.

- Nigdy przedtem jej nie widziałam - odezwała się nieco bardziej opanowanym tonem. - Pomyłona jakaś. Wariatka! Nie wiem nawet, jak się tu dostała. - Zamilkła. W powietrzu pachniało ciasteczkami.

Policjantka podniosła wzrok znad swoich notatek.

- Pani Ahlberg, nie znaleźliśmy śladów forsowania drzwi. Włamywaczka musiała mieć klucz. Czy kiedykolwiek dawała pani komuś klucze? Może ktoś opiekował się pani mieszkaniem, podlewał kwiatki, kiedy pani wyjechała?

W pierwszym momencie Tillie potrząsnęła przecząco głową. Nagle zamarła i zerknęła na mnie, a w jej oczach błysnęły nagły przestrasz.

- Elaine. Tylko ona miała kiedyś mój klucz. - Zwróciła się do policjantki. - To moja sąsiadka z góry. Dałam jej klucz zeszłej jesieni, kiedy wybrałam się na wycieczkę do San Diego.

Przejęłam pałeczkę i zaczęłam opowiadać resztę: o domniemanym zniknięciu Elaine i o tym, jak jej siostra mnie wynajęła. Oficer Redfern podniosła się z krzesła.

- Proszę zaczekać. Chcę, żeby Benedict też tego posłuchał.

Zanim Redfern i Benedict skończyli, minęła trzecia trzydzieści. Tillie była krańcowo wyczerpana. Obiecałam, że z nią zostanę, dopóki się nie pozbiera. Policjanci poprosili, żeby rano przyszła na posterunek podpisać zeznanie.

Kiedy gliny w końcu sobie poszły, usiadłyśmy i popatrzyłyśmy na siebie znużone.

- To mogła być Elaine? - spytałam.

- Nie wiem - odparła Tillie. - Nie wydaje mi się, ale było ciemno, a poza tym nie mogłam myśleć...

- A może jej siostra? Widziałaś Beverly Danziger? A czy znasz Pat Usher?

Tillie w milczeniu kręciła głową. Twarz miała białą jak kreda i ciemne sińce pod oczyma. Znowu ścisnęła dłonie kolanami, nerwy miała napięte jak struny.

Poszłam do salonu i bliżej przyjrzałam się szkodom. Sekretarzyk ze szklanym frontem leżał przewrócony, częściowo oparty o stół do kawy, który najwyraźniej rozleciał się od impetu tego upadku. Z pociętego tapczanu jak blade wnętrze wystawała gąbka. Zasłony były podarte. Szyby w oknach potłuczone, wazony, czasopisma i doniczki zwalone razem na stertę - ceramiczne skorupy, woda i pulpa papierowa.

Tak wyglądają nieposegregowane śmieci - pomyślałam. - Albo efekt czyjeś nieposkromionego gniewu.

Musiałoby się to w jakiś sposób wiązać ze zniknięciem Elaine. Nie wiedziałam, czy byłoby to odrębne zdarzenie, niezwiązane z moim dochodzeniem. Zastanawiałam się, czy istnieje jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, gdzie tej nocy była Beverly Danziger. Trudno było sobie wyobrazić tę porcelanową laleczkę mrugającą błękitnymi oczkami, szalejącą jak rozwścieczone zwierzę - ale niczego nie można być pewnym.

Próbowałam sobie wyobrazić, co się czuje, gdy jest się obudzonym w środku nocy przez wydającą dziwne dźwięki, rozszalałą kobietę. Wstrząsnęłam się bezwiednie. Powędrowałam z powrotem do kuchni. Tillie nie ruszyła się z miejsca, ale kiedy podniosła na mnie wzrok, w jej oczach dojrzałam wyraz całkowitego podporządkowania.

- Weźmy się trochę za sprzątanie - zaproponowałam. - I tak na razie nie zaśniemy, a trudno ci będzie samej się uporać z tym bałaganem. Gdzie trzymasz szczotkę i szufelkę?

Wskazała mi drzwi schowka, a potem z westchnieniem dźwignęła się na nogi. Zabrałyśmy się do pracy.

Kiedy przywróciłyśmy porządek, poprosiłam Tillie, żeby mi dała klucz do mieszkania Elaine.

- Po co? - zapytała z obawą.
- Chcę tam zajrzeć. Może zastanę Elaine.
- Pójdę z tobą - oznajmiła.

Zastanowiłam się przelotnie, czy będzie mi deptać po piętach już do końca życia i zostaniemy nierozłączną parą, jak miś Yogi i Boo-Boo. Na razie uściśnęłam ją przelotnie i powiedziałam, żeby zaczekała chwilę, a ja zajrzę na sekundę do swojego volkswagena. Potrząsnęła tylko głową i wyszła za mną.

Ze skrytki na rękawiczki wyjęłam półautomat i zważyłam go w dłoni. Była to bliżej nieokreślona trzydziestka dwójka z rączką wyłożoną porysowaną kością słoniową i z magazynkiem na osiem kulek. W życiu prywatnego

szpicla niewiele jest widowiskowej strzelaniny, a dużo żmudnego dochodzenia. Zdarza się jednak, że pióro kulkowe po prostu nie wystarcza. Wyobrażałam sobie, jak jakaś chora umysłowo kobieta wypada na mnie z ciemności niczym wielki nietoperz. Trzydziestka dwójka może by jej nie zatrzymała, ale na pewno przyhamowała. Wsunęłam broń z tyłu za pasek dżinsów i ruszyłam do windy, a Tillie cały czas deptała mi po piętach.

- Myślałam, że to wbrew prawu nosić broń - odezwała się niepewnie.
- Dlatego mam pozwolenie - odparłam.
- Zawsze słyszałam, że pistolety są takie niebezpieczne...
- Oczywiście, że są niebezpieczne! I o to chodzi. Co powinnam zrobić

twoim zdaniem? Iść tam z gazetą zwiniętą w rulon?

Dotarliśmy na pierwsze piętro, a ona nadal zastanawiała się nad tą ewentualnością. Wyjęłam pistolet i odbezpieczyłam. Wsunęłam klucz w zamek, pchnęłam drzwi mieszkania Elaine i pozwoliłam im się otworzyć na oścież. Tillie wisiała uczepiona mojego rękawa jak małe dziecko. Odczekałam chwilę, z bijącym sercem wpatrzona w mroczne wnętrze. Żadnego dźwięku... żadnego ruchu. Pomacałam ścianę w poszukiwaniu przełącznika, pstryknęłam nim i zerknęłam zza framugi. Nic. Gestem nakazałam Tillie zostać tam, gdzie stała, a sama cicho ruszyłam przez mieszkanie. Zapalałam światła i za każdym razem przed wejściem do kolejnego pomieszczenia kuliłam się w mojej najlepszej, zmodyfikowanej pozycji młodszego szpicla. Raczej nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek tu był. Sprawdziłam w gabinecie, zajrzałam pod łóżko, a na koniec zaczerpnęłam powietrza, bo właśnie zdałam sobie sprawę, że cały czas wstrzymywałam oddech. Wróciłam do wejścia, wprowadziłam Tillie, zamknęłam za nami drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Przeszłam do gabinetu.

Podeszłam do biurka Elaine i szybko przerzuciłam papiery. W trzeciej szufladzie od dołu znalazłam jej paszport. Przekartkowałam go. Był ważny, ale nieużywany od czasu wycieczki do Cozumel w kwietniu, trzy lata temu. Wsunęłam paszport do tylnej kieszeni spodni. Jeżeli Elaine nadal gdzieś tu była, to nie chciałam, żeby ulotniła się z kraju z własnym paszportem w dłoni. Coś mi chodziło po głowie, ale nie mogłam sobie uświadomić co. Wzruszyłam ramionami, zakładając, że skojarzę we właściwym czasie.

Odprowadziłam Tillie do drzwi jej mieszkania.



- Posłuchaj mnie uważnie - powiedziałam - jak tylko poczujesz się lepiej, sprawdź, czy nic nie zginęło. Kiedy pójdziesz na posterunek, poproś cię o listę skradzionych przedmiotów. Masz jakieś ubezpieczenie na pokrycie szkód?

- Nie wiem - wymruczała. - Chyba będę musiała sprawdzić. Napijesz się herbaty? - Miała rzewny wyraz twarzy i kurczowo trzymała mnie za rękę.

- Tillie, bardzo bym chciała, ale muszę już iść. Wiem, że jesteś niepokojna, ale nic już ci nie grozi. Czy mieszka tu ktoś, kto mógłby ci dotrzymać towarzystwa?

- Może lokatorka spod szóstki. Ona wcześniej wstaje. Spróbuję ją poprosić. I dziękuję ci, Kinsey. Naprawdę ci dziękuję.

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłam pomóc. Odezwę się później. Spróbuj się przespać.

Odprowadziła mnie żalosnym spojrzeniem. Wsiadłam do samochodu, wetknęłam spluwę z powrotem do schowka na rękawiczki i pojechałam do domu. W głowie kłębiły mi się pytania, ale byłam zbyt zmęczona, żeby myśleć. Zanim wpęłam z powrotem pod kołdrę, niebo poszarzało zapowiedzią świtu, a gdzieś w moim sąsiedztwie przedsiębiorczy kogut zaczął obwieszczać nadejście dnia.

O ósmej znów zadzwonił telefon. Właśnie osiągnęłam ten cudowny stan ociążałego snu, kiedy system nerwowy jest kompletnie wyłączony i jakaś magnetyczna moc stapia człowieka z łóżkiem w jedną całość. Ciągłe budzenie na takim etapie snu może prostą drogą doprowadzić do psychozy, i to najdalej w ciągu dwóch dni.

- Co? - wymamrotałam w słuchawkę. Usłyszałam zakłócenia na linii i nic więcej. O rany, czyżby obudził mnie jakiś międzymiastowy zboczeniec telefoniczny? - Halo?

- Ach, to ty! Myślałam, że źle się połączyłam. Mówi Julia Ochsner, z Florydy. Obudziłam cię?

- Nie ma sprawy - oznajmiłam wielkodusznie. - Śniło mi się, że właśnie panią widziałam. Co nowego?

- Dowiedziałam się o kilku sprawach, o których pewnie chciałybyś wiedzieć. Wygląda na to, że ta kobieta za ścianą mówiła prawdę, twierdząc, że Elaine przyleciała tutaj w styczniu, w każdym razie do Miami.

- Naprawdę? - Usiadłam. - Skąd pani wie?

- Znalazłam w śmieciach bilet lotniczy - oznajmiła z satysfakcją. - Nigdy byś nie uwierzyła, kochana, czego dokonałam. Tamta wystawiła przed drzwiami kilka kartonów pełnych jakiejś makulatury. Pakowała się do wyjazdu. Schodziłam do administratora i w drodze powrotnej zauważyłam ten bilet: prawie na samym wierzchu, do połowy przykryty. Bardzo chciałam sprawdzić, na jakie jest nazwisko. Uznałam, że nie bardzo mogę po prostu ją spytać, więc przebiegle zaczekałam, aż zejdzie na parking z następną partią bagaży, a wtedy wyskoczyłam i go ukradłam.

- Wyskoczyła pani? - powtórzyłam z niedowierzaniem.

- Cóż może nie był to dokładnie skok. Właściwie raczej szybkie pełzanie. Moim zdaniem, niczego nie zauważyła.

- Julio, co panią opętało? A gdyby panią przyłapała?

- I cóż z tego? Miałam świetną rozrywkę. Po powrocie do siebie aż się musiałam położyć, tak się uśmiełam!

- Taaak, no cóż... pewnie za to pani nie zgadnie, co zaszło tutaj - powiedziałam. - Zostałam zwolniona.

- Zwolniona?

- Praktycznie tak. Siostra Elaine kazała mi na razie odłożyć sprawę. Zdenerwowała się, kiedy jej powiedziałam, że powinnyśmy zgłosić na policji zaginięcie.

- Nie rozumiem. Dlaczego ma coś przeciwko temu?

- Nie wiem. Kiedy Elaine opuściła Santa Teresa? Zna pani datę?

- Najwyraźniej dziewiątego stycznia. Powrót miała otwarty.

- Tak... to już coś. Zechce mi pani przesłać pocztą ten bilet? Może Beverly zmieni zdanie.

- Powinna! Elaine może być w tarapatach!

- Nic na to nie poradzę. Pracuję na zlecenie. Nie mogę wtykać nosa w cudze sprawy i robić, co mi się żywnie podoba.

- A gdybym ja cię zatrudniła?

Zastanowiłam się. Zaskoczył mnie ten pomysł, ale nie miałam nic przeciwko.

- Sama nie wiem, ale... właściwie, dlaczego by nie? Chyba powinnam w takim razie rozwiązać umowę z Beverly. Nie mogę się podzielić z panią informacjami, które zdobyłam dla niej. Musiałybyśmy zaczynać od początku.

- Ona nie może mi zabronić cię zatrudnić, prawda? To znaczy wówczas, kiedy już się rozliczycie?

- Boże, o tej godzinie nie potrafię się martwić o takie sprawy. Przemyszę to i zobaczę, do czego dojdę. Chyba mogę zamknąć sprawę i pracować dla pani, jak długo nie zaistnieje konflikt interesów. Muszę jej powiedzieć, co się dzieje, ale moim zdaniem nie będzie mogła nam przeszkodzić.

- Dobrze, więc tak zrobimy.

- Na pewno chce pani w ten sposób wydawać pieniądze?

- Ależ oczywiście. Mam ich dużo, a chcę wiedzieć, co się przydarzyło Elaine. Swoją drogą, w życiu się tak świetnie nie bawiłam! Proszę mi tylko powiedzieć, co robimy dalej.

- Powiesz trochę, potem oddzwonię do pani. Ach, Julio, i proszę, niech pani na siebie uważa, dobrze?

Tylko się roześmiała.

# ROZDZIAŁ 6

Stałam pod prysznicem, aż skończyła się ciepła woda, potem włożyłam dżinsy, bawełnianą bluzę i botki do kolan. Zwieńczyłam kreację miękkim skórzanym kapeluszem z szerokim rondem i oszacowałam efekt w łazienkowym lustrze. W porządku.

Najpierw pojechałam do biura i napisałam list do Beverly Danziger, kończąc w ten sposób nasze stosunki na niwie zawodowej. Byłam dziwnie pewna, że bardzo ją to zaniepokoi, i sprawiło mi to niekłamana przyjemność. Po sąsiedzku, w biurze towarzystwa ubezpieczeniowego California Fidelity, zrobiłam duplikat szczegółowego rachunku, oznaczyłam go jako „końcowy” i dołączyłam do listu wraz z kopią ostatniego sprawozdania. Następnie pojechałam na posterunek policji na Floresta. Rozmawiałam tam z sierżantem Jonahem Robbem i zgłosiłam mu zaginięcie Elaine Boldt. Jego palce fruwały po klawiszach maszyny, kiedy wpisywał podawane przeze mnie informacje w rubryki formularza.

Był pewnie tuż przed czterdziestką, jego ciało szczelnie wypełniało mundur. Nosił na sobie jakieś dziesięć kilo nadwagi i choć nadal był przystojny, niedługo będzie musiał walczyć ze zbędnymi kilogramami. Ciemne włosy miał przycięte bardzo krótko, gładką twarz okrągłą, a na serdecznym palcu wklęsły ślad, w miejscu, gdzie do niedawna nosił obrączkę. W tej właśnie chwili obrzucił mnie spojrzeniem. W błękitnych oczach załśnił zielony ogień.

- Chce pani dodać coś jeszcze?
- Jej sąsiadka z Florydy prześle mi bilet lotniczy, z którego zaginiona

najwidoczniej skorzystała. Może dzięki niemu dowiemy się czegoś więcej. Jej przyjaciółka Pat Usher przysięga na wszystkie świętości, że spędziła kilka dni z Elaine Boldt przed jej wyjazdem do Sarasoty, ale ja niespecjalnie jej wierzę.

- Pewnie niedługo się znajdzie. Zazwyczaj tak bywa. - Wyjął segregator, przycisnął papier klamerką. - Pracowała pani w policji, prawda?

- Krótko - odparłam. - Nie bardzo mi szło. Chyba byłam konfliktowa. A pan? Jak długo w służbie?

- Osiem lat. Przedtem byłem komiwojazerem. Sprzedawałem leki Smitha, Kline'a i francuskie. Znudziło mi się krążenie starym samochodem i kołatanie do doktorków. Wszystko to zresztą i tak nic nie warte. Tak samo mógłbym sprzedawać cokolwiek innego. Choroba to wielki interes. - Opuścił wzrok na swoje dłonie, po chwili znowu spojrzął na mnie. - No cóż, mam nadzieję, że znajdzie pani swoją zaginioną. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Dzięki - powiedziałam. - Zadzwoń za kilka dni.

Podniosłam torbę i ruszyłam do drzwi.

- Hej! - zawołał za mną.

Obejrzałam się przez ramię.

- Ładny kapelusz.

Uśmiechnęłam się.

W drodze do drzwi dostrzegłam w Wydziale Osób Zaginionych i Rejestrów Osobowych porucznika Dolana, rozmawiającego z młodą czarnoskórą policjantką w mundurze. Przesunął po mnie wzrokiem i zaraz wrócił, rozpoznawszy. Przerwał rozmowę, ciężkim krokiem podszedł do kontuaru oddzielającego petentów od urzędników. Dolan przekroczył pięćdziesiątkę, miał kwadratową twarz o obwisłej skórze i łysinę, którą usiłował maskować resztkami włosów. Był to jedyny przejaw próżności z jego strony i trochę mnie rozśmieszał. Wyobrażałam sobie porucznika stojącego co dzień rano przed lustrem w łazience i próbującego wygrać wojnę z nieuniknioną ekspansją nagiej skóry na czaszce. Na nosie miał cylindryczne okulary bez oprawek, najwyraźniej nowe, bo nie mógł na mnie skupić wzroku. Najpierw zerknął znad małych półksiężyców, następnie spod nich, wreszcie zdjął szkła i wetknął je do kieszeni pomiętego szarego garnituru.

- Witaj, Kinsey. Nie widziałem cię od czasu strzelaniny. Jak sobie z tym poradziłaś?

Poczułam się niepewnie. Dwa tygodnie wcześniej w trakcie dochodzenia zabiłam człowieka i starannie unikałam myślenia na ten temat. W chwili, kiedy porucznik o tym wspomniął, zdałam sobie sprawę, jak całkowicie mi się to udało. Jego pytanie było równie wstrząsające jak sen, w którym pojawiaasz się nago w miejscu publicznym.

- Wszystko w porządku - rzekłam krótko, odwracając wzrok. W jednej chwili, jak na scenie rozświetlonej lśnieniem błyskawicy, ujrzałam plażę nocą i potop światła, gdy uniesiono pokrywę pojemnika na śmieci, w którym się ukryłam. Spojrzałam w górę. Półautomat podskoczył mi w dłoni jak na teście sprawdzającym refleks. Wystrzeliłam więcej naboju, niż było rzeczywiście trzeba, żeby dokonać dzieła. Huk w małej, zamkniętej przestrzeni był ogłuszający i długo dzwoniło mi w uszach, a potem syczało, jakbym ciągle słyszała gaz uciekający przez nieszczelny zawór. Błyskawica zgasała, obraz zniknął i znów zobaczyłam porucznika Dolana, który - sądząc z wyrazu jego twarzy - żałował chyba, że w ogóle otworzył usta.

Zawsze byliśmy adwersarzami, wiecznie w opozycji, opartej na niechętnym szacunku. Con Dolan z zasady nie lubił prywatnych detektywów. Jego zdaniem powinniśmy byli pilnować swoich spraw, obojętne, co się pod tym kryło, a przestrzeganie prawa zostawić zawodowcom, takim jak on. Lubiałam sobie wyobrażać, że za jakiś czas siądziemy sobie pewnego dnia gdzieś w cichym kącie i jak dwie zasuszone staruszki będziemy się dzielili kryminalnymi ploteczkami. Teraz jednak, kiedy poruszył ten fatalny temat, czułam się niepewnie, zaniepokojona własną reakcją. Kiedy znowu na niego spojrzałam, wzrok miał bez wyrazu, a twarz przyobłął w maskę uprzejmości.

Pokręciłam głową.

- Przepraszam - powiedziałam. - Zaskoczyłeś mnie. Chyba nie do końca dałam sobie z tym radę. - W rzeczywistości zaskoczyło mnie uświadomienie sobie, że zabiłam człowieka i niewiele mnie to obeszło. Nie, nie, to nieprawda. Obeszło mnie, ale w sytuacji zagrożenia życia zrobiłabym to jeszcze raz. Zawsze wierzyłam, że jestem dobrym człowiekiem. Teraz nie wiedziałam, co znaczy „dobry”. Przecież dobrzy ludzie nie zabijają innych ludzi. Dokąd prowadziły takie rozważania?

- Co porabiasz? - zapytał Dolan.

Jeszcze raz lekko pokręciłam głowę i wreszcie skupiłam się na teraźniejszości.

- Właśnie zgłosiłam zaginięcie osoby na polecenie klientki - powiedziałam. Umilkłam na moment. Nie miałam pewności, czy przypadkiem nie zetknął się z Elaine, prowadząc śledztwo w sprawie pożaru w sąsiedztwie jej domu. - Prowadziłeś sprawę zabójstwa Grice w styczniu tego roku?

Jakiś czas mierzył mnie spojrzeniem, a twarz miał nieprzeniknioną jak maska. Najwyraźniej prowadził tę sprawę. - A co?

- Ciekawa jestem, czy przesłuchiwałeś kobietę o nazwisku Boldt. Elaine Boldt. Ma mieszkanie w bloku obok spalonego domu.

- Pamiętam to nazwisko - przyznał ostrożnie. - Rozmawiałem z tą osobą przez telefon. Miała się do nas zgłosić, ale tego nie zrobiła. Ona jest twoją klientką?

- Jej szukam.

- Kiedy zginęła?

Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, i obserwowałam, jak rozważa wszelkie możliwości dokładnie w taki sam sposób jak ja. W okręgu Santa Teresa co roku uznaje się za zaginione jakieś czterysta osób - mężczyzn i kobiet. Większość z nich wraca do domu, ale kilkoraz zawsze rozplywa się w powietrzu.

Wetknął ręce w kieszenie, zakotłosał się na piętach.

- Jak się pokaże, powiedz jej, że chcę ją tu widzieć na przesłuchaniu - oznajmił.

Byłam wstrząśnięta.

- Jeszcze nie zamknęliście sprawy?

- Nie. I nie będę z tobą o niej dyskutował. To rzecz naszego wydziału. - Jego ulubione zdanie.

- Poruczniku Dolan, wielka mi sprawa. Kto cię pytał? - Wiedziałam, że chroni nienaruszalność dochodzenia, ale byłam już zmęczona jego wieczną świętoszkowatością. Wyobraża sobie, że ma prawo do wszystkich moich informacji, a w zamian nigdy nie daje nic. Zaczynałam się gotować i on o tym wiedział.

Uśmiechnął się do mnie.

- Chciałem tylko, żebyś nie wściubiła nosa w nie swoje sprawy.

- Też ci czasem pomogę - odcięłam się. - A jeśli chcesz porozmawiać z Elaine Boldt, sam ją sobie znajdź.

Ruszyłam do wyjścia.

- Nie ma co się tak unosić - zawołał za mną.

Obejrzałam się przez ramię. Na mój gust wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Racja - rzuciłam i pchnęłam podwójne drzwi.

Wyszłam z posterunku policji w pochmurny dzień; musiałam przystanąć na chwilę, żeby dojść do siebie. Ten człowiek mnie wkurzał. Bez wątpienia. Wzięłam głęboki oddech.

Temperatura dochodziła do dziesięciu stopni. Błede resztki słonecznych promieni przedzierały się przez chmury, powlekając okolicę cytrynowym półmrokiem. Zagajnik nabrał odcienia bladozielonkawego, a trawa bez odrobiny wilgoci była tak sucha, że aż wydawała się sztuczna. Nie padało już od kilku tygodni. Czerwiec był monotonnym ciągiem mglistych poranków, zamglonych wieczorów i chłodnych nocy. Musiałam przyznać, że porucznik Dolan otworzył mi oczy na pewne możliwości. Czy wyjazd Elaine nie zbiegł się przypadkiem z morderstwem Marty Grice i nie był z nim w jakiś sposób powiązany? Jeśli łączyła się z nim nocna wizyta u Tillie, dlaczego nie to? Pomyślałam sobie, że powinnam ustalić kilka dat.

Poszłam do archiwum miejscowej gazety mieszczącego się sześć przecnic dalej i poprosiłam pracownika tej gazetowej kostnicy, żeby mi znalazł artykuły na temat śmierci Marty Grice. Był tylko jeden, niewielki, umieszczony na ósmej stronie, traktującej o wydarzeniach lokalnych, w wydaniu datowanym czwartego stycznia.

#### Z RAPORTÓW POLICYJNYCH: WŁAMYWACZ MORDUJE WŁAŚCICIELKĘ DOMU I PALI CIAŁO

Wczoraj późnym wieczorem jedna z mieszkańek Santa Teresa została brutalnie zamordowana w następstwie włamania do jej domu usytuowanego na zachodnim krańcu miasta. Wedle informacji policjantów prowadzących dochodzenie, Martha Renee Grice, lat 45, mieszkająca na Via Madrina pod numerem 2095, zmarła w wyniku uszkodzeń czaszki spowodowanych wielokrotnymi uderzeniami w głowę tępym narzędziem, a następnie

została polana łatwopalnym płynem i podpalona. Ciało ofiary znaleziono w korytarzu prawie całkowicie spalonego domu. Ogień dostrzegli sąsiedzi o godzinie 21.55. Strażacy walczyli z płomieniami przez ponad pół godziny. Ewakuowano mieszkańców dwóch najbliższych domów; nie otrzymano doniesień o innych poszkodowanych. Szczegóły zbrodni po zostaną utajnione do czasu zakończenia śledztwa.

Notka wyjątkowo powściągliwa jak na tak spektakularne wydarzenie. Wyraźnie gliniarze nie wiedzieli zbyt wiele i dlatego próbowali ograniczyć kontakty z prasą. To by wyjaśniało zachowanie Dolana.



Może nie był niechętny współpracy. Może zwyczajnie nie miał o czym mówić. Nic skuteczniej nie zamyka gliniarzowi ust niż brak tematu. Zapiisałam stosowne informacje w notatniku, poszłam do biblioteki publicznej i przejrzałam książkę telefoniczną Santa Teresa, wydaną minionej wiosny. Martha Grice widniała pod adresem 2095 Via Madrina razem z Leonardem Grice'em. Domyśliłam się, że musiał to być jej mąż. Artykuł nie wspominał o nim słowem. Byłam ciekawa, gdzie się znajdował w czasie zajścia. Dowiedziałam się jeszcze, że pod numerem 2093 mieszkali państwo Orris i May Snyder. On miał jako zawód wpisane „emeryt”, ale nie było sprecyzowane po jakiej pracy. Zapiisałam imiona, nazwiska i numery telefonów. Chciałam się przekonać, czy zdołam dojść, co się wydarzyło, i czy Elaine mogła widzieć coś, o czym nie chciała mówić. Im dłużej się zastanawiałam, tym bardziej podobał mi się ten pomysł. Pojawił się przede mną zupełnie nowy kierunek śledztwa.

Wyłowiłam samochód z zatłoczonego parkingu na tyłach biura i zawróciłam na Via Madrina. Wybiła już dwunasta, więc na ulice wylały się dzieciaki ze szkół średnich. Dziewczyny w dżinsach, krótkich białych skarpetkach i na wysokich obcasach. Chłopaki w grubych płóciennych spodniach i flanelowych koszulach. W Kalifornii roi się od punków i większość z nich wygląda, jakby się ubierała na śmietniku. Niektórzy mieli na sobie fatalnie zaprojektowane kombinezony spadochroniarskie, a inni wręcz kompletne stroje maskujące, jakby się przygotowywali do ataku powietrznego. Przynajmniej połowa dziewczyn nosiła po trzy albo i cztery kolczyki w każdym uchu. Jeśli chodzi o włosy, przeważały fryzury a la mokra Włoszka do spótki z końskimi ogonami, wiązanyymi wysoko nad skronią, tak że strzelały w górę jak fontanny.

Kiedy zatrzymałam się przed frontem domu, wianuszek sześciu dziewcząt szedł chodnikiem, paląc pachnące goździkami papierosy. Poduszki na ramionach, zielony lakier do paznokci, ciemnoczerwona szminka. Wyglądały, jakby szły na tańce w 1943.

Pochwyciłam fragment ich rozmowy.

- No to ja jej na to: „Ty myślałaś, że o czym ja mówię, do cholery, gówniaro jedna?” A ona na to: „Dobra, suko, odpieprz się, nic do ciebie nie mam”.

Uśmiechnęłam się pod nosem, a potem spojrzałam z zainteresowaniem na dom Grice'ów. Wybudowano go jako biały piętrowy budynek z werandą w

kształcie litery L, wspartą na słupkach z czerwonej cegły i zwieńczoną czymś w rodzaju drewnianych piramidek. Teraz wyglądała tak, jakby trzymała się w całości niepojętym cudem, i mogła w każdej chwili rozsypać się w proch, choć rząderek hortensji o bladoróżowych i błękitnych kwiatach pobrązowiały od ognia, dzielnie wypuszczała nowe pędy. Większa część dachu spłonęła. Ramy frontowego okna na piętrze naznaczone były czarnymi smugami sadzy. Nawet na ulicę docierał zateęchły smród wypalonego na węgiel drewna i nadgniętej wilgoci, wydostający się z każdej szczeliny, do której trafiły gumowe węże strażaków. Na placu przed domem walały się tony śmieci, a między nimi sterczał znak zabraniający wchodzenia na teren posesji. Ciekawa byłam, czy w środku już posprzątało. Miałam nadzieję, że nie, ale szanse były niewielkie. Chciałam zobaczyć dom w takim stanie, jak w noc pożaru. Chętnie bym sobie też pogawędziła z Leonardem Grice'em, ale nie dostrzegłam żadnej wskazówki, żeby dom był zamieszkały.

Zbliżając się do budynku, w którym mieszkała Elaine Boldt, zobaczyłam, jak ktoś wychodzi z niewielkiej drewnianej budki na tyłach domu Grice'ów. Przystanąłam, przyjrzałam się dokładniej. Dzieciak, może siedemnastolatek. Obcięty na Mohikanina: przez środek głowy sterczał mu pas włosów postawionych na sztorc, długości może pięciu centymetrów, przypominających intensywnie różową słomę. Po bokach zostało tylko rżysko. Głowę miał spuszczonej, ręce w kieszeniach panterki. Zaskoczona uświadomiłam sobie, że widziałam go już wcześniej - z okna mieszkania Elaine, kiedy byłam tam po raz pierwszy. Stał wtedy na ulicy i w ślimaczym tempie zwijał jointa. Czego tu szukał? Zmieniłam kierunek i przyspieszyłam, żeby przeciąć mu drogę na granicy posiadłości.

- Cześć - odezwałam się.

Drgnął, podniósł na mnie wzrok, błysnął zębami w grzecznym uśmiechu, jaki dziecko rezerwuje dla dorosłych.

- Cześć.

Twarz nie pasowała do reszty. Skórę miał jasną, uśmiech ujmujący, trochę za duże przerwy między zębami. W lewym policzku dołek. Oczy głębokosadzone. Nefrytowa zieleń tęczówek otoczona ciemnymi rzęsami i czarnymi brwiami, które zbiegały się u nasady nosa. Mijając mnie, uciekł wzrokiem. Złapałam go za rękaw.

- Możemy porozmawiać?

Spojrzał na mnie, potem rzucił spojrzenie przez ramię.

- Do mnie mówisz?

- Tak. Widziałam, jak wychodziłeś z tamtej budki. Mieszkasz niedaleko?

- Co? A, tak. Parę przecznic dalej. To dom wuja Leonarda. Sprawdzam, czy nikt nie zamierza mu podwędzić gratów. - Głos miał miękki, prawie kobiecy.

- Co to za graty?

Nefrytowe oczy rozbłysły ciekawością. Chłopak się uśmiechnął, a wówczas cała twarz mu się rozpromieniła.

- Jesteś gliniarzem?

- Prywatnym detektywem. Nazywam się Kinsey Millhone.

- Ale numer! - ucieszył się. - Ja jestem Mike. Będziesz tu stać na warcie?

Pokręciłam głową.

- Mam inną sprawę, ale słyszałam o pożarze. To twoja ciotka zginęła?

Uśmiech zbladł.

- Tak, moja ciotka. Jezu, to było straszne. To znaczy, nigdy jej specjalnie nie kochałem, ale wujek to naprawdę nie ma życia. Kompletnie chłop bez fiuta. Och - zmiłogował się. - Przepraszam. Zupełnie nie ten gość, od kiedy mieszka u drugiej ciotki.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Ona się nazywa Lily Howe. Nie pamiętam numeru domu.

Jego twarz zaczął ogarniać rumieniec, co wywołało wyjątkowo dziwaczny efekt: różowe włosy, nefrytowe oczy, zaczerwienione policzki, zielona wojskowa kurtka. Chłopak wyglądał jak tort urodzinowy, równocześnie niewinny i nadęty. Przeciągnął ręką po włosach, sterczących niczym zmiotka.

Ciekawiło mnie, z jakiego powodu jest taki zakłopotany.

- Co tam robiłeś?

Zerknął na budkę i niepewnie wzruszył ramionami.

- Sprawdzałem kłódkę. Zaczynam już dostawać paranoi. Człowiek płaci mi dziesięć baksów miesięcznie, więc usiłuję być w porządku. Chcesz coś jeszcze? Boja bym jeszcze coś przekąsił, a muszę wracać do budy.

- Może później jeszcze będę chciała z tobą porozmawiać.

- Nie ma sprawy. W porządku.

Uśmiechnął się do mnie znowu i ruszył: najpierw zrobił kilka kroków tyłem, ciągle na mnie patrząc, w końcu się odwrócił. Przyglądałam się jego wąskim plecóm i szczupłym biodrom. Coś mi nie dawało spokoju, ale nie wiedziałam co. Coś nie grało. Ta dobroduszna bezradność w spojrzeniu. Otwarty, a jednocześnie przebiegły. Dzieciak o czystym sumieniu, bo trudno zabrudzić coś, czego się nie ma. Może jego także sprawdzę przy okazji. Weszłam na dziedziniec budynku.

# ROZDZIAŁ 7

Tillie polewała podejście; strumień wody zmiotł opadłe liście i drobne kamyczki. Krople spadały z pierzastych palm, zapach gumowego węża mieszał się z wonią wilgotnej ziemi. Płyty chodnika rozłożono także pomiędzy gigantycznymi paprociami, choć dlaczego ktokolwiek miałby chcieć tamtędy chodzić, nic miałam pojęcia. Administratorka uśmiechnęła się na mój widok i zwolniła przycisk, odcinając strumień wody. Miała na sobie dzinsy i bawełnianą koszulkę. Mimo sześćdziesiątki na karku wyglądała niemal dziewczęco.

- Zdrzemnąłaś się chociaż trochę? - zapytałam.

- Nie i nie wrócę do mieszkania, póki nie naprawią okien. Może zainstaluję system alarmowy. Podlewam, żeby się coś zająć. To rozrywka zarezerwowana dla dorosłych. Kiedy byłam mała, ojciec nigdy mi nie pozwalał.

- Byłaś już na posterunku?

- Nie, jeszcze nie, wybiorę się niedługo, chociaż wcale mi niespieszne

- Przechodziłam tamtędy przed chwilą. Wstąpiłam i zgłosiłam zaginięcie Elaine Boldt.

- Co powiedzieli?

Wzruszyłam ramionami.

- Nic szczególnego. Zrobią, co będą mogli. Wpadłam na detektywa prowadzącego sprawę zabójstwa Marty Grice. Twierdzi, że Elaine miała się stawić na przesłuchanie, ale nie przyszła. Przypominasz sobie, w jakim czasie po tamtej zbrodni wybrała się na Florydę?

- Nie pamiętam. Na pewno w tym samym tygodniu. Bez wątpienia. Przez to morderstwo puściły jej nerwy, między innymi dlatego wyjechała. Wydawało mi się, że o tym mówiłam.

- Powiedziałaś, że była chora.

- Była, ale jej zawsze coś dolegało. Powiedziała, że po tym morderstwie oszalała ze strachu. Uznała, że zmiana otoczenia jej pomoże. Zaczekaj chwilę. - Tillie weszła pomiędzy krzewy, zakręciła kurek, otrząsnęła i zwinęła gumowy wąż. Wyłoniła się spomiędzy krzaków, wycierając wilgotne dłonie o spodnie. - Sądziś, że wiedziała coś o morderstwie Marty?

- Sądzę, że warto byłoby wziąć to pod uwagę - rzekłam. - Boczne okno jej mieszkania wychodzi dokładnie na front posesji Grice'ów. Może widziała włamywacza.

Tillie przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

- W ciemnościach?

Znowu wzruszyłam ramionami.

- Nie wydaje się to prawdopodobne, ale nie wiem, co o tym myśleć.

- Jeśli wiedziała, kto to był, to dlaczego nie poszła na policję?

- Kto wie? Może nie przemyślała tego kroku. Ludzie wpadają w panikę. Nie chcą się mieszać w podobne sprawy. Może czuła się zagrożona.

- Trzeba przyznać, że była zdenerwowana - oznajmiła Tillie. - Chociaż, z drugiej strony, wszyscy byliśmy wtedy w kiepskim stanie. Chcesz wejść?

- Chętnie. Chciałabym obejrzeć jej rachunki. Przynajmniej się przekonamy, jakie i gdzie miała wydatki. Przyszło coś nowego?

- Kilka świstków. Wszystko ci pokażę.

Poszłam za Tillie podejściem, a następnie korytarzem.

Otworzyła z klucza drzwi swojego mieszkania i weszła do salonu. Od razu podeszła do sekretarzyka. Od kiedy szyba w drzwiczkach została wybita, nie istniała potrzeba używania klucza, a jednak Tillie się zawahała, wyraźnie zakłopotana. Dotknęła palcem wskazującym policzka, jakby pozowała do fotografii.

- Dziwne - rzekła cicho.

- Co takiego?

Podeszłam do sekretarzyka, zajrzałam do środka. Zeszłej nocy przestałyśmy wszystkie książki, więc na półkach nie zostało nic poza słoniem z brązu oraz oprawionym w ramki zdjęciem szczeniaka z patykiem w pysku.

- Nie widzę rachunków, a powinny być tutaj - oznajmiła. – Sama powiedz, czy to nie dziwne? - Znowu przesunęła wzrokiem po półkach, a następnie zaczęła po kolei otwierać szuflady i przeglądać ich zawartość.

Przeszła do kuchni, zajrzała do wielkiego wora z czarnego plastiku, do którego zeszłej nocy wrzuciłyśmy potłuczone szkło i szczątki doniczek. Ani śladu rachunków.

- Kinsey, wczoraj były w sekretarzyku. Widziałam je. Gdzie mogły się podziać? - Podniosła na mnie wzrok.

Nie musiałam dokonywać szczególnego wysiłku umysłowego, żeby dojść do oczywistego wniosku.

- Czy to możliwe, że ona je zabrała? - spytała Tillie. - Ta wczorajsza włamywaczka? Czy mogło jej chodzić właśnie o rachunki?

- Tillie, naprawdę nie wiem. Myślałam już o tym - przyznałam. - Choć, jaki sens ma włamywanie się tylko po to, żeby zdemolować mieszkanie. I to jeszcze przy gospodarzu. Jesteś pewna, że wczoraj je widziałeś?

- Jak najbardziej. Położyłam nowy plik rachunków na tę samą półkę co inne. Były tutaj, dokładnie tutaj. Za to całkiem nie pamiętam, żebym je widziała, kiedy sprzątałyśmy. A ty?

Wróciłam myślą do wczorajszej nocy, szukając w pamięci. Widziałam rachunki tylko raz, kiedy za pierwszym razem rozmawiałam z Tillie. Ale dlaczego ktoś miałby je kraść? Bez sensu.

- Może chciała cię wystraszyć, żeby zyskać czas na przeszukanie mieszkania? - zasugerowałam.

- No, to trzeba przyznać, że miała świetny pomysł. Nie wyszłabym z sypialni za nic w świecie! Tylko po co to wszystko? Zupełnie nie rozumiem.

- Ja też nie. Mogę się wystrząść o duplikaty rachunków, ale to straszna mordęga, więc nie zrobię tego, jeśli nie będę musiała.

- Chciałabym wiedzieć, kto ma klucz do mojego mieszkania. To mi spędza sen z powiek.

- Trudno się dziwić. Posłuchaj, Tillie, nic nie wprawia mnie w większą wściekłość niż kopa pytań bez odpowiedzi. Spróbuję się dowiedzieć czegoś na temat tego morderstwa po sąsiedzku. Musi to być jakoś ze sobą powiązane. Rozmawiałeś ostatnio z Leonardem Grice'em?

- Nie, nie zaglądał tutaj od czasu tamtej tragedii.

- A co ze Snydersami, tymi sąsiadami z przeciwnika? Twoim zdaniem mogliby w czymś pomóc?

- Może i tak. Chcesz, żebym z nimi porozmawiała?

- Nie, nie zwracaj sobie głowy. Sama z nimi pogadam. Jeszcze jedno... Leonard Grice ma bratanka... Taki młody chłopak, ostrzyżony na różowego Mohikanina.

- Mike.

- Tak, to on. Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałam. Czy to możliwe, że to on się tu włamał? Jest niewysoki. W ciemnościach mógłby uchodzić za kobietę.

- Nie wydaje mi się - oznajmiła z wyraźnym powątpiewaniem. - Nie mogłabym przysiąc, ale moim zdaniem to nie on.

- To było tylko przypuszczenie. Próbuję się nie sugerować płcią włamywacza. To naprawdę mógł być mężczyzna. No, idę, posłucham, co mają do powiedzenia Snydersowie. Uważaj na siebie.

Dom pod numerem 2093 był podobny w charakterze do spalonego budynku naprzeciwko. Tej samej wielkości, o tych samych wypaczonych proporcjach - taka sama biała bryła z czerwoną cegłą, tutaj stylizowaną na prawdziwą popękana cegłę z palonej gliny. Przed frontem widniała tablica z napisem „NA SPRZEDAŻ”, z poprzecznym pasem na wierzchu głoszącym: „SPRZEDANE!”. Odniosłam wrażenie, jakby na chwilę przed moim nadejściem skończyła się aukcja. Potężne drzewo skrywało podwórce w chłodnym cieniu. Ciemny bluszcz oplatał mu pień, a na ziemi rozrastał się we wszystkie strony gęstym kobiercem, który omal wypełzał na podjazd. Weszłam po schodkach na ganek i zapukałam w aluminiową ramę siatki. Właściwe drzwi miały wprawioną sporą szybę, zasłoniętą zwykłą białą zasłonką rozciągniętą między dwoma prętami. Po chwili ktoś odciągnął ją na bok i wyjrzał.

- Pan Snyder?

Zasłona wróciła na miejsce, drzwi się uchyliły. Mężczyzna miał koło siedemdziesiątki, był korpulentny i wyglądał dobrotliwie. Starość oddała mu dziecięcą pulchność i zarazem wyraz żywego zaciekawienia.

Podaliśmy mu wizytówkę.

- Nazywam się Kinsey Millhone. Mogłabym panu zająć kilka minut? Próbuję odszukać Elaine Boldt, mieszkała w budynku obok. Jego administratorka, Tillie Ahlberg, odpowiedziała mi, żebym porozmawiała z panem. Może mi pan pomóc?



Pan Snyder zwolnił zasuwkę w siatkowych drzwiach.

- Zrobię, co będę mógł. Proszę wejść. - Przytrzymał drzwi, a potem wprowadził mnie do środka.

We wnętrzu domu było mroczno jak w puszcze z zupą i pachniało gotowanym selerem. Z oddali dobiegł piskliwy głos:

- Kto przyszedł? Kto tam jest, Orris?

- Jedna pani od Tillie!

- Kto taki?

- Proszę chwilę poczekać - zwrócił się do mnie. - Jest głucha jak pień. Zechce pani usiąść.

Ciężko stąpając, ruszył na tyły domu. Przycupnęłam na fotelu z wysokim oparciem i drewnianymi poręczami. Tapicerka była z ciemnokasztanowego pluszu, tłoczonego z góry na dół we wzór liści nieokreślonego gatunku; podobnych nigdy nie udało mi się zobaczyć w rzeczywistości. Siedzenie było powycierane, prześwitywały twarde drewniane krawędzie, cały mebel czuć było wiekowym kurzem. Obok stała zawalona gazetami kozetka od kompletu, a przy niej długi mahoniowy stolik do kawy ze wstawką z owalnego szkła, ledwie widoczną spod najróżniejszych gratów zaśmiecających blat. Walały się tam papierowe torby na zakupy, w ceramicznym wazonie, przypominającym kształtem dwie myszy zastygłe w uścisku, stały plastikowe kwiaty, obok złożone do modlitwy dłonie, odlane z brązu, sześć ołówków z pogryzionymi gumkami na końcach, buteleczki z lekarstwami; kubek, najwyraźniej z gorącym mlekiem, zostawił koronkowy ślad na szkłe, podobny do mgiełki oddechu dziecka, a do tego zupełnie tutaj nie na miejscu stosik naleśników owiniętych celofanem. Pochyliłam się ku niemu, przyjrzałam dokładniej. To była świeczka. Pan Snyder mógłby cały ten stolik wystawić na zewnątrz i rozpocząć sprzedaż garażową.

Gdzieś z tyłów domu dobiegały mnie jego zirytowane wyjaśnienia udzielane żonie.

- Nikt niczego nie sprzedaje - burczał. - Przysłała ją Tillie. Mówi, że szuka pani Boldt. Boldt!!! To ta, co mieszka nad Tillie, grywa w karty z Leonardem i Marty.

Usłyszałam słabe pytanie, a potem głośniejszą odpowiedź.

- Nie, nie musisz przychodzić. Siedź spokojnie. Ja się wszystkim zajmę.

Ukazał mi się znowu, kręcąc głową, policzki mu płonęły. Piersi opierały się na wzdętej talii. Musiał zapinać pasek pod ogromnym brzuszyskiem,

za długie nogawki zwijały mu się przy kostkach. Podciągnął spodnie zirytowanym gestem; najwyraźniej był przekonany, że jeśli nie będzie o nich pamiętał, to je zgubi. Kapatnie miał wsunięte na boso stopy, a kostki u nóg z powycieranymi włosami były białe i chude jak gnaty na zupe.

- Proszę zapalić lampę - rzekł. - Żona oszczędza na elektryczności. Ciągle się o coś potykam w tej ciemnicy.

Sięgnęłam do stojącej lampy, pociągnęłam za łańcuszek. Czterdziestowatowa żarówka rozjarzyła się słabo, nie dając wiele światła. Usłyszałam głośne grzmotnięcie, zaraz potem szuranie w korytarzu.

Zjawiła się pani Snyder. Pchała przed sobą balkonik. Była drobna i krucha, bezustannie poruszała szczęką. Z uwagą wpatrywała się w klepkę, a jej stopy wydawały lepki dźwięk, jakby podłoga była wilgotna. Zatrzymała się, wspierając na balkoniku drżącymi dłońmi. Wstałam.

- Ma pani ochotę siaść tutaj? - zapytałam, wyężdżając głos.

Przesunęła po ścianie zmrużonymi zaczerwienionymi oczyma, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Główkę miała maleńką, podobną do karłowatej dyni na zbyt długiej łodydze, skurczonej w efekcie jakiegoś wewnętrzznego rozmiękczenia. Z dolnego działła, niczym knot ze świecy, wystawał jedyny ząb. Wydawała się zmieszana.

- Co takiego? - zaskrzeczała bezradnie.

Odniosłam wrażenie, że od dawna nikt nie odpowiadał na jej pytania.

Snyder niecierpliwie machnął ręką.

- Nic jej nie będzie. Proszę na nią nie zwracać uwagi. Poza tym doktor kazał jej zażywać więcej ruchu.

Patrzyłam na nią z mieszanymi uczuciami. Była zdumiona i przestraszona jak niemowlę, które nauczyło się wstawać, trzymając szczebelków, ale nie potrafi znowu usiąść.

Mąż ignorował ją całkowicie. Rozsiadł się na kozetce. Całą przestrzeń między szeroko rozstawionymi udami zajął brzuch, niczym worek z grubego płótna, równie niewygodny, jak przebranie klauna ze sztucznym kałdunem. Pan Snyder położył dłonie na kolanach i poświęcił mi całkowitą uwagę, jakbym miała opisywać jego historię w tygodniku „OTO TWOJE ŻYCIE”.

- Mieszkamy w tym domu od czterdziestu lat - zaczął. - Odkupiliśmy go w czterdziestym trzecim za cztery tysiące dolarów. Idę o zakład, że w życiu się pani nie spotkała z tak niską ceną domu. Teraz sama działka warta

jest ze sto piętnaście tysięcy. Nie licząc domu. Mogą go zburzyć i postawić tu sobie, co zechcą. Diabła tam. Żona z tym rusztowaniem nie może nawet wejść do ubikacji. Leonard, ten obok, prawie sprzedał dom za sto trzydzieści pięć. Miał sprawę na piśmie, zapiętą na ostatni guzik i wszystko diabli wzięli. Prawie go to wykończyło. Żal człowieka. Dom spalony. Żona nie żyje. Pani wie, co by dzisiaj smarkacze powiedzieli... źle ją obracał, ot co.

I tak zalał mnie potokiem słów. Robiłam w pamięci notatki. Szło lepiej, niż oczekiwałam. Sądziłam, że będę musiała opowiedzieć parę kłamstw, pokluczyć trochę, żeby sprowadzić rozmowę od poszukiwań Elaine Boldt do morderstwa po sąsiedzku, ale oto Orris Snyder siedział i niepytany dawał świadectwo prawdzie. Nagle uświadomiłam sobie, że zamilkł. Siedział i patrzył na mnie.

- Sprzedał pan dom? Widziałam tablicę przed wejściem.

- Sprzedałem - oznajmił z satysfakcją. - Możemy się przeprowadzić do domu spokojnej starości, jak tylko dzieciaki nas spakują. Mamy rezerwację. Jesteśmy na liście i wszystko załatwione. Ona jest już stara. Najczęściej nie wie w ogóle, gdzie jest. Gdyby to u nas wybuchł pożar, usmażyłyby się żywcem.

Zerknęłam na jego żonę, która najwyraźniej z niemałym trudem trzymała się na nogach. Obawiałam się, że może zemdleć, ale on nie zwracał na nią uwagi. Równie dobrze mogłaby być rośliną doniczkową.

Podjął opowiadanie, jakby dopingowany pytaniami niewidocznej publiki.

- Taaak, sprzedałem go. Ona by chciała wtrącić swoje trzy grosze, ale dom jest na mnie i jest moją wyłączną własnością. Zapłaciłem za niego cztery tysiące dolarów. Teraz to dopiero zarobek, no nie?

- Całkiem niezły - przyznałam. Znowu zerknęłam na jego żonę. Zaczynały jej drżeć nogi.

- May, może byś wróciła do łóżka? - rzucił pan Snyder, a potem spojrział na mnie, z dezaprobatą kręcąc głową. - Jest przygłucha. Czasem słyszy lepiej, czasem gorzej. Niedosłyszany i niedowidzi. A w zeszłym tygodniu zaklinowała nogę balkoniku w drzwiach schowka na szczotki i utknęła tam na czterdzieści sześć minut. Głupia starucha.

- Chętnie pomogę pani Snyder wrócić do łóżka - zaoferowałam się.

Snyder dźwignął się z kozetki, a żeby tego dokonać, musiał przekreślić się na bok. Z wysiłkiem stanął na nogach, podszedł do żony i krzyknął jej w twarz:

- Idź się trochę położyć, przyniosę ci ciasta.

Przyglądała się uparcie jego szyi. Mogłabym przysiąc, że doskonale słyszy. Że jest uparta i ponura.

- Dlaczego zapaliłeś światło? Myślałam, że jeszcze dzień - odezwała się.

- Prąd do tej żarówki kosztuje tylko pięć centów - oznajmił mąż.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że jest już ciemna noc i pora, żebyś poszła do łóżka - wrzasnął.

- Dobrze - zgodziła się. - W takim razie pójdę się położyć.

Z wysiłkiem i nie miałym hałasem obróciła balkonik. Jej spojrzenie przesunęło się po mnie, nagle jakby wyłowiła mnie z tumana mgły.

- Kto tu?

- Jedna pani - Snyder przejął inicjatywę. - Opowiadałem jej o pechu Leonarda.

- A powiedziałaś, co słyszałam tamtej nocy? Opowiedz, jak mi to walenie nie dawało spać. Jakby ktoś wbijał gwoździe na obrazy. Bum, bum, bum i bum. Tak mnie od tego rozboleła głowa, że aż musiałam wziąć proszek.

- To nie było tej samej nocy, May. Jak długo jeszcze mam ci powtarzać? Nie mogło być wtedy, bo Leonarda nie było w domu, a tylko on tam się zajmuje takimi rzeczami. Włamywacze nie wieszają obrazów.

Przeniósł spojrzenie na mnie i palcem wskazującym zakreślił kółko na skroni.

- Łupał i łupał - ciągnęła pani Snyder, ale już tylko mamrotała do siebie, powłóczyła nogami, popychając balkonik niczym wieszak na ubrania.

- Pokręciło jej się w głowie - rzucił mi przez ramię pan Snyder. - Sika pod siebie. Musiałem powynosić wszystkie meble z jadalni i postawić jej łóżko tam, gdzie dawniej był kredens. Już w dzień ślubu jej powiedziałem, że ją przeżyję. Działa mi na nerwy. Zawsze tak było. Równie dobrze mógłbym żyć z kawałkiem mięsa.

- Kto tam z tobą jest? - zapytała pani Snyder.

- Nikt. Gadam do siebie - odparł jej mąż.

Szurając nogami powędrował za nią korytarzem. Jego złośliwości były, mimo szorstkich słów, podszyte czułością. W każdym razie pani Snyder zdawała się nieświadoma przytyków ani przejawów tyranii. Zamyśliłam się nad tym, czy Snyder tkwił w jednym miejscu i skrupulatnie mierzył

czas przez całych czterdzieści sześć minut, gdy borykała się z drzwiami schowka na szczotki? Czy wszystkie małżeństwa osiągają podobny stan? Widywałam pary w podeszłym wieku spacerujące po ulicy za rękę i zawsze patrzyłam na nie lekko rozrzuwionym wzrokiem, ale może za zamkniętymi drzwiami ich życie także wygląda tak jak tutaj. Byłam mężatką dwukrotnie; oba związki skończyły się rozwodami. Czasami miewałam do siebie o to pretensje, ale z upływem czasu nie byłam już taka pewna, czy słusznie. Może dokonałam właściwego wyboru? Osobiście wolałabym zestarzeć się samotnie niż w towarzystwie mężczyzn, których poznałam do tej pory. Choć nie mam u boku mężczyzny, nie czuję się samotna, gorsza czy niedowartościowana, ale też nie wspominam o tym zbyt często. Wydaje się, że to ludzi wkurza. Zwłaszcza mężczyzn.

# ROZDZIAŁ 8

Pan Snyder wrócił do saloniku, ciężko siadł na kozetce.

- No i tak.

- Co może mi pan powiedzieć o tym wypadku w sąsiedztwie? - zapytałam. - Oglądałam tamtą posiadłość. Wygląda strasznie.

Pokiwał głową, przybrał minę jak w czasie występu w telewizji, wzrok wlepił w jakiś punkt przed sobą.

- Więc było tak: samochody straży pożarnej obudziły mnie o dziesiątej wieczorem. Przyjechały dwa. Ja w ogóle nie śpię dobrze i słyszałem syreny, jak wyły coraz bliżej, a potem wstałem i wyszedłem. Sąsiedzi zbiegali się ze wszystkich stron. Czarny dym zasłonił ten dom, nie wyobraża pani sobie, jaki to był widok. Strażacy wyrąbali drogę do środka i wtedy płomienie wydostały się na ganek. Cały tył ocalał. Znaleźli Marthę, żonę Leonarda, na podłodze. O, mniej więcej tam - uściślił, wskazując w stronę frontowych drzwi. - Ja jej nie widziałem, ale Tillie powiedziała, że była zwęglona od stóp do głów. Jak jakiś pniak, jak kawał drewna.

- Nic mi o tym nie wspomniała.

- To ona zobaczyła dym i zaraz wezwała pomoc. Punktualnie o dziesiątej. Ja spałem jak zabity. Obudziłem się dopiero, jak przyjechały wozy strażackie. Myślałem, że jadą gdzieś dalej, ale potem zobaczyłem światła, więc wstałem, włożyłem szlafrok i wyszedłem. Biedny Leonard; nie było go w domu. Wrócił mniej więcej wtedy, kiedy udało się ugasić ogień. Runął jak długi, jak usłyszał, że ona nie żyje. W życiu nie widziałem takiego zrozpaczonego człowieka. Moja żona May w ogóle się nie obudziła. Wzięła

proszki nasenne, a swoją drogą, głucha jest jak pień. Sama pani widziała. Gdyby u nas wybuchł pożar, upiekłaby się żywcem.

- O której godzinie pan Grice wrócił do domu?

- Dokładnie nie wiem. Jakies piętnaście, może dwadzieścia minut po przyjeździe straży. Słyszałem, że był na kolacji z siostrą, wrócił do domu i dowiedział się, że jego żona nie żyje. Kolana się pod nim ugięły i zemdłał. Osunął się na chodnik; widziałem, bo stałem niedaleko. Zbladł okropnie i padł jak rażony gromem. W życiu nie widziałem nic straszniejszego. Wynieśli ją całą w plastikowym worku...

- Jak Tillie mogła ją zobaczyć? - przerwałam. - Jeśli wynieśli ciało już w zamkniętym worku?

- Ach, ta Tillie zawsze wszystko wie. Niech pani ją zapyta. Może się przepchnęła, kiedy wyważono drzwi, i wtedy zobaczyła ciało. Zbiera mi się na mdłości, kiedy o tym myślę.

- O ile mi wiadomo, Leonard Grice przeniósł się do siostry?

- Tak słyszałem. Ona ma na nazwisko Howe. Mieszka na ulicy Carolina. Znajdzie pani w książce telefonicznej, jeśli zechce pani z nim porozmawiać.

- Dobrze. Spróbuję się z nim spotkać dziś po południu. Mam nadzieję, że zdoła mi podpowiedzieć, dokąd mogła pojechać pani Boldt. -Wstałam, wyciągnęłam rękę do gospodarza. - Bardzo mi pan pomógł.

Pan Snyder z niemałym trudem dźwignął się z kozetki, potrząsnął swoją dłońią i odprowadził mnie do drzwi.

- A jak pan sądzi - spojrzałam na niego nagle zaciekawiona - co to mogło być za łupanie, o którym wspomniała pańska żona? Domyśla się pan, co mogła mieć na myśli?

Niecierpliwie zamachał rękami.

- Ona sama nie wie, co gada. Wszystko jej się pomieszało.

Wzruszyłam ramionami.

- W każdym razie mam nadzieję, że pan Grice nie czuje się bardzo źle. Był przynajmniej ubezpieczony?

Pokręcił głową, pociągnął się za brodę.

- Chyba niespecjalnie dobrze na tym wyszedł. Obaj ubezpieczyliśmy się w tym samym towarzystwie, ale z tego, co wiem, on wykupił polisę na jakieś nieduże pieniądze. Po tym spaleniu i po śmierci żony jest pewnie całkiem zrujnowany. Był na rencie, bo miał kłopoty z kręgosłupem, rozumie pani, i ona była jego jedyną podporą;

- Straszne. Przykro mi to słyszeć - rzekłam i zaryzykowałam: - Jakie to towarzystwo ubezpieczeniowe?

- California Fidelity.

Aaach. Serce zaczęło mi bić żwawiej. Pierwsza furka. Pracowałam dla nich.

California Fidelity jest niewielkim towarzystwem ubezpieczeniowym oferującym wszelkie powszechnie proponowane ubezpieczenia: na życie i zdrowie, nieruchomości, samochodowe, różnorodnych przedsięwzięć handlowych. Ma filie w San Francisco, w Pasadenie i w Palm Springs. W Santa Teresa mają główną siedzibę na pierwszym piętrze dwupiętrowego budynku na State Street przecinającej centrum miasta. Podnajmuję u nich kąt składający się z dwóch pomieszczeń z osobnym wejściem; pierwsze z nich jest przechodnie. We wczesnym etapie mojej kariery zawodowej nawet pracowałam dla California Fidelity. Prowadziłam dochodzenia w sprawach roszczeń dotyczących pożarów i podejrzanych okoliczności zgonów. Do dziś utrzymujemy luźną współpracę. W zamian za powierzchnię biurową co miesiąc przeprowadzam im jakieś dochodzenie.

Wróciwszy do biura sprawdziłam sekretarkę automatyczną. Kontrolka migiała, ale na taśmie nagrało się tylko kilka zgrzytliwych pisków. Swego czasu korzystałam z usług żywej obsługi, ale wiadomości najczęściej docierały do mnie poprzekręcane. Ewentualni klienci nie mieli ochoty zwierzać się z kłopotów jakiejś smarkatej operatorce, która ledwie potrafiła przeliterować nazwisko, a co dopiero prawidłowo zapisać numer. Automatyczna sekretarka jest irytująca, ale przynajmniej informuje potencjalnego klienta, że jestem kobietą, i w dodatku oznajmia to już po drugim dzwonku. Korespondencja jeszcze nie przyszła, więc powędrowałam za ścianę, do Very Lipton, jednej z pracownic California Fidelity zajmującej się rozpatrywaniem roszczeń.

Klitka Very znajdowała się w centrum plastra miodu składającego się z jednoosobowych budek. Każda wyposażona była w biurko, szafkę na akta, dwa krzesła oraz telefon i trochę przypominała kanciapę bukmachera. Klitkę Very rozpoznawało się dzięki bladej smudze dymu pełznącej nad wysokimi do ramion przepierzeniami. Ona jedna w całym towarzystwie ubezpieczeniowym paliła papierosy i czyniła to z rozkoszą, traktując białe filtry poplamione na końcach niczym ampułki destylowanej nikotyny. Uzależniona była także od coca-coli, więc wokół jej biurka stał zazwyczaj rząd pustych butelek. Opróżniała je w tempie jedna na godzinę, Miała



trzydzieści sześć lat, była stanu wolnego i kolekcjonowała mężczyzn ze stoickim spokojem, ale najwyraźniej żaden jej nie pasował. Zajrzałam za przepierzenie.

- Co zrobiłaś z włosami? - zapytałam, rzuciwszy na nią okiem.

- To peruka - odparła. - Całą noc nie spałam. - Wsadziła w zęby nowego papierosa, przygryzła go lekko, przypaliła. Zawsze mnie zachwycał jej styl palenia. Bez troski i wyrafinowany, wybredny i zdecydowany. - Zamierzam podbarwić włosy na ten kolor - stwierdziła, wskazując rozwichrzoną perukę w jasne pasma. - Dawno już nie byłam blondynką.

- Ładnie ci w tym - uznałam. Zazwyczaj występowała w rozmaitych odcieniach rudego, mieszając kilka farb Clairolu, od „roziskrzzonej wiśni” po „blask płomieni”.

Na nosie miała okulary w oprawkach z żółtawej skorupy i z wielkimi okrągłymi szklami podfarbowanymi na kolor mrożonej herbaty. Nosila okulary w taki sposób, że inne kobiety, patrząc na nią, tęskniły za wadami wzroku.

- Czuję, że w twoim życiu pojawił się nowy mężczyzna - powiedziałam.

Vera pogardliwie wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Aktualnie mam dwóch, ale nie dlatego nie spałam w nocy. Czytałam książkę o zastosowaniach nowoczesnej technologii. Lasery, rozwój konwerterów od analogowych po cyfrowe. Zainteresowałam się wczoraj elektrycznością, wiesz? Nikt tak naprawdę nie wie, co to takiego jest. Moim zdaniem to odrobinę niepokojące. Ludzie tylko operują szumną terminologią. „Amplituda impulsów”, „oscylacja”. Może natknę się kiedyś na faceta, o którym też będę mogła to powiedzieć. Co u ciebie? Chcesz coli?

Wysunęła najniższą szufladę biurka, gdzie trzymała lodówkę turystyczną pełną lodu. Wyjęła butelkę i otworzyła, wprawnym ruchem zaczepiając kapsel o metalową rączkę. Wyciągnęła do mnie rękę z butelką, ale że pokręciłam głową, wypila sama.

- Siadaj - powiedziała, z głośnym stuknięciem odstawiając butelkę na blat.

Ominięłam stertę dokumentów i usiadłam na wolnym krześle.

- Słyszałaś coś o Marcie Grice zamordowanej jakieś pół roku temu? Podobno była u was ubezpieczona.

Vera delikatnie przesunęła kciukiem i palcem wskazującym po kącikach ust.

- Słyszałam, słyszałam. Nawet się tym zajmowałam. Byłam na miejscu dwa dni po wypadku. Boże, ale bajzel. Nie mam jeszcze protokołów strat, ale Pam Sharkey ma mi je dostarczyć najdalej za parę tygodni.

- Ona była doradcą Grice'ów?

Vera pokiwała głową, zaciągając się papierosem. Wydmuchnęła dym prosto do góry.

- Porządna polisa przeszła im koło nosa, ale została na jakieś dwadzieścia pięć setek. W dzisiejszych czasach nie wystarczy pewnie nawet na pochówek dla psa. Jest też ubezpieczenie nieruchomości od ognia, ale facet opłacił zdecydowanie za niską stawkę. Pam przysięga na wszystkie świętości, że doradzała mu podwyższenie kwoty, ale on nie chciał się wpędzać w dodatkowe koszty. Wiesz, jak ludzie do tego podchodzą. Usiłują za wszelką cenę zaoszczędzić parę groszy, a jak im się przydarzy nieszczęście, są do tyłu na dwieście, trzysta tysięcy. - Postukała papierosem w szyjkę opróżnionej butelki, starannie strząsając popiół do środka.

- Dlaczego sprawy odszkodowania ciągną się tak długo?

Vera skrzywiła się i przymknęła jedno oko.

- A bo to wiadomo? Facet ma rok na wniesienie roszczeń. Pam twierdzi, że od śmierci żony zupełnie stracił jaja. Ledwie umie się podpisać.

- Ona zostawiła testament?

- O ile wiem, nie. W każdym razie sprawa od jakichś pięciu miesięcy tkwi w sądzie cywilnym. Czego szukasz? Węszysz dookoła tego morderstwa?

- Niezupełnie. Szukam kobiety, która mieszkała w sąsiednim budynku. Wyjechała kilka dni po morderstwie i od tamtej pory nikt jej nie widział. Przyszło mi do głowy, że może istnieć jakieś powiązanie. Miałam nadzieję, że opowiesz mi o wielkiej polisie ubezpieczeniowej.

- Gliniarze też na to wpadli. Twój kumpel, porucznik Dolan, przez ładnych parę dni niemal siedział mi na kolanach. Cały czas mu powtarzałam, żeby sobie dał spokój. Facet jest splukany, nie zarobi na tym złamanego grosza. W końcu chyba go przekonałam, bo przestał przychodzić. Uważasz, że pan Grice i laleczka z sąsiedztwa byli w zмовіе?

- Rzeczywiście, przyszło mi to do głowy. Jeszcze z nim nie rozmawiałam i nie mam pojęcia, czy w ogóle się znali, ale to rzeczywiście wygląda

podejrzanie. Z tego, co mi powiedziano, opuściła miasto nagle i była mocno rozstrojona. W pierwszym odruchu uznałam, że pewnie coś zobaczyła, i zniknęła, żeby uniknąć wmieszania w całą sprawę.

- Może i tak - mruknęła Vera z powątpiewaniem.

- Nie wierzysz w to.

- Patrzę z jego punktu widzenia. Jeśli facet zabił żonę dla korzyści, to na pewno mu nie wyszło. Powinien był podwyższyć wartość polisy. Gdyby był sprytny, zrobiłby to jakieś dwa, trzy lata temu, odczekał, żeby wszystko nie było zbyt oczywiste, a potem... - strzeliła palcami - żona martwa, a on zgarnia kasę. Jeśli ją zabił, choć nie ma z tego ani grosza, to jest idiota.

- Chyba że po prostu chciał się jej pozbyć. Może chodziło mu tylko o to. Może wtedy fakt, że nie podwyższył sumy ubezpieczenia, był niezłym chwytem.

- Skąd mam wiedzieć? Nie jestem cholernym zabójcą.

- Ja też nie. Tylko próbuję się dowiedzieć, dlaczego ta kobieta wyjechała i gdzie może być. Nawet jeśli Leonard Grice rzeczywiście nie miał z tym nic wspólnego, nadal istnieje możliwość, że coś widziała. Całe to włamanie wydaje się trochę naciągane.

Vera uśmiechnęła się cynicznie.

- A może ona to zrobiła.

- Rany, jesteś bardziej podejrzliwa niż ja.

- Chcesz numer do Leonarda Grice'a? Gdzieś tu go mam. - Wrzuciła niedopałek do butelki po coca-coli. Rozżarzony koniuszek z sykiem zgaś w pozostałych na dnie paru kroplach napoju. Vera wydobyła akta z samego dołu sterty i znalazła mi odpowiedni numer telefonu oraz adres.

- Serdeczne dzięki.

Oszacowała mnie spojrzeniem.

- Jesteś zainteresowana niezonatym inżynierem lotnictwa? Ma szmal. Wynalazł jakiś dynks, którego teraz używa się we wszystkich satelitach.

- A ty dlaczego go nie chcesz? - spytałam. Miała tendencję do rozdawania swoich byłych kochanków niczym upominków oferowanych przez hostessę.

Skrzywiła się szkaradnie.

- Jakiś czas było fajnie, ale potem podupał na zdrowiu i zaczął brać lekarstwo z alg. Nie mam ochoty całować człowieka, który jada rzęsę ze

stawu. Pomyślałam, że może tobie nie będzie to przeszkadzało, skoro prowadzisz taki schludny tryb życia. Moglibyście pewnie razem uprawiać jogging i skubać chrupki z suszonych wodorostów. Jeśli cię interesuje, jest twój.

- Jesteś dla mnie zbyt łaskawa - oznajmiłam. - Będę miała oczy szeroko otwarte. Może trafię na kogoś, kto by do niego pasował.

- Strasznie jesteś grymaśna, Kinsey - potępiła mnie Vera.

- Ja?! To co powiesz o sobie?

Vera wsadziła między zęby następnego papierosa i przypaliła złotą zapalniczką.

- Ja uważam - rzekła - że mężczyźni są jak próbki od Whitmana. Lubię próbować ciągle nowych i zmieniać, zanim się zepsują.

# ROZDZIAŁ 9

Minęła trzynasta trzydzieści, a o ile sobie przypominałam, nie jadłam jeszcze obiadu. Podjechałam do baru szybkiej obsługi, zaparkowałam i weszłam do środka. Mogłam wykrzyknąć zamówienie prosto w otwór gębowy klauna i zjeść po drodze, w samochodzie, ale chciałam pokazać, że mam klasę. Przełknęłam hamburgera z plasterkiem sera oraz frytki, popiłam colą - wszystko razem za dolara sześćdziesiąt dziewięć. Równo po siedmiu minutach byłam znowu na ulicy.

Dom, w którym podobno przebywał Leonard Grice, odnalazłam w ciągu obskurnych budynków nieopodal autostrady, pomiędzy wijącymi się uliczkami, którym nadano nazwy od stanów, poczynając od East Coast. Tak więc jechałam przez Maine, Massachusetts, Nowy Jork, a następnie Rhode Island, utykając zniechęca w ślepych uliczkach Vermont albo New Jersey. Budujący dotarli do Colorado Avenue, a potem skończyły im się pieniądze lub znajomość geografii. Rozciągały się przede mną obszary wolnych parceli z powbijanymi co jakiś czas słupami. Każdy zwieńczony był białą szmatką, na znak, że to wolny kawałek ziemi.

Większość tych domów wyrosła w latach pięćdziesiątych. Kwitnące drzewa przesłaniały niewielkie działki. Pokryte stiukiem domy pomalowane były na bladoróżowo albo bladozielono, bliźniaczo podobne jeden do drugiego, jak ciasteczka jednego rodzaju wystawione na tacy w cukierni. Wszystkie miały dachy posypane drobnymi kamykami, jak gdyby pokrył je wybuch pobliskiego wulkanu. Wszystkie zdawały się zdominowane przez przepastne garaże. Mimowolnie oglądałam narzędzia ogrodnicze,

toalety kempingowe, zabawki, zraszacze, zakurzone bagaże i popsute lodówki. Zadziwiająco mało było tu samochodów, więc osiedle robiło wrażenie opuszczonego w następstwie strasznej katastrofy. Może przeszła tędy jakaś plaga, a może wydobyły się z ziemi odpady toksyczne, zabijając wszystkie psy i koty, wypalając dziury w dziecięcych stopkach. Pomiędzy Maryland a Virginią skręciłam w prawo.

Na Carolina Street kilku przedsiębiorczych mieszkańców obłożyło swoje domy kamieniami polnymi albo cedrowymi gontami. Niektórzy preferowali trend orientalny - ujrzałam kraty sklejkę z geometrycznymi wycięciami, które miały udawać chińskie wzory, rogi dachów obłożone dachówkami zgodnie z panującą w latach pięćdziesiątych modą na styl pagody. W porównaniu z nowszymi ulicami położonymi na obrzeżach Santa Teresa, domy te były bardzo liche, a ich fatalny stan niemal kłuł w oczy. Stiuk był popękany, okiennice krzywe, fornir na frontowych drzwiach odłaził płatami. Nawet zasłony wisiały krzywo. Nietrudno było sobie wyobrazić powybrzuszany tynk w łazience, poplamione rdzą krany.

Państwo Howe przemienili teren przed frontem swego domu w ogródek skalny, skutecznie grzebiąc parszywą trawę pod tonami piasku, zwieńczonego drobnymi kamykami w odcieniach fiołkoworóżowym i zielonkawym. Dostrzegłam pasek czarnej folii, wyzierającej spod żwiru, którą próbowano zdusić chwasty. Ostra trawa podjęła wyzwanie i wiła się niemrawo pomiędzy kamykami. Obok kaktusa wciśnięto fontannę dla ptaków, a tuż przy niej betonowa wiewiórka przeżyła się do skoku, zastygła w kamienym optymizmie. Wątpiłam, żeby pomiędzy tymi domami żyły prawdziwe wiewiórki.

Zaparkowałam i podeszłam do drzwi. Wzięłam ze sobą podkładkę z zaciskiem na papiery, którą zazwyczaj woziłam na tylnym siedzeniu. Garaż państwa Howe'ów był zamknięty, przez co dom wyglądał na pusty i niezamieszany. Długą linię niskiego ganku obrastała winorośl, co prawda bardzo malownicza, lecz zdolna zdjąć z domu cały dach. Okna skrywały zasłony. Nacisnęłam dzwonek, ale nie usłyszałam ze środka potwierdzającego „ding- dong”. Odczekałam minutę. Zapukałam.

Kobieta, która podeszła do drzwi, była wyraźnie zmęczona. Obdarzyła mnie niechętnym spojrzeniem wyblakłych niebieskich oczu.

- Pani Howe? - zapytałam.

- Tak, nazywam się Howe - rzekła.

Poczułam się, jakbym słuchała nagrania pierwszej lekcji obcego języka. Gospodyni miała podkrążone oczy, głos głuchy i bez wyrazu, jak z głośnika.

- O ile mi wiadomo, przebywa u pani pan Leonard Grice. Czy to prawda?

- Tak.

Uniosłam nieco wyżej podkładkę pod papiery.

- Jestem z towarzystwa ubezpieczeniowego. Chciałabym zamienić kilka słów z panem Grice'em. - Cud boski, że za te kłamstwa nie zabił mnie na miejscu piorun z jasnego nieba.

- Leonard odpoczywa. Może zajrzy pani innym razem. - Już się wycofywała.

- Zajmę mu tylko chwilkę - odezwałam się szybko. Zdażyłam wetknąć podkładkę w szczelinę między framugą a drzwiami, więc nie mogła ich zamknąć.

- Doktor kazał mu brać środki uspokajające. - Nie wyraziła się jasno, ale i tak wiadomo było, o co chodzi.

- Rozumiem. Cóż, oczywiście nic chciałabym się naprzykrzać, ale naprawdę powinnam z nim porozmawiać. Przejechałam taki kawał drogi... - Starłam się być ujmująca, lecz najwyraźniej bezskutecznie.

Gospodyni mierzyła mnie wzrokiem, na jej policzki zaczęły wypływać rumieńce. Zerknęła w bok, jakby się chciała poradzić niewidocznego towarzysza. Raptownie odstaąpiła od drzwi i wpuściła mnie do domu, z manierą człowieka, który bez żenady używa słów nie nadających się do druku. Włosy miała szare, cienkie, do ramion i podwinięte pod spód, na wzór fryzur noszonych przez średniowiecznych paziów. Do tego grzywka w stylu, jakiego nie widziałam od czasów filmów z piękną i wiecznie cierpiącą June Allyson. Pani Howe miała na sobie białą bluzkę i praktyczną wełnianą spódnicę w kolorze węgla drzewnego. Była klockowata w talii. Jak to się dzieje, że ciało kobiet w średnim wieku ochoczo imituje ciężę?

- Zapytam, czy z panią porozmawia - rzuciła i wyszła z salonu.

Czekałam tuż przy drzwiach, szacując spojrzeniem wełniane sfilcowane dywany, ceglany kominek pomalowany na biało, a nad nim obraz olejny, przedstawiający fale rozbijające się o skały. Gospodyni najwyraźniej potraktowała malowidło jako centralny punkt odniesienia dekoracyjnego,

gdyż kanapa oraz fotele z szerokimi zagłówkami były obite tym samym pasjonującym odcieniem turkusowego, tkaniną, która zdawała się odrobinę wilgotna.

Nienawidziłam tej części mojego zawodu - ciągłego rozdrapywania cudzego bólu i żalu, naruszania prywatności. Czułam się jak akwizytor wpychający ludziom niechciane komplety encyklopedii przyrody premiowane gratisową kasetką ze sztucznego drzewa orzechowego. Czasem miewałam też pretensje do siebie o ferowanie wyroków. Bo i cóż ja, u licha, wiedziałam o fryzurach? Co ja wiedziałam o falach rozbijających się o skały? Może turkus był wyobrażeniem dokładnie tego, co właścicielka chciała osiągnąć w tym pokoju.

Kiedy ukazał się Leonard Grice, serce we mnie zamarło. Nie wyglądał na mężczyznę, który zamordował swoją żonę, mimo że ta teoria bardzo do mnie przemawiała. Niedawno przekroczył pięćdziesiątkę, a poruszał się jak starzec. Nie był brzydki, ale twarz miał bladą i policzki zapadnięte, może ostatnio dużo stracił na wadze. Zachowywał się trochę nieprzytomnie, idąc, wystawiał przed siebie ręce, jakby był niewidomy. Przejawiał wszystkie symptomy zachowania człowieka, który wpadł na coś w ciemnościach i chciał być pewien, że to się drugi raz nie powtórzy. Oczywiście, było możliwe, że zabił żonę, a teraz zżerało go poczucie winy i wyrzuty sumienia; jednak zabójcy, z którymi się spotkałam w mojej krótkiej karierze, bywali albo niewytłumaczalnie pogodni, albo rzeczowi, jakby nie potrafili pojąć, o co właściwie całe to zamieszanie.

Siostra Leonarda szła obok niego. Trzymała dłoń w pogotowiu, tuż przy jego łokciu, obserwując, gdzie stawiał stopy. Podprowadziła go do fotela i rzuciła mi jadownicę spojrzeń. Najwyraźniej miała nadzieję, że jestem usatysfakcjonowana kłopotami, które spowodowałam. Muszę przyznać, że rzeczywiście czułam się podle.

Pan Grice usiadł. Chyba odrobinę przyszedł do siebie, bo sięgnął odruchowo po paczkę cameli wetkniętą w kieszonkę koszuli. Pani Howe przypnęła na brzegu kanapy.

- Przykro mi, że przeszkadzam - odezwał się - ale właśnie rozmawiałam z pracownicą California Fidelity i chciałabym uściślić kilka szczegółów. Czy zechce pan odpowiedzieć mi na kilka pytań?

- Trudno odmawiać współpracy z towarzystwem ubezpieczeniowym - zauważyła rozdrażniona pani Howe.



Leonard odchrząknął, dwukrotnie potarł zapałką o bok pudełka, bez skutku. Ręce mu drżały tak mocno, że nie miałam pewności, czy trafi płomieniem w końcówkę papierosa, nawet jeśli w końcu uda mu się skrzesać iskrę. Pani Howe wyjęła mu z rąk zapałki i zapaliła jedną. Zaciągnął się głęboko.

- Musi mi pani wybaczyć - powiedział. - Lekarz przepisał mi jakieś specyfiki, po których tak właśnie się czuję. Mam kłopoty z kręgosłupem. O co chciałaby pani zapytać?

- Dopiero niedawno dostałam pana sprawę i przyszło mi do głowy, że przydałoby się, gdyby pan sam opowiedział mi o wydarzeniach tamtej nocy.

- Na litość boską! - wykrzyknęła pani Howe.

- Już dobrze, Lily - uspokajał ją Leonard Grice. - Nic się nie denerwuj. Pani na pewno ma powody, żeby o to prosić. - Mówił teraz silniejszym głosem, rozpraszając poprzednie wrażenie słabości. Ponownie głęboko wciągnął dym, trzymając papierosa pomiędzy wskazującym a środkowym palcem. - Moja siostra owdowiała - oznajmił, jakby to mogło tłumaczyć jej wojownicze usposobienie. - Jej mąż zmarł na atak serca półtora roku temu. Od tego czasu Marty i ja nabraliśmy zwyczaju wychodzenia z Lii na kolację. Raz w tygodniu. Żeby trzymać się razem i częściej widywać. Tamtej nocy Marty także miała się wybrać z nami, jak zwykle, ale źle się czuła. Miała chyba początek grypy, w ostatniej chwili zdecydowała się zostać w domu. Tamtego dnia wypadały urodziny Lii. Marty była bardzo rozczarowana, że nie może pójść z nami, bo mieliśmy dla Lii niespodziankę: zamówiliśmy tort, śpiewy urodzinowe... Wie pani, jak to urządzają w restauracjach. Marty bardzo chciała zobaczyć minę Lily. Z drugiej strony nie czuła się dobrze i obawiała się, że może popsuć wieczór, więc w końcu nie poszła. - Umilkł, głęboko zaciągnął się dymem. Na końcu papierosa urósł spory szary słupek; Lily pchnęła w stronę brata popielniczkę dokładnie w momencie, gdy popiół odpadł od żaru.

- Czy mieli państwo w zwyczaju wychodzić zawsze tego samego dnia tygodnia? - zapytałam.

Leonard Grice pokiwał głową.

- We wtorki.

Skrupulatnie czytałam zapiski w bloczku umocowanym na podkładce. Miałam nadzieję, że wyglądam, jakbym miała prawo wypytywać o to wszystko.

Ta podkładka z zaciskiem na papiery była chyba niezłym posunięciem. W każdym razie na Lily zrobiła wrażenie. Gospodyni chciała, żebym zapisała także coś, co powie ona.

- Dla mnie to najodpowiedniejsza pora - oznajmiła. - We wtorki chodzę do fryzjera i lubię wyjść na miasto, gdy mam świeżo ułożone włosy.

„Fryzj. we wt.” - zapisałam.

- Ile osób wiedziało, że wychodzą państwo we wtorkowe wieczory?

Leonard przesunął po mnie zdziwionym spojrzeniem. Lekarstwo przemieniło jego źrenice w wielkie perfekcyjnie czarne dziury, które wyglądały jak zrobione dziurkaczem do papieru.

- Słucham?

- Chciałabym wiedzieć, czy dużo osób wiedziało o państwa wtorkowych wyjściach. Jeśli intruz był państwa znajomym, mógł się spodziewać, że dom będzie pusty jak zwykle w tym dniu tygodnia.

Po twarzy Grice'a przemknął cień niepewności.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z żądaniem odszkodowania - powiedział.

Musiałam bardzo ostrożnie wybrać odpowiedź, bo mogła mi się rozsypać cała intryga. Moje pytania nie miały nic wspólnego z niczym, poza próbą ustalenia, czy Elaine mogła być świadkiem morderstwa. Jak dotąd nie wiedziałam nawet, co się właściwie wydarzyło tamtej nocy i próbowałam z Grice'a wyciągnąć jakieś informacje. Porucznik Dolan nie zamierzał pisać słowa, to pewne.

Uśmiechnęłam się swobodnie.

- Naturalnie zależy nam na wykryciu sprawcy zbrodni – rzuciłam lekkim tonem. - Mogą nam być potrzebne ustalenia w sprawie przed wypłaceniem roszczeń.

Lily zerknęła na Leonarda, potem znowu spojrzała na mnie, zaalarmowana jego znużeniem.

- Jakie ustalenia? - zapytała. - Nie rozumiem, o co pani chodzi. Leonard odzyskał wigor.

- Lii, przecież to nic nie zaszkodzi - rzekł. - Towarzystwo ubezpieczeniowe chce dotrzeć do sedna tamtych wydarzeń podobnie jak my. Policja nic nie osiągnęła przez kilka miesięcy - znowu spojrzała na mnie. - Musi pani wybaczyć Lii...

- Nie przepraszaj za mnie, w mojej obecności - burknęła. - Jesteś zbyt

ufny, Leonardzie. To twoja wada. Marty była taka sama. Gdyby była odrobinę ostrożniejsza, może by dzisiaj żyła!

Zamilkła, zacisnęła usta, by po chwili, ku memu zdumieniu, dorzucić kilka szczegółów:

- Właśnie rozmawialiśmy przez telefon, kiedy ktoś do niej przyszedł. Skończyliśmy rozmowę, żeby mogła zobaczyć, kto to taki.

- Policja twierdzi, że mogła znać tę osobę - wtrącił Leonard - ale też mógł to być ktoś zupełnie obcy. Podobno włamywacze często dzwonią do drzwi, jeśli w domu pali się światło. Jak ktoś otworzy, udają, że pomylili adres. Jeśli nikt nie otwiera, mogą się włamywać.

- Czy były jakieś ślady walki?

- Chyba nie - rzekł Grice. - Nic mi o tym nie wiadomo. Nawet przeszedłem przez dom, ale nie potrafiłem powiedzieć, czy czegoś brakuje.

Zwróciłam się do Lily.

- W jakiej sprawie dzwoniła pani Martha Grice? - zapytałam. - Czy może to pani dzwoniła do niej?

- Ja do niej zadzwoniłam, jak tylko wróciliśmy. Dotarliśmy tutaj trochę później, niż przypuszczaliśmy, więc Leonard nie chciał, żeby się niepokoiła.

- Kiedy pani z nią rozmawiała, wszystko było w porządku?

Lily pokiwała głową.

- Tak. Wszystko było zupełnie normalne. Leonard rozmawiał z nią przez chwilę, a potem ja znowu wzięłam słuchawkę. Nagle powiedziała, że ktoś dzwoni do drzwi. Miałam zaproponować, że poczekam przy telefonie, ale już i tak miałyśmy kończyć, więc tylko się pożegnaliśmy i rozłączyłyśmy się.

Leonard wy dobył z kieszeni spodni chusteczkę, przycisnął ją do oczu. Dłonie znowu zaczęły mu się mocno trząść, w głos wkradło się drżenie.

- Nawet nie wiem, jak wyglądały jej ostatnie chwile. Policja twierdzi, że napastnik musiał uderzyć ją prosto w twarz kijem baseballowym albo inną pałką podobnych rozmiarów. Musiała być przerażona... - umilkł zalamany.

Skrecało mnie ze współczucia, ale nic nie powiedziałam. Przyszła mi do głowy trzeźwa myśl, że przy ciosie pałką baseballową w twarz nie ma czasu na przerażenie. Trrrach! I po tobie. Nie ma strachu, nie ma bólu. Ciemność i koniec.

Lily położyła dłoń na jego rękę.

- Byli małżeństwem przez dwadzieścia dwa lata.

- To były dobre lata - rzekł Leonard tonem jakby nieco kłótliwym. - Nigdy nie kładliśmy się do łóżka, jeśli byliśmy na siebie źli. Na samym początku ustaliliśmy tę zasadę. Za każdym razem, kiedy się posprzeczaaliśmy, musieliśmy się pogodzić. Moja żona była wspaniałą kobietą. Mądrzejszą ode mnie, nie wstydę się tego powiedzieć.

W oczach Grice'a załśniły łzy, ale ja czułam się dziwnie wyobcowana, jak jedyna trzeźwa osoba na przyjęciu pełnym podпитыh gości.

- Czy policjanci wspominali o możliwości, że ktoś mógłby być świadkiem zdarzenia? O kimś, kto widział lub słyszał coś tamtej nocy?

Leonard Grice pokręcił głową, otarł oczy chusteczką.

- Nie, nic takiego sobie nie przypominam.

- Może mógłby to być ktoś z sąsiedniego budynku? - podpowiedziałam.

- Albo jakiś przypadkowy przechodzień? Rozumiem, że są także sąsiedzi naprzeciwko? Myślał pan o tym, że ktoś mógł coś zauważyć?

Wydmuchał nos, odzyskał panowanie nad sobą.

- Nie wydaje mi się. Policja nigdy nam o czymś podobnym nie wspomiała.

- Cóż... Zająłam państwu wystarczająco dużo czasu. Przykro mi, że narobiłam kłopotu. Chciałabym, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zajrzeć do tamtego domu i oszacować szkody wyrządzone przez ogień. Jeden z naszych pracowników już tam był, ale powinnam to zobaczyć sama, żeby móc spisać raport.

Leonard Grice pokiwał głową.

- Sąsiad ma klucz. Orris Snyder, mieszka tuż obok. Proszę do niego zapukać i powiedzieć, że pozwoliłem.

Wstałam, wyciągnęłam do niego rękę.

- Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

On także odruchowo się podniósł, potrząsnął moją dłonią. Uścisk miał silny, bardzo ciepły, prawie jak przy gorączce.

- Ach, jeszcze jedno - zagadnęłam, jakby dopiero teraz przyszło mi to do głowy - miał pan ostatnio jakieś wieści o Elaine Boldt?

Z trudem skupił na mnie wzrok, widocznie zbity z tropu.

- Elaine? Nie. Dlaczego pani pyta?

- Próbowałam się z nią skontaktować w związku z inną sprawą i dowiedziałam się, że mieszka po sąsiedzku - odparłam spokojnie. - Ktoś mi

wspomniał, że należy do grona pańskich przyjaciół.

- To prawda. Przed śmiercią Marty grywaliśmy razem w brydża. Nie rozmawiałem z nią przynajmniej od kilku miesięcy. Choć o tej porze roku powinna być na Florydzie.

- Ach tak, rzeczywiście. Chyba ktoś mi już o tym wspomniał. Cóż, może przedzwoni po powrocie - powiedziałam. - Jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Zanim dotarłam do samochodu, spociłam się jak mysz.

# ROZDZIAŁ 10

Dochodziła trzecia po południu i byłam skonana. Zostałam obudzona o drugiej rano, zdrzemnąłam się o świcie, zanim wyrwała mnie ze snu zamiejskowa od pani Ochsner. Nie miałam siły wracać do biura, więc pojechałam do domu i przebrałam się w strój do biegania. Używam słowa „dom” w bardzo umownym znaczeniu. Tak naprawdę, mieszkam w betonowym garażu o powierzchni może piętnastu metrów kwadratowych, zmyślnie przygotowanym do pełnienia funkcji salonu, sypialni, kuchni, łazienki, garderoby i pralni. Zawsze lubiłam małe pomieszczenia. Jako dziecko, po śmierci rodziców, przez długie miesiące spędzałam wolny czas w tekturowym kartonie. Wymościliam go poduszkami i udawałam, że to okręt płynący do nieznanej ziemi. Nie trzeba psychoanalityka, żeby zinterpretować tę ucieczkę, i takie właśnie upodobanie przeszło do mojego dorosłego życia, wywierając na nim niezatarte piętno. Jeżdżę małymi samochodami i preferuję „małość” w każdej formie, toteż takie lokum idealnie mi odpowiada. Za dwieście dolarów miesięcznie mam wszystko, czego mi trzeba, łącznie z jowialnym osiemdziesięcioletnim gospodarzem Henrym Pittsem.

Wychodząc, zerknęłam w okno na tyłach jego domu i dostrzegłam, jak w kuchni zagniata ciasto. Dawniej był cukiernikiem, i teraz dorabiał do emerytury, piekąc słodkie pieczywo oraz ciastka, które sprzedawał albo wymieniał w okolicznych sklepikach na inne artykuły. Zastukałam w szybę, gestem zaprosił mnie do środka. Henry, wiekowy starzec „przystojniak”, jak lubię o nim myśleć, jest wysoki i szczupły, ma krótko obcięte

siwe włosy oraz oczy, które lśniły błękitem, roziskrzone ciekawością świata. Wiek go zakonserwował. Jest męski, wyrozumiały i rozważny. Nie powiedziałabym, że z biegiem lat rozwinął się duchowo albo nabrał szczególnej życiowej mądrości, daru jasnowidzenia czy głębi przeżyć. Bez przesady. Zawsze był rozsądny i wiek niczego tu nie zmienił. Pomimo dzielących nas pięćdziesięciu lat nigdy się w stosunku do mnie nie wywyższał ani ja (mam nadzieję) się nie poddawałam. Po prostu patrzyliśmy na siebie ponad tym półwieczem z żywym zainteresowaniem przeciwną płcią, choć o jego bliższym realizowaniu żadne z nas nawet nie śniło.

Tego popołudnia głowę miał owiniętą czerwoną chustką na piracką modłę, opalone nagie ramiona oproszone mąką, długimi i zwinnymi jak u małych palcami, wyrabiał ciasto. Po chwili zaczął je rozwałkowywać w prostokąt, podsypując mąką.

Przysiadłszy na drewnianym stołku, wiązałam buty.

- Z owocami? - zapytałam.

Pokiwał głową.

- Dzisiaj zaopatruję sąsiadów w ciasta na proszoną herbatkę. Co porabiasz poza bieganiami?

Pokrótkie zdałam mu sprawę z poszukiwań Elaine Boldt, a on w tym czasie podzielił ciasto, owinał folią i włożył do lodówki. Kiedy doszłam do Marty Grice, uniósł brwi.

- Trzymaj się od tego z daleka. Przyjmij dobrą radę i zostaw to detektywom od zabójstw. Trzeba być niespełna rozumu, żeby się w to mieszać.

- A jeśli ona widziała, kto zamordował Marthę? Jeśli dlatego postanowiła zniknąć?

- Poczekaj, aż się zjawi i zaczniesz mówić. Nie masz tu nic do roboty. Jeśli porucznik Dolan dowie się, że węszysz wokół tej sprawy, dostaniesz za swoje.

- To prawda - przyznałam ponuro. - Ale jak mogę się wycofać? Brakuje mi już pomysłów, gdzie jej szukać.

- A kto twierdzi, że ona zaginęła? Dlaczego nie chcesz przyjąć, że tkwi gdzieś w Sarasocie na plaży i pociąga dżin z tonikiem?

- Bo do kogoś by się odezwała. Nie wiem, czy w coś się wplątała ani czy ma kłopoty, ale jeśli się nie pokaże, zamierzam tak długo węszyć, aż ją znajdę.

- Syzyfowa praca - oznajmił. - Będziesz się kręciła w kółko.

- Pewnie tak, ale coś muszę robić.

Henry obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem. Otworzył torebkę cukru, odsypał trochę.

- Potrzebny ci pies.

- Nieprawda. Co to ma wspólnego z szukaniem Elaine? Nie znoszę psów.

- Powinnaś mieć jakąś ochronę. To zajście na plaży nigdy by się nie zdarzyło, gdybyś miała dobermana.

I znowu to samo. Boże, nawet moje niedawne spotkanie ze śmiercią zdarzyło się w pojemniku na śmieci. W miejscu ciasnym i przytulnym, gdzie płakałam jak dziecko.

- Myślałam dzisiaj o tym wszystkim i wiesz co? Całe to gadanie o kobiecej wrażliwości, to stek bzdur. Sprzedaje nam się listę powinności, żeby mężczyźni mogli nami łatwiej rządzić. Gdyby ktoś poszedł za mną dzisiaj, zrobiłabym to samo, tylko tym razem bym się nie zawahała.

Henry najwyraźniej nie był pod wrażeniem.

- Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że nie zapoczątkowałaś w ten sposób żadnego nowego trendu.

- Naprawdę tak myślę. Mam już tego dosyć. Nie chcę się dłużej czuć bezradna i przestraszona.

Henry wydał policzki, przedmuchał maliny i obrzucił mnie znudzonym spojrzeniem.

Nie oszukasz mnie frazesami - zdawały się mówić jego oczy.

Jedną ręką rozbił jajko o blat i wylał białko do filizanki. Żółtko włożył do miski. Wziął w rękę następne jajko, powtórzył poprzednie czynności, cały czas patrząc na mnie.

- Więc się broń - powiedział. - Kto ci nie daje? Ale możesz odłożyć na bok retorykę. To stek bzdur. Zabijanie to zabijanie i powinnaś stanąć twarzą w twarz z tym, co zrobiłaś.

- Wiem - przyznałam mniej wojowniczo. Jego wzrok wprawiał mnie w zakłopotanie, nie podobał mi się ton głosu. - Może jeszcze nie dałam sobie z tym rady. Po prostu nie chcę już nigdy więcej być ofiarą. Mam tego dość.

Henry oparł miskę na przedramieniu i wprawnymi ruchami ucierał żółtka. Kiedy ja to robię, zawsze wylewają się za krawędź.

- A kiedyś ty byłaś ofiarą? - zapytał. - Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać. Zrobiłaś, co zrobiłaś. Ale też nie próbuj tego ubierać w filozofię,



bo to brzmi fałszywie. Nie działałaś przecież w wyniku przemyślanej decyzji popartej rozważaniem faktów. Zabiłaś w gorączce chwili. To nie jest płaszczyzna do prowadzenia kampanii politycznej ani punkt zwrotny w twoim życiu intelektualnym. Uśmiechnęłam się do niego niepewnie.

- Nadal jestem dobrym człowiekiem, prawda? - Nie podobał mi się własny tęskny ton. Zamierzałam mu pokazać, że jestem dorosła, że daję sobie radę z trudną prawdą. Zanim moje słowa rozbrzmiały, sama nie wiedziałam, że czuję się tak niepewnie.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Jakiś czas przyglądał mi się poważnie, wreszcie spuścił wzrok na jajka.

- Nie zmienisz przeszłości, Kinsey, ale musisz stawić jej czoło. Zastrześliś człowieka i musisz się z tym pogodzić. Nie ma sensu ozdabiać tego przykrego faktu filozoficznymi twierdzeniami.

- Nie ma sensu - przyznałam niechętnie. Przez sekundę ujrzałam twarz, która pojawiła się nad pojemnikiem na śmieci moment przed wystrzałem. Mogłabym przysiąc, że widziałam, jak pierwsza kula, zanim rozdarła mózg, naciąga skórę niczym elastik. Otrząsnęłam się i zerwałam ze stołka. - Muszę pobiegać. - Byłam niespokojna.

Wyszłam z kuchni, nie oglądając się za siebie, a mimo to wiedziałam doskonale, jaką minę miał Henry. Roztropność, smutek i ból.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, postanowiłam wyrzucić z głowy nie-miłe myśli. Odkładamy temat na miejsce, do właściwego pudełeczka. Zrobiłam małą rozgrzewkę, koncentrując się na ścięgnach podkolanowych. Nie biegam ani tak szybko, ani tak daleko, żeby się specjalnie mocno rozgrzewać. Inni, wiem o tym dobrze, byliby skłonni sprzeczać się z takim podejściem, przytaczając przykłady, jakie kontuzje odniesiono w rezultacie niedostatecznej rozgrzewki, ale dla mnie w ogóle bieganie jest wystarczająco wstrętne, nawet bez dodatkowych wygibasów na wstępie. Jakiś czas temu próbowałam być w porządku, sumiennie leżałam na plecach w trawie, zjedną nogą wyprostowaną, a drugą zgiętą i podciągniętą do ramienia - jak ofiara zwichnięcia stawu biodrowego. Potem nigdy nie mogłam wstać, zanim nie przetoczyłam się na bok i w końcu zdecydowałam, że warto zaryzykować naciągnięcie mięśni pachwiny, żeby uniknąć tej sceny utraty godności. Swoją drogą, bieganie nigdy mi nie zaszkodziło. Nigdy go też specjalnie nie pokochałam. Ciągle czekam na osławioną „euforię”, która najwyraźniej nawiedzała wszystkich prócz mnie.

Szybkim marszem ruszyłam w stronę bulwaru. Staralam się o niczym nie myśleć.

Zazwyczaj robię pięć kilometrów, biegnąc wzdłuż drożki dla rowerzystów prowadzącej skrajem plaży. Aleja jest co jakiś czas oznakowana dziwnymi rysunkami i dzięki nim liczę kilometry. Napotykam też tropy różnych ptaków, czasem ślady jakichś samotnych szerokich opon, które przecinają beton i znikają na piasku. Na plaży zazwyczaj koczują włóczędzy: niektórzy mieszkają tu stale, inni pojawiają się tylko przelotnie. Ich śpiwory ułożone pod palmami wyglądają jak wielkie zielone larwy albo skóra zrzuciona przez jakąś nocną bestię.

Tego popołudnia powietrze zdawało się ciężkie i chłodne, a ocean leniwy. Pokrywa chmur zaczynała pękać, ale niebo nad nią przybrało kolor spranego błękitu i nie było prawdziwego słońca. Równoległe do plaży płynęła motorówka, zostawiając za sobą srebrną wstążeczkę o spienionych brzegach. Po przeciwnej stronie ciemnozieloną smugą rysowały się góry. Z tej odległości niskopienna roślinność wyglądała jak miękki zamsz ze skalistą podszewką, wystającą pomiędzy grzbietami - jakby odpadł długi używany nap.

Na East Beach zakręciłam i pobiegłam z powrotem, następnie szybkim krokiem w ramach rozluźnienia doszłam do samego domu. Wzięłam prysznic, ubrałam się, wskoczyłam do samochodu i pojechałam do biura Pam Sharkey na Chapel. To właśnie Pam, jako doradca ubezpieczeniowy, napisała polisy dla Leonarda Grice'a. Chciałam sprawdzić ten ślad, zanim go skreślę. Miałam zaufanie do Very, ale nie lubię wierzyć wyłącznie na słowo. Może Grice wykupił duże ubezpieczenie w jakimś innym towarzystwie? Skąd mogłam wiedzieć?

Valdez Building jest usytuowany na rogu Chapel i Ferii. To hiszpańskie słowo oznacza „sprawiedliwy, pomyślny”. Wiem o tym tylko dlatego, że kiedyś sprawdziłam w słowniku. Kiedyś wydawało mi się, że powinnam się nauczyć hiszpańskiego, ale jeszcze się do tego nie wzięłam. Potrafię powiedzieć *taco* i *gracias*, ale zasób słów mam ubogi. Valdez jest typowy dla architektury tego miasta: jednopiętrowy, z białym stukiem, dach z czerwonej dachówki, wielkie łuki okien wykończone kratami z kutego żelaza. Lazurkowe markizy oraz doskonałe trawniki. Palmy przydają wdzięku podwórzu, a fontannę zwieńczono nagim chłopcem, robiącym coś niktzernego z rybą.

Biuro Pam Sharkey położone jest na parterze i składa się z takiej samej siatki dziupli, jaką znam z California Fidelity. W dzisiejszych czasach trudno

o architektoniczne innowacje dla towarzystw ubezpieczeniowych. Pracownicy mają chyba uczucie, że wykonują swoje obowiązki w zbiorowisku kojców. Firma, dla której pracują Pam, Lambeth i Creek, jest niezależną agencją, która sprzedaje polisy kilku towarzystw, między innymi California Fidelity. Służbowo miałam do czynienia z Pam tylko raz, podczas gdy śledziłam niewiernego męża. Jego żona, a moja klientka, wniosła pozew o rozwód. Miała nadzieję na zdobycie dowodu flirtów zbłąkanego małżonka jako narzędzia negocjacji, gdy dojdzie do zawierania ustaleń. Pam poczuła się urażona, nie dlatego że odkryłam jej romans z tym mężczyzną, ale dlatego iż znalazłam jeszcze dwie inne kobiety, z którymi był związany w tym samym czasie. Oczywiście żadna z tych okoliczności nie została nigdy ujawniona przed sądem, ale jej nazwisko zajmowało w moim raporcie poczesne miejsce. Nigdy mi nie wybaczyła, że wiedziałam tak wiele. Santa Teresa jest niewielkim miastem i nasze ścieżki krzyżują się od czasu do czasu. Jesteśmy wobec siebie uprzejme, ale uprzejmości te podszyte są z jej strony urazą, a z mojej lekko złośliwym rozbawieniem.

Pam jest drobną, zawsze najeżoną istotą, podobną do psiaka rasy chihuahua. Jest jedyną znaną mi kobietą, która dodaje sobie dziesięć lat, żeby wszyscy jej mówili, jak młodo wygląda. Przysięga, że skończyła trzydzieści osiem lat. Ma drobną twarz, ciemną cerę, używa pudru w kamieniu w różnych odcieniach, na próżno usiłując nadać gładkość policzkom. Mam dla niej dobrą radę. Nie da się ukryć worków pod oczyma zręcznym stosowaniem kryjącego podkładu. Każdy normalny człowiek z odrobiną rozumu w głowie i tak dojrzy te worki pod oczyma; będą po prostu widmo białe, a nie szarawe. Kto się da oszukać? Czy nie lepiej byłoby mieć ciemne sińce pod oczyma? Wyglądać egzotycznie i jak osoba z doświadczeniem życiowym? Jak na przykład Anna Magnani, Jeanne Moreau czy Simone Signoret. Pam zrobiła także ostatnio trwałą, więc jej bladobrazowe włosy wyglądały na kędzierzawe i nieuczesane; był to zdaje się styl lansowany jako „prosto z łóżka”. Tego popołudnia była wystrojona w kostium do polowania: banalną marynarkę, brązowe obcisłe spodnie, różowe pończochy i buty na niskich obcasach, ze sprzączkami. Jedyne polowanie, jakie kiedykolwiek uprawiała, to w barach dla samotnych, czyhając na podryw na jedną noc, jakby sezon właśnie się kończył, a jej pozwolenie miało wygasnąć lada moment. Zaraz, zaraz, chwileczkę. Chyba jestem niesprawiedliwa.

Nie lubię Pam, podobnie jak ona nie lubi mnie. Za każdym razem, kiedy ją widzę, czuję się bezbarwna i małoduszna - nie przepadam za tym stanem. Może ona unika mnie z tych samych powodów.

Jej dziupła znajdowała się blisko przodu - był to, zdaje się, symbol statusu. Zauważyła mnie i natychmiast utonęła w papierach. Zanim doszłam do jej biurka, zawisała na telefonie. Musiała rozmawiać z mężczyzną, bo nieświadomie flirtowała. Bezwiednie zwijała kosmyk włosów na palcu, dotknęła kolczyka, strzepnęła pyłek z kłapy marynarki. Na szyi miała kilka złotych łańcuszków i one także zostały włączone do przedstawienia. Od czasu do czasu pocierała brodę węzłem spletanym na świecącej ozdobie. Roześmiała się beztroskim, perlolistym śmiechem, który musiała trenować długo w nocy. Zerknęła na mnie, udała zaskoczenie, podniosła dłoń, dając znak, że muszę poczekać.

Razem z krzesłem obrotowym odkręciła się plecami do mnie, kończąc rozmowę telefoniczną intymnym szeptem. Na szczycie sterty teczek na jej biurku dostrzegłam egzemplarz „Cosmo”, oferujący artykuły na temat stref erogennych, chirurgii plastycznej biustu i gwałtów zbiorowych.

Wreszcie odłożyła słuchawkę i całe ożywienie zniknęło z jej twarzy. Nie było sensu wysilać się dla mnie.

- Mogę ci w czymś pomóc, Kinsey?
- O ile wiem, wypisałaś dwie polisy dla Leonarda i Marthy Grice'ów.
- To prawda.

Uśmiechnęłam się leciutko.

- Czy możesz mi zdradzić, na jakim etapie jest robota papierkowa w tej sprawie?

Pam odwróciła wzrok, raz jeszcze przebiegła dłonią znaną mi ścieżkę: kolczyk, włosy, kłapa. Ujęła złoty łańcuszek i zaczęła po nim przesuwając palcem wskazującym w tę i z powrotem, aż ogarnęły mnie obawy, że przetrze sobie skórę. Miała ochotę mi powiedzieć, że Leonard Grice to nie moja sprawa, ale wiedziała, że niekiedy współpracuję z California Fidelity.

- A w czym kłopot? - zapytała.

- W niczym - odparłam. - Vera Lipton zajmuje się roszczeniem na podstawie strat spowodowanych przez pożar i muszę wiedzieć, czy były jakieś inne ważne polisy ubezpieczeniowe.

- Zaraz, chwileczkę. Leonard Grice to bardzo miły człowiek i ma za sobą straszne pół roku. Jeśli California Fidelity zamierza sprawiać trudności, Vera powinna się raczej zwrócić do mnie bezpośrednio.

- Kto mówi cokolwiek o kłopotach? Vera nie może nawet pchnąć dalej tego roszczenia, dopóki nie wpłynie protokół strat.

- To się rozumie samo przez się - rzekła. - Nadal nie widzę, co to ma wspólnego z tobą.

Mój uśmiech zaczął krzepnąć, jak lód. Pochyliłam się nad biurkiem, położyłam lewą dłoń płasko na blacie, prawą oparłam o biodro. Chyba nadszedł czas, żeby wyjaśnić podstawy relacji między nami.

- Nie powinno cię to obchodzić, Pam, ale prowadzę poważne dochodzenie łączące się z tą sprawą. Nie masz obowiązku udzielać mi informacji, ale jeśli tego nie zrobisz, będę musiała uzyskać nakaz sądowy, a wtedy ktoś zmyje ci głowę za wszystkie problemy, jakie to na was ściągnie. Tego właśnie chcesz?

Pod grubym makijażem zaczęły się pojawiać kolory.

- Chyba nie wydaje ci się, że możesz mnie zastraszyć - rzekła.

- Oczywiście, że nie. - Zamknęłam usta i pozwoliłam, żeby oswoiła się z groźbą. Zdaje się, że nieźle mi to wyszło.

Przełożyła stertę papierów na biurku, wyrównała brzegi.

- Leonard Grice był ubezpieczony przez California Fidelity na życie oraz od nieszczęśliwych wypadków. Otrzymał dwa i pół tysiąca dolarów z ubezpieczenia na życie i dostanie jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy za zniszczenia domu. Ruchomości nie były ubezpieczone.

- Dlaczego za dom tylko dwadzieścia pięć? Zdawało mi się, że ta działka jest warta ponad sto patyków? Nie wystarczy mu pieniędzy nawet na naprawy, prawda?

- Kiedy nabył nieruchomość w roku 1962, była ona warta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i na tyle ją ubezpieczył. Nigdy nie podwyższył wartości polisy i nie zawarł żadnej innej umowy. Osobiście nie widzę, żeby udało mu się za pieniądze z ubezpieczenia wyremontować dom. Została z niego kompletna ruina, co, jak sądzę, miało niemały wpływ na stan psychiczny pana Grice'a.

Teraz, kiedy już wszystko powiedziała, zrobiło mi się przykro, że zachowałam się wobec niej jak karykaturalny macho.

- Dzięki. Bardzo mi pomogłaś - oznajmiłam. - Słuchaj... tak przy okazji... Vera prosiła, żebym cię zapytała, czy nie byłabyś zainteresowana pewnym wolnym inżynierem lotnictwa z kupą szmalu.

Wyraz zdumienia i niepewności przemknął jej przez twarz: podejrzliwość, głód seksu, chciwość. Czy podsuwałam jej na tacy słodkie ciasteczko, czy spalony zakalec? Wiedziałam, co się dzieje w jej głowie. W Santa Teresa jakkolwiek kawaler pozostaje do wzięcia góra dziesięć dni, zanim go któraś złowi.

Obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym obawy.

- Co z nim jest nie tak? Dlaczego nie bierzesz go sama?

- Właśnie zakończyłam jedną znajomość - oznajmiłam. - Na razie jestem w odwrocie. - To akurat było całkowitą prawdą.

- Może przekreślę do Very - rzekła słabo.

- Świetnie. Jeszcze raz dzięki za informacje - powiedziałam, pomachałam jej oszczędnie i ruszyłam do wyjścia. Przy moim szczęściu, dziewczyna zakocha się w facecie i będzie mnie chciała na druhnę. Wówczas zostanę wbita w kretyńską sukienkę z falbankami. Kiedy obejrzałam się za siebie, Pam zdała mi się drobna i skurczona. Poczułam się winna. Nie była taka zła.

-

# ROZDZIAŁ 11

Kolację zjadłam u Rosie, dwa kroki od mojego mieszkania. Jej knajpka to skrzyżowanie sąsiedzkiego baru i staromodnej jadłodajni, wciśniętej pomiędzy pralnię automatyczną na rogu oraz zakład naprawy aparatów fotograficznych, który człowiek o nazwisku McPherson prowadzi na parterze swojego domu. Wszystkie trzy interesy działają od ponad dwudziestu pięciu lat i są aktualnie - teoretycznie przynajmniej - nielegalne, gdyż reprezentują sobą żywe pogwałcenie zasady podziału na strefy, przynajmniej dla ludzi, którzy mieszkają gdzie indziej. Każdego roku kilku nadgorliwców leci do Rady Miasta, skarżąc naruszenie reguł planowania przestrzennego. Myślę, że jakiś czas temu większa suma pieniędzy musiała przejść z kieszeni do kieszeni.

Sama Rosie ma pewnie jakieś sześćdziesiąt pięć lat, jest Węgierką, niską i z potężnym biustem. Zazwyczaj chodzi ubrana w długą luźną suknię, włosy farbuję henną. Używa szminki w jaskrawym odcieniu pomarańcza, która zazwyczaj wykracza poza naturalną linię warg, więc odnosi się wrażenie, że miała kiedyś bardziej wydatne usta. Używa hojnie brązowego ołówka do brwi, przez co jej oczy nabierają wyrazu srogiego i pełnego wyrzutu. Czubek nosa dąży do spotkania z górną wargą.

Usiadłam przy swoim ulubionym stoliku, ukrytym za przepierzeniem, w pobliżu kuchni. Odbity na powielaczu jadłospis, wsunięty w plastikową okładkę, sterczał wetknięty pomiędzy butelką z keczupem a stojakiem na serwetki. Nazwy dań spisano bladym fioletem - dokładnie tym samym kolorem, jakim w szkole podstawowej wpisuje się uwagi do dzienniczka.

Większość pozycji była po węgiersku: słowa zawierały mnóstwo akcentów i literek „z” oraz umlautów, co sugerowało, że danie powinno być syte i pikantne.

Rosie przybyła krokiem marszowym, dzierżąc w dłoniach bloczek i ołówek. Zachowywała się powściągliwie. Najwyraźniej czuła się urażona, ale nie miałam pewności czym. Szorstkim gestem odebrała mi menu, odstawiła je na miejsce, po czym zaczęła spisywać zamówienie, nie pytając mnie o zdanie. Jeśli się nie lubi sposobu obsługiwanania, należy zmienić lokal. Skończyła pisanie, sprawdziła rezultat. Na mnie nawet nie zerknęła.

- Nie zaglądałaś tu od tygodnia, więc rozumiem, że się obraziłaś - rzekła. - Założę się, że jadałaś same świństwa, prawda? Nie odpowiadaj. Nie chcę tego słyszeć. Nie musisz mnie przepraszać. Po prostu masz szczęście, że dam ci coś przyzwoitego. Słuchaj, co dostaniesz.

Tu jeszcze raz obrzuciła krytycznym spojrzeniem spis potraw na bloczku i przeczytała mi całe zamówienie z takim zainteresowaniem, jakby dla niej także stanowiło ono całkowitą nowość.

- Sałatka z zielonej papryki. Fantastyczna. Najlepsza. Sama ją zrobiłam, więc mam pewność, że wszystko jest, jak trzeba. Oliwka, ocet, szczypta cukru. Chleba nie dostaniesz, zabrakło. Henry nie przywiózł dzisiaj świeżego, ale skąd mogłam wiedzieć? Może on też jest na mnie zły. Co ja mu zrobiłam? Nikt mi nic nie mówi. Potem dam ci gulasz z wołowego ogona. - Wykreśliła tę pozycję. - Nie, nie. Za tłuste. Dla ciebie niedobre. Dostaniesz *tejeles sult ponty* - szczupaka zapiekanego w śmietanie. A jeśli pochłoniesz wszystko, mogę ci podać wiśnie zasmażane w cukrze, jeśli uznam, że na nie zasłużyłaś, bo na razie - nie. Wino dostaniesz przy sztućcach. Austriackie, ale dobre.

Po czym odmaszerowała, z wyprostowanymi plecami, z włosami koloru suszonych skórek mandarynek. Jej szorstkość odznacza się niekiedy ekscentrycznym wdziękiem, ale równie często bywa irytująca. Trzeba jednak ją zaakceptować, jeśli się chce jadać u Rosie. Czasami nie mogę na koniec dnia znieść jej impertynencji, wówczas wybieram towarzystwo bezosobowych maszyn obsługujących restaurację dla kierowców albo spokój i ciszę własnego domu, do tego masło orzechowe i kanapkę z kiszonym ogórkiem.

Tamtego wieczoru u Rosie było zupełnie pusto. Jak zawsze trochę stęchlizny i niezupełnie czysto. Ściany są wyłożone płatami szorstkiej sklejki w ciemne plamy, dopełnienie stanowi matowe wykończenie powstałe od



kuchennych oparów i dymu papierosowego. Oświetlenie jest złe - za słabe, zbyt rozproszone - wskutek tego nieliczni goście, którzy tu zawędrowali, wyglądają blade i niezdrowo. Telewizor na barze zazwyczaj błyska kolorowymi obrazami bez dźwięku, a wygięty nad nim w łuk marlin wygląda jak ulepiony z gipsu; jest zakurzony i pokryty sadzą. Wstyd mi się przyznać, jak bardzo lubię to miejsce. Nigdy nie będzie ono atrakcją turystyczną. Nigdy nie zostanie barem dla samotnych. Nikt nigdy go nie „odkryje” ani nie uhonoruje choćby połową gwiazdki. Zawsze będzie tu czuć kwaśnym piwem, papryką i rozgrzanym tłuszczem. Tutaj mogę jeść sama i nawet nie muszę brać ze sobą książki, żeby uniknąć nieproszonego towarzystwa. Mężczyzna powinien się obawiać kobiety, którą mógłby poderwać w takiej dziurze jak ta.

Drzwi się uchyliły i weszła starowina mieszkająca naprzeciwko, a tuż za nią Jonah Robb, z którym rozmawiałam rano w Wydziale Osób Zaginionych. Prawie go nie poznałam po cywilu. Miał na sobie szarą sztruksową marynarkę, do niej džinsy i brązowe traperki. Koszula wyglądała na zupełnie nową, nawet widać było jeszcze zagniecenia, a kołnierzyk był wyjątkowo sztywny. Jonah zachowywał się jak człowiek z kaburą pod lewą pachą. Najwyraźniej przyszedł tu z mojego powodu, gdyż od razu podszedł do mojego stolika.

- Cześć - powitałam go. - Siadaj.

- Słyszałem, że tutaj zaglądasz - powiedział. Rozejrzał się dookoła i brwi podjechały mu wyżej na znak, że pogłoski okazały się prawdziwe, ale trudno w nie uwierzyć. - Czy inspektor sanitarny wie o istnieniu tego miejsca?

Roześmiałam się.

Rosie, wychodząca właśnie z kuchni, spostrzegła Jonaha i zamarła w pół kroku. W następnej chwili, jak pociągnięta na elastycznej linie, błyskawicznie zawróciła do kuchni.

Jonah obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy o czymś nie zapomniał.

- O co chodzi? Czy ona wie, że jestem gliną? Czy ma jakieś problemy?

- Poprawia makijaż. Zaraz za kuchennymi drzwiami jest lustro.

Rosie ukazała się ponownie, sztucznie uśmiechnięta, niosąc moje sztucce. Położyła je na stole, ciasno zawinięte w papierową serwetkę.

- Nie zająknęłaś się słowem, że jesteś umówiona - mruknęła pod nosem.

- Czy twój przyjaciel ma zamiar coś przegryźć? A może woli przepłukać gardło czymś chłodnym? Piwo, wino czy drinka?

- Mogłoby być piwo - rzekł Jonah. - Co jest do wyboru?

Rosie założyła ręce na piersi i przyjrzała mi się z zainteresowaniem. Nigdy nie rozmawiała z obcymi, więc musieliśmy przebrnąć przez przedstawienie, w którym odgrywałam rolę tłumacza, jakbym niespodziewanie została zatrudniona przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

- Beczkowe piwo masz cały czas to samo? Mich? - zapytałam.

- Oczywiście. Po co bym miała brać inne?

Spojrzałam na Jonaha, ten skinął głową.

- W takim razie weźmiemy dwa. - A teraz do Jonaha: - Chcesz coś zjeść? Naprawdę wspaniale tu karmią.

- Chętnie. Co polecasz?

- Rosie, może po prostu podwój zamówienie. Mogę cię o to prosić?

- Oczywiście. - Obrzuciła Jonaha spojrzeniem pełnym aprobaty. - Nie miałam pojęcia - rzekła. Odniosłam wrażenie, jakby mnie w myślach porozumiewawczo trąciła łokciem. Wiedziałam, dlaczego była zadowolona. Podobali jej się postawni mężczyźni, ciemnowłosi i o swobodnym sposobie bycia. Odeszła od stolika, zręcznie zostawiając nas samych. Nie była tak łaskawa, kiedy przychodziłam z przyjaciółkami.

- Co cię tu sprowadza? - spytałam.

- Lenistwo. Ciekawość. Zrobiłem podstawowe rozeznanie na twój temat, żeby nam oszczędzić całej głupiej gadki.

- Żebyśmy mogli przejść od razu do...?

- Sądzisz, że przyszedłem tu prezentować się na wystawie, czy co?

- Pewnie - przytaknęłam. - Nowiutka koszula. Brak obrączki. Założę się, że żona zostawiła cię dwa tygodnie temu. Golileś się przed niecałą godziną. Jeszcze ci dobrze nie wyschła woda kolońska na szyi.

Roześmiał się. Miał niewinną twarz i zdrowe zęby. Podparł się łokciami.

- Posłuchaj, jak było. Poznałem ją, kiedy miałem trzynaście lat i od tamtego czasu byłem z nią. Ona, zdaje się, dorosła, a ja nie, przynajmniej nie tak jak ona. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Odeszła ode mnie rok temu. Rzeczywiście, mam wrażenie, jakby minął tydzień. Jesteś pierwszą kobietą, na którą spojrzałem od tamtego czasu.

- Dokąd się wyprowadziła?

- Do Idaho. Zabrała dzieciaki. Dwie dziewczynki - dodał, jakby sądził,

że o to zapytam w dalszym ciągu. - Jedna dziesięć lat, druga osiem. Courtney i Ashley. Ja nazwałbym je jakoś inaczej. Sarah i Diane, Pat i Jill, coś takiego. Nie rozumiem dziewcząt. Nie wiem, o czym myślą. Naprawdę kocham moje dzieciaki, ale od dnia, kiedy się urodziły, miałem wrażenie, że razem z moją żoną wstąpiły do jakiegoś elitarnego klubu. Ja nie mogłem zostać jego członkiem, obojętnie jak bardzo się starałem.

- Jak ma na imię twoja żona?

- Camilla. Cholera. Złamała mi serce. Przez ten rok przytyłem piętnaście kilogramów.

- Czas to zrzucić.

- Czas na wiele rzeczy.

Przy stole pojawiła się Rosie z piwem dla niego i białym winem stołowym dla mnie.

Czyja przypadkiem już nie znam tej historii? Mężczyzna zostawiony przez żonę jest zazwyczaj w kiepskim stanie, a ja sama jeszcze nie obechłam. Znałam ten ból, niepewność i źle ulokowane uczucia. Nawet Rosie wyczuła, że to tak szybko nie minie. Popatrzyła na mnie, jakby nie mogła zrozumieć, jakim cudem tak błyskawicznie się otrząsnęłam. Kiedy odeszła, wróciłam do tematu.

- Sama sobie jeszcze z tym wszystkim nie dałam rady - rzekłam.

- Tak słyszałem. Pomyślałem, że moglibyśmy sobie wzajemnie pomóc.

- To się tak nie da.

- Chcesz czasem zajrzeć na strzelnicę?

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać. Panował nad sytuacją.

- Pewnie, czemu nie. Jaką masz broń?

- Colta pythona z sześciocalową lufą. Pasuje do niego magazynek od trzydziestki ósemki albo od magnum 357. Zazwyczaj noszę troopera MK III, ale trafiła mi się okazja na pythona i nie mogłem sobie odmówić. Cztery baksów. Byłaś zamężna dwa razy? Zupełnie nie rozumiem, jak dałaś radę do tego doprowadzić. To znaczy, Jezu. Myślałem, że małżeństwo to prawdziwe zobowiązanie. Wiesz, dusze połączone na wieki i tak dalej.

- Cztery stowy to kradzież. Skąd żeś go podciągnął? - Obrzuciłam go spojrzaniem z ukosa. - Jesteś może katolikiem?

- Nie, chyba po prostu głupi. Nauki o miłości pobierałem z magazynów

dla pań, w perfumerii prowadzonej przez matkę. Broń należała do Dave'a Whitakera. Wdowa po nim nienawidzi broni i nigdy jej się nie podobało, że on ją zbierał, więc pozbyła się kolekcji przy pierwszej okazji. Zamierzałem zapłacić uczciwą cenę, ale nie chciała o tym słyszeć. Znasz ją? Bess Whitaker?

Pokręciłam głową.

Podniósł wzrok, kiedy Rosie postawiła przed każdym z nas talerz. Odgadując z jego spojrzenia, mogłam stwierdzić, że nie spodziewał się zielonej papryki z octem i nawet z drobnymi listkami pietruszki utkniętymi tu i ówdzie.

Zazwyczaj Rosie czekała, aż spróbuję i odpracuję fuchę restauracyjnego recenzenta sypiącego przesadnymi pochwałami, ale tym razem najwyraźniej przemyślała sprawę. Jak tylko odeszła, Jonah pochylił się ku mnie.

- Co to za szajs?

- Jedz.

- Kinsey, przez ostatnie dziesięć lat jadałem z dziećmi, które wybierają z dania cebulę i grzyby. Nie umiem jeść, jeśli posiłek nie jest przygotowany z Hamburger Helper.

- No to spotkała cię duża niespodzianka - podsumowałam. - A co jadłeś przez ten rok, od kiedy odeszła twoja żona?

- Zamroziła mi gotowe obiady. Co wieczór odmrażam jeden i wkładam do piecyka na godzinę. Pewnie była na wyprzedaży garażowej i kupiła hurtem te gotowe obiady. Reklamują je w telewizji: na tackach podzielonych na osobne części. Chciała, żebym się właściwie odżywił, chociaż zdarła ze mnie ostatni grosz.

Opuściłam widelec i przyglądałam mu się, próbując sobie wyobrazić, jak jakaś kobieta zamraza trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów, żeby móc ze spokojnym sumieniem dać nogę. I to była kobieta, którą on najwidoczniej uważał za odpowiednią na całe życie, jak u sów.

Zjadł pierwszy kęs sałatki z papryki i oczy wyszły mu z orbit. Wyraz jego twarzy świadczył dobitnie o tym, że papryka rozsiała mu się wygodnie na samym środku języka, a on próbował nadgryźć ją to z tej, to z tamtej strony. Sama robię to samo z utłuczonymi na papkę kandyzowanymi ziemniakami, które ludzie upierają się jeść w Dzień Dziękczynienia. Po co ładuje się prawosłaz do warzyw? Czy ja polewam asparagus lukrecją albo topię w galaretkie ziarenka kiełków brukselki? Na samą myśl o takich wariacjach kulinarnych robi mi się niedobrze.

Jonah pokiwał filozoficznie głową i bez entuzjazmu zaczął grzebać widelcem w sałatce. Musiało to być przynajmniej tak smaczne jak szajs, który gotowała mu Camilla. Wyobraziłam sobie te niezliczone tacki mrożonego tuńczyka z pokruszonymi frytkami, może z mrożonym groszkiem w jednej przegródce i marchewką w kostkę w następnej. Założę się, że zostawiła mu też puszkowane koktajle owocowe na deser. Przyglądał mi się.

- O co chodzi? - zapytał. - Dlaczego masz taki wyraz twarzy?  
- Małżeństwo to niezgłębiona tajemnica - wrzuciłam ramionami.  
- Nie przeczę. A przy okazji, jak tam postępy w twojej sprawie?  
- Węszę to tu, to tam - odparłam. - Ostatnio kręcę się trochę przy morderstwie. Sąsiadka z domu obok została zabita w tym samym tygodniu, w którym moja poszukiwana zaginęła.

- To nie brzmi najlepiej. Jakie jest powiązanie?  
- Jeszcze nie wiem. Może nie ma żadnego. Po prostu uderzyło mnie to jako interesujące następstwo wydarzeń: Marty Grice została zamordowana, a Elaine Boldt zniknęła w ciągu kilku następnych dni.

- Czy miało miejsce potwierdzenie tożsamości?  
- Marty? Nie mam pojęcia. Dolan milczy jak głaz. Nie puści pary z gęby.

- Może by tak zajrzeć do akt?  
- Daj spokój. Nie pozwoli mi zajrzeć do akt.  
- Więc go nie prosz. Poprosz mnie. Mogę zrobić kopie, jeśli mi powiesz, czego chcesz.

- Jonah, on by cię wykopał na zbity pysk. Nigdzie nie znalazłbyś pracy. Musiałbyś do końca życia czyścić buty.

- Przecież nie musi się dowiedzieć.  
- Jak masz zamiar tego dokonać? On wie wszystko.  
- Bzdura. Akta są przechowywane w Wydziale Osób Zaginionych i Rejestrów Osobowych. Idę o zakład, że Dolan ma w swoim biurze drugi zestaw. Na pewno nawet nie zagląda do oryginałów. Wystarczy poczekać, aż wyjdzie, i kserować, co dusza zapagnie.

- Nie musisz podpisywać zleceń ksero?

Obrzucił mnie spojrzeniem, jakbym twierdziła, że nigdy nie zaparkowałam za znakiem zakazu. Szczerze mówiąc, jak na kogoś, komu kłamstwo przychodzi tak łatwo, bardzo się niepokoję kodeksem drogowym i przetrzymywaniem książek z biblioteki. Pogwałceniem publicznego zaufania. Och, tak, od czasu do czasu zdarza mi się nieprawnie otworzyć zamek

w drzwiach, ale nie wtedy, gdy istnieje szansa, że zostanę przyłapana. Na myśl o przemycaniu oficjalnych dokumentów poza posterunek policji aż mi się skurczył żołądek.

- Eee, nie, nie rób tego - zdecydowałam. - Nie możesz.

- Co to znaczy, nie mogę? Oczywiście, że mogę. Co chcesz zobaczyć? Autopsję? Raport powypadkowy? Maszynopisy przesłuchań? Wyniki badań laboratoryjnych?

- Przydałyby się. Bardzo by mi pomogły.

Podniosłam wzrok. Czuję się winna. Rosie podeszła, by zabrać talerze po sałatce. Oparłam się na łokciu i poczekałam, aż odeszła.

- Słuchaj, nigdy bym cię o coś takiego nie prosiła...

- Nie prosiłaś. Sam ci zaproponowałam. Przestań być taki trzęsimajtek. Może w swoim czasie też mi wyświadcysz przysługę.

- Jonah, ale on jest naprawdę czubek na punkcie przecieków z wydziału. Sam dobrze wiesz. Proszę, uważaj na siebie.

- Nie przejmuj się. Gliniarze od zabójstw mają czasem nasrane w głowie. Nie zamierzasz mu przecież podebrać sprawy. Najprawdopodobniej w ogóle nie ma żadnej sprawy, więc czym się przejmować?

Po kolacji odprowadził mnie do domu. Była dopiero dwudziesta piętnaście, ale miałam robotę, a on chyba poczuł ulgę, że nasze spotkanie się nie przeciągnie ani nie nabierze intymnego charakteru.

Jak tylko umilkły jego kroki, zgasiałam światła na zewnątrz, usiadłam przy biurku i zaczęłam przeglądać notatki. Sprawdziłam kartki, które wcześniej pozapisywałam i poprzypinałam na grubej tekturowej tablicy nad biurkiem. Stałam długi czas, czytając jedną po drugiej, z nadzieją na oślnienie. Odkryłam tylko jeden interesujący zapis. Wyjątkowo metodycznie wyszczególniłam każdy przedmiot, jaki zapamiętałam z mojego pierwszego przeszukania mieszkania Elaine Boldt. Robię to odruchowo, prawie jakbym stosowała ćwiczenia pamięci. W kuchennej szafce miała kilka puszek zjedzeniem dla kotów. „Dziewięć żywotów - wołowina z wątróbką”. Teraz wydawały mi się one nie na miejscu. Czyżby miała kota?

# ROZDZIAŁ 12

Następnego dnia o dziewiątej rano wybrałam się na Via Madrina. Tillie nie odpowiadała na dzwonek u drzwi, toteżostałam kilka chwil, studiując listę lokatorów. Pod dziesiątką, obok Elaine Boldt mieszkał Wim Hoover. Zadzwoiłam.

Interkom ożył.

- Tak?

- Pan Hoover? Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem i szukam Elaine Boldt. Czy zechciałby pan odpowiedzieć na kilka pytań?

- Teraz?

- Cóż, jeśli nie ma pan nic przeciwko... tak. Zajrzałam, żeby porozmawiać z administratorką, ale jej nie zastałam.

Usłyszałam w tle szmer rozmowy, po czym brzęczyk zabuczał przyzwalająco. Musiałam żwawo podskoczyć, żeby zdążyć złapać za klamkę, póki był zwolniony mechanizm zamka. Wsiadłam do windy. Kiedy jej drzwi rozsunęły się na piętrze, mieszkanie numer dziesięć objawiło się dokładnie przede mną. Wim Hoover stał boso w korytarzu. Ubrany był w krótki niebieski szlafrok frotte, spod którego wystawały szczupłe, ale umięśnione nogi, lekko zmatowiałe od porastającego je puszku. Oceiłam go na jakieś trzydzieści cztery, może trzydzieści pięć lat. Był drobny, miał niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu, rozwichrzone ciemne włosy i oczy jeszcze zapuchnięte od snu. Wyglądał, jakby się nie golił przynajmniej od dwóch dni.

- O Boże! Obudziłam pana! Tak mi przykro!

- Nie, już nie spałem. - Głos miał znużony i lekko ochryply. Przeciągnął dłoń po włosach, podrapał się w tył głowy i ziewnął szeroko. Musiałam mocno zacisnąć zęby, żeby nie odpowiedzieć tym samym. Wszedł do mieszkania, ja ruszyłam za nim. - Właśnie nastawiłem kawę. Za sekundę będzie gotowa. Wejdz, siadaj.

Wskazał mi kuchnię po prawej stronie. Jego mieszkanie było lustrzanym odbiciem apartamentu Elaine Boldt; domyśliłam się, że mają wspólną ścianę sypialni. Zerknęłam do salonu, który podobnie jak u niej, otwierał się tuż za korytarzem i którego okna także wychodziły na posiadłość Grice'ów. Część okien mieszkania Elaine wychodziła na ulicę, a stąd widać było tylko kawałek gór, częściowo zasłoniętych przez dwa rzędy włoskich sosen, rosnących wzdłuż Via Madrina.

Hoover poprawił krótki szlafrok i usiadł na kuchennym stołku, zakładając nogę na nogę. Miał wystające kolana.

- Możesz powtórzyć, jak się nazywasz? Jeszcze nie oprzytomniałem.

- Kinsey Millhone.

W kuchni czuć było parzoną kawą i nieświeżym oddechem od nie umytych zębów. Nie moim. Gospodarz wyciągnął smukłego, brązowego papierosa i zapalił go, mając może nadzieję zamaskować poranną nieświeżość czymś gorszym. Oczywiście miał brązowe jak tytoń, rzęsy rzadkie, twarz wychudłą. Patrzył na mnie ze znudzoną miną węża boa po obfitym posiłku. Ekspres do kawy wydał z siebie kilka ostatnich prychnięć i ucichł. Wówczas Hoover wyciągnął dwa duże niebiesko-białe kubki. Na jednym widniał wyraźny rysunek kopulujących królików, na drugim sportretowano słonie przy tym samym zajęciu. Próbowałam nie patrzeć. Przez lata całe zastanawiałam się, jak to robiły dinozaury, zwłaszcza te wielkie, kolczaste. Ktoś mi kiedyś powiedział, że spółkowały w wodzie, co pomagało im poradzić sobie z własnym ogromnym ciężarem, ale trudno mi uwierzyć, żeby dinozaury były takie sprytnie. Nie wydaje mi się to możliwe przy takich małych główkach. Otrząsnęłam się z tych rozmyślań i wróciłam do rzeczywistości.

- Jak właściwie masz na imię? William? Bill?

- Wim - odparł.

Wyjął karton mleka z lodówki i znalazł łyżeczkę do cukiernicy. Dołałam mleka do kawy i z zainteresowaniem patrzyłam, jak Wim wsypuje do swojej dwie kopiaste łyżeczki cukru. Pochwycił moje spojrzenie.

- Próbuję trochę przybrać na wadze - oznajmił. - Wiem, że cukier źle



działa na zęby, ale rano pijam te koszarne napoje proteinowe, wiesz, z jajkiem, bananem i z kielkami pszenicy. Blee! Nie sposób się pozbyć posmaku. Poza tym nie znoszę jeść przed drugą po południu, więc pewnie powinienem się pogodzić, że będę chudy. Z drugiej strony, dlatego przesładzam kawę. Próbuję wszystkiego, co się da. Ty też wyglądasz trochę jak kościotrup.

- Codziennie biegam, a często zapominam o jedzeniu. - Siorbnęłam trochę kawy lekko pachnącej miętą. Była naprawdę bardzo smaczna. - Jak dobrze znasz Elaine? - zapytałam.

- Zamieniamy kilka słów, jeśli wpadniemy na siebie w korytarzu. Jesteśmy sąsiadami od lat. Dlaczego jej szukasz? Uciekła przed wierzycielami?

Opowiedziałam mu w skrócie o jej domniemanym zniknięciu, dodając, że wyjaśnienie nie musi być złowieszcze, ale mimo wszystko fakt, że od dłuższego czasu nie daje znaku życia, budzi zdumienie.

- Przypominasz sobie, kiedy się ostatnio widzieliście?

- Nie bardzo. Jakoś tak przed jej wyjazdem. Chyba w Boże Narodzenie. .. Nie, cofam to. Widziałem ją w wigilię Nowego Roku. Powiedziała, że zostaje w domu.

- Nie wiesz przypadkiem, czy miała kota?

- Wiem, oczywiście. Wspaniałe zwierzę. Piękny wielki pers o imieniu Mingus. Tak w ogóle to był mój kot, ale rzadko bywałem w domu, a sądziłem, że powinien mieć towarzystwo, więc dałem go jej. Wtedy był jeszcze małym kociakiem. Nie miałem pojęcia, że wyrośnie z niego taki wspaniały okaz, inaczej bym go nie oddał. Od tamtego czasu pluję sobie w brodę, ale co zrobić? Umowa to umowa.

- A jaka była umowa?

Obojętnie wzruszył ramionami.

- Wymogłem na niej przyrzeczenie, że nie zmieni mu imienia. Nazwałem go Charlie Mingus. Po pianiście jazzowym. Musiała mi też przyrzec, że nie będzie go zostawiała samego. Inaczej, jaki byłby sens go oddawać? Równie dobrze mógłbym go zatrzymać.

Wim uważnie zaciągnął się papierosem, pozostawiając łokieć oparty o kuchenny stół. Gdzieś w głębi mieszkania ktoś odkręcił prysznic.

- Zabiera go co roku na Florydę?

- Tak, oczywiście. Czasami nawet kot podróżuje w kabinie, jeśli tylko jest miejsce. Elaine twierdzi, że on to uwielbia. - Sięgnął po serwetkę, złożył ją na pół.

- Dziwne, że się gdzieś nie pokazał.
- Pewnie jest z nią.
- Rozmawiałeś z Elaine po tym morderstwie w sąsiedztwie?

Wim pokręcił głową, delikatnie strząsał popiół w złożoną serwetkę.

- Rozmawiałem już z policją, a raczej oni rozmawiali ze mną. Okna mojego salonu wychodzą akurat na tamten dom, więc byli zainteresowani, czy czegoś nie widziałem. Od razu dodam, że nie widziałem nic. Ten detektyw był największym macho-dupkiem, jakiego w życiu spotkałem. Dość ci ciepłej kawy?

Przyniósł dzbanek. Skinęłam głową, więc dopełnił z termosu oba kubki. Dźwięk leżącej z prysznica wody nagle się urwał i Wim także zwrócił na to uwagę. Podszedł do zlewu, zgasił papierosa pod kranem, po czym wrzucił go do kosza na śmieci. Wyjął patelnię, a z lodówki kawałek bekonu.

- Zaproponowałbym ci śniadanie, ale nie wystarczy jedzenia na dwie osoby. Chyba że skusisz się na drink proteinowy. Mogę go przygotować błyskawicznie, obrzydliwy jak zwykle.

- I tak muszę się już zbierać - powiedziałam, wstając.

Zamachał niecierpliwie dłonią.

- Siadaj. Przynajmniej skończ kawę. Możesz pytać, o co chcesz.

- Co z weterynarzem dla kota? Zajmował się nim ktoś z najbliższego sąsiedztwa?

Wim odkroił trzy plastry bekonu, położył je na patelni, zapalił gaz. Pochylił się, zerkając na niewielkie błękitne płomyki. Musiał przy tym obciągnąć szlafrok.

- Jest klinika dla zwierząt tuż za rogiem - powiedział - na Serenata Street. Elaine nosi go tam w specjalnej skrzynce, a on drze się na całe gardło. Nienawidzi weterynarza.

- Domyślasz się, gdzie Elaine może teraz być?

- Sprawdziałaś u siostry? Może pojechała do niej, do Los Angeles.

- To właśnie jej siostra mnie wynajęła, żeby ją odszukała - wyjaśniłam. - Nie widziała się z Elaine kilka lat.

Wim spojrzął na mnie znad patelni z bekonem kompletnie zaskoczony i nagle się roześmiał.

- Co za bzdura! Kto ci to powiedział? Sam ją tutaj widziałem nie dalej jak pół roku temu.

- Spotkałeś Beverly?

- Tak. - Widelcem przesunął po patelni plastry bekonu. Wyjął z lodówki trzy jajka. Umierałam z głodu na sam widok tych przygotowań. - Jakież cztery lata młodsza od Elaine - podjął tonem pogawędki - czarne włosy obcięte na pazia, świetna cera. - Spojrzał na mnie. - Nie myślę się prawda?

- Najwyraźniej to ta sama kobieta, którą ja poznałam - przyznałam. - Ciekawa jestem, dlaczego mnie okłamała.

- Chyba się domyślam - powiedział. Oddał kawałek papierowego ręcznika, położył go w pobliżu patelni. - Strasznie się pokłóciły, w samo Boże Narodzenie. Beverly pewnie woli o tej scenie zapomnieć. Wrzeszczały jak oszalałe, trzaskały drzwiami, chyba się nawet pobiły. Boże jedyny! A jak się wyrażały! Odrażające. Nie miałem pojęcia, że Elaine potrafi tak przeklinać, chociaż muszę przyznać, że jej siostra była jeszcze gorsza.

- O co poszło?

- O mężczyznę, rzecz jasna. O co innego mogłoby być tyle hałasu?

- Masz pojęcie, o kogo?

- Nie. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że Elaine należy do tych kobiet, które w skrytości ducha cieszą się z wdowieństwa. Ludzie jej współczują, może robić, co chce, ma kupę szmalu i nie musi się z nikim liczyć. Po co jej do tego facet w tym układzie? Lepiej jej samej.

- Więc po co się kłóciła z Beverly?

- Kto je tam wie? Może miały z tego ubaw.

Skończyłam kawę i wstałam.

- Będę już lecieć. Nie chcę przeszkadzać w śniadaniu. Może się zdarzyć, że będę chciała jeszcze z tobą pogadać. Jesteś w książce telefonicznej?

- Tak, jasne. Poza tym pracuję... w barze w Edgewood Hotel, tuż przy plaży. Znasz ten hotel?

- Nie stać mnie na taki lokal, ale wiem, o który chodzi.

- Zajrzyj przy okazji. Jestem od szóstej do zamknięcia, co noc, poza poniedziałkiem. Stawiam drinka.

- Dzięki, Wim. Zajrzę na pewno. Dziękuję za pomoc. Kawa była wspała.

- Do zobaczenia - powiedział.

Wyszłam, dostrzegając kątem oka gościa, dla którego Wim szykował śniadanie. Wyglądał jak żywcem wyjęty z kwartalnika dla eleganckich panów „Gentlemen's Quarterly”: palące spojrzenie, perfekcyjna linia dolnej

szczęki, koszulka bez kołnierzyka, na ramiona zarzucony włoski kaszmirowy sweter z rękawami zawiązanymi na piersi.

Wim, krzątając się po kuchni, zaczął śpiewać „Mężczyznę, którego kocham”. Jego głos brzmiał dokładnie jak głos Marleny Dietrich.

Na korytarzu na dole wpadłam na Tillie, która niczym jakiś włóczęga pchała przed sobą metalowy wózek pełen brązowych papierowych toreb.

- Mogłabym chodzić po zakupy i dwa razy dziennie - oznajmiła. - Przyszłaś do mnie?

- Tak, ale skoro cię nie zastałam, ucięłam sobie pogawędkę z Wimem. Nie wiedziałam, że Elaine Boldt ma kota.

- Ach, Mingus. Jest u niej od lat. Nie wiem, dlaczego ci o nim nie wspomniałam. Ciekawa jestem, co z nim zrobiła.

- Mówiłaś, że miała jakiś bagaż podręczny tej nocy, kiedy wychodziła do taksówki. Może to był Mingus w klatce?

- No tak, pewnie tak. Wielkość nawet by pasowała, a ona rzeczywiście wszędzie zabiera kota ze sobą. Pewnie on także zniknął? Dlatego przyszłaś?

- Jeszcze nie wiem, czy zniknął, ale prawdopodobnie tak. Szkoda, że nie cierpi na jakąś rzadką kocią przypadłość, mogłabym go wtedy odszukać przez weterynarza.

Tillie pokręciła głową.

- Nie potrafię ci tu pomóc. Mingus jest w doskonałej kondycji. Łatwo byłoby go rozpoznać. Wielki, szary kocur, długowłosy. Musi ważyć przynajmniej dziesięć kilo.

- Z rodowodem?

- Nie, i na dodatek dawno wykastrowany, więc przez hodowców też go nie znajdziesz.

- Cóż, chyba jednak będę musiała go poszukać, skoro nie mam innego punktu zaczepienia. Rozmawiałaś wczoraj z policją?

- A, owszem, i powiedziałam im, że naszym zdaniem ta kobieta mogła ukraść rachunki Elaine. Oficer patrzył na mnie, jakbym była kompletną idiotką, ale wszystko zapisał.

- Powiem ci coś jeszcze, czego się dowiedziałam od Wima. Przysięga, że Beverly, siostra Elaine, była tutaj na Boże Narodzenie. Podobno strasznie się pokłóciły. Wiedziałaś o tym?

- Nie. I Elaine nigdy mi słowem nie wspomniała - rzekła, przestępując niespokojnie z nogi na nogę. - Kinsey, muszę już iść. Kupiłam sorbet i muszę go szybko wsadzić do zamrażalnika, żeby nie zaczął cieknąć.

- Dobra. Zajrzę do ciebie innym razem - powiedziałam. - Dzięki, Tilly.

Pośpieszyła korytarzem, wlokąc wózek wyładowany zakupami, a ja wróciłam do samochodu. Otworzyłam drzwiczki. Jak zwykle podniosłam wzrok na dom Grice'ów. Nieodparcie przyciągała moją uwagę ta na wpół zwęglona ruina, w której popełniono morderstwo. Kierując się impulsem, zamknęłam samochód i potruchtałam do frontowych drzwi domu Snyderów. Pan Snyder musiał zauważyć mnie przez okno, bo drzwi otworzyły się dokładnie w momencie, kiedy podniosłam rękę, żeby zapukać. Wyszedł na ganek.

- Widziałem, jak pani szła od furtki. Pani była u nas wczoraj - oznajmił. - Nie pamiętam, jak się pani nazywa.

- Kinsey Millhone. Odwiedziłam wczoraj pana Grice'a u jego siostry. Powiedział mi, że pan ma klucz do jego domu i wpuści mnie do środka, gdybym się chciała rozejrzeć.

- Dobrze. Mam go gdzieś tutaj. - Pan Snyder uczynił kilka gestów, jakby sam siebie rewidował, a w końcu wyłowił z kieszeni kółko z kluczami. Przejrzał je pobieżnie. - To ten - oznajmił wreszcie. - Zdjął klucz z kółka i podał mi go. - To od tylnych drzwi. Frontowe są zabite deskami, jak pani widzi. Od tamtego czasu wszystko zagrodzili, żeby ich kumple z kryminalnego mogli zrobić, co do nich należy.

- Co tam się dzieje, Orris? - usłyszałam głos dobiegający gdzieś z głębi domu. - Z kim rozmawiasz?

- Weźże na wstrzymanie! Stara, a głupia. Muszę iść - oznajmił, a przy tym zatrząsł mu się podbródek.

- Jak tylko skończę, zaraz go odniosę - obiecałam, ale on już ciężko stapał w stronę tyłu domu, wyraźnie rozgniewany.

Pomyślałam sobie, że jego żona, jak na osobę - jego zdaniem - głuchą niczym pień, odznacza się wyjątkowo dobrym słuchem.

Przeszłam przez podwórko Snyderów, pod stopami szeleściły mi opadłe igły. Frontowy trawnik u Grice'ów, kompletnie zaniedbany, stracił życie. Boczne przejście było zawalone gruzem. Wyglądało na to, że od czasu odjazdu straży pożarnej nic się tu nie zmieniło. Miałam nadzieję, że w środku też wszystko zostało nieruszone. Obeszłam bok budynku, mijając

zamknięte na kłódkę podwójne drzwi, nachylone pod kątem w stosunku do domu i prowadzące w dół, do piwnicy. Na tyłach weszłam po pięciu wyszczerbionych schodkach na niewielki tylny ganek. Drzwi miały spore okno, przesłonięte marszczonymi firankami, teraz brudnymi i pościągany- mi, przez które mogłam dostrzec kuchnię.

Otworzyłam zamek kluczem i weszłam. Raz miałam szczęście. Meble stały ciągle na miejscu: brudny kuchenny stół, krzywe krzesła. Zostawiłam drzwi za sobą szeroko otwarte i zbadałam pomieszczenie. W kredensie stały talerze, na półkach spiżarni widać było rzędy puszek. Poczułam lekki dreszcz niepokoju - jak zawsze w podobnych sytuacjach.

Dom chnął spalonym drewnem, na wszystkim zalegała gruba warstwa sadzy. Ściany kuchni poszarzały od dymu, każdy mój krok odpowiadał zgrzytem potłuczonego szkła. O ile mogłam stwierdzić, wewnątrz domu było rozplanowane dokładnie tak samo jak u Snyderów. Tuż obok kuchni zidentyfikowałam pomieszczenie oddzielone usmolonymi wahadłowymi drzwiami, które najwyraźniej pełniło rolę jadalni. U Snyderów zostało ono przemienione w pokój dla May. Po przeciwnej stronie korytarza znajdowała się toaleta z umywalką. Stare linoleum, powybrzuszane i wypaczone, odślaniało poczerwiałe deski podłogi. Okno w korytarzu, pozbawione szyby, wychodziło na wąskie przejście pomiędzy dwoma domami i dokładnie na sypialnię May Snyder. Widziałam kobietę wyraźnie: leżała na szpitalnym łóżku, z oparciem ustawionym pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Zdawała się drzemać, maleńka i krucha, skurczona pod białą narzutą. Odeszłam od okna i ruszyłam korytarzem w stronę salonu.

Ogień zniszczył wszelkie kolory. Wnętrze wyglądało jak czarno-biała fotografia. Smugi węgla niczym ciemne ślady aligatora pokrywały framugi drzwi oraz okien. Im bliżej frontu, tym gorsze były zniszczenia. Minęłam schody prowadzące na półpiętro; płomień strawił stopnie oraz część drewnianej balustrady. Tapeta wisiała w strzępach, zbrązowiła jak stara mapa wskazująca drogę do skarbu.

Ruszyłam, próbując wziąć się w garść. Tuż przed frontowymi drzwiami rysowała się złowieszcza ścieżka brakujących klepek, w miejscu, gdzie - jak się domyślałam - znaleziono ciało Marty Grice. Płomień wspiął się po ścianie, odślaniając rury i poczerwiałe belki. Tutaj i dalej w stronę korytarza, a także na schodach widać było nieregularne wypalone ślady - świadectwo,

że rozlano jakiś środek łatwopalny. Ominęłam wielką dziurę w podłodze i zajrzałam do salonu, który wyglądał, jakby został wyposażony w awangardowe „dzieła sztuki meblarskiej” wykonane z brykietów węgla drzewnego. Dwa fotele i kanapa ciągle stały na swoich miejscach, ale ogień pożarł tapicerkę aż do gołych sprężyn. Ze stolika do kawy została tylko przypalona rama.

Wróciłam do schodów, wspięłam się po nich ostrożnie. Kapryśny ogień wtargnął i do sypialni. Nie oszczędził niskiego stołeczka, ale tuż obok zostawił nietkniętą stertę książek w wydaniu kieszonkowym. Pokój został kompletnie zalany w czasie gaszenia pożaru. Cuchnął gnijący dywan z włókna sztucznego i przemoczona tapeta, spleśniałe koce, okopcone ubrania i przepalona izolacja, która tu i ówdzie wykłapała spod listew oraz tynku.

Na szafce nocnej stała fotografia Leonarda, za jej ramkę zatknięto kartkę przypominającą o wizycie u stomatologa.

Wyjęłam kartkę, przyjrzałam się bliżej twarzy Leonarda Grice'a. Przypomniało mi się zdjęcie jego żony Marty. Kobieta niska, przysadzista, z nadwagą. Nosiła okulary w plastikowych oprawkach i uczesanie, które wyglądało jak stara peruka. Leonard był znacznie bardziej atrakcyjny; wyglądał nawet interesująco: dystyngowana postawa, siwiejące włosy, mocne spojrzenie. Ramiona miał zaokrąglone być może z powodu kłopotów z kręgosłupem; zdawały się one świadczyć o jakimś miękkim rysie jego charakteru. Czy mógł być pociągający dla Elaine Boldt? Czy weszła ona pomiędzy tych dwoje?

Odstawiłam zdjęcie i zesłam na parter. Kiedy ruszyłam korytarzem w stronę kuchni, zauważyłam otwarte drzwi. Ostrożnie pchnęłam je szerzej. Przede mną ziała piwnica jak przestronna, czarna pułapka. Cholera. Wiedziałam, że muszę tam zajrzeć, żeby mieć za sobą już wszystko. Skrzywiłam się i poszłam do samochodu po latarkę, którą wozłam w schowku na rękawiczki.

# ROZDZIAŁ 13

Schody do piwnicy były nienaruszone. Ogień został najwyraźniej zduszony, zanim tutaj dotarł. Strumień światła z latarki wykrawał w ciemności wąską ruchomą ścieżkę; w jej obrębie ukazywały się rzeczy, których nie chciałam dotknąć za nic w świetle. Dotarłam do podnóża schodów. Nie było tu wiele wolnego miejsca. Czterdziestoletni z górą dom miał wilgotne fundamenty pokryte pajęczyną pęknięć. Powietrze było gęste jak w szklarni, tyle że tutaj wszystko wymarło, wydzielając bagnistą woń dawno ugaszonego ognia, starej wilgoci, opuszczenia i zgnilizny.

Powiodłam skośnym strumieniem światła po legarach aż do dziury, przez którą przesączało się światło dnia. Czy podłoga się przepaliła, aż ciało spadło do piwnicy? Podeszłam bliżej, chciałam widzieć lepiej. Na moje oko brzegi dziury wyglądały na cięte. Może inspektor pożarowy wziął próbki desek do testów laboratoryjnych? Po lewej stronie dostrzegłam piec, nadętą przycupniętą bryłę szarości, z umazanymi sadzą przewodami rozbiegającymi się we wszystkich kierunkach. Podłoga była uwalana błotem i pokruszonym betonem, wszędzie pełno śmieci. Pod schodami zwalono puszki farby, stare siatki okienne, w kącie poniewierał się wiekowy galwanizowany zlewozmywak i zardzewiałe rury.

Obeszłam całą piwnicę, zaglądając w najdalsze kąty. Rozmaite wielonogie stworzenia przestraszone moim widokiem rozbiegały się na wszystkie strony. Później byłam zadowolona, że oglądałam wszystko tak sumiennie, ale wtedy chciałam tylko wyjść stamtąd jak najszybciej. Puste domy zawsze pełne są tajemniczych dźwięków, przywodzących na myśl skradającego się



mordercę z siekierą w dłoniach. Poświeciłam jeszcze na przeciwną ścianę, gdzie wyrastały schody prowadzące do podwójnych drzwi na podwórzu. Światło dnia skośnymi promieniami przedostawało się przez szczeliny, ale świeże powietrze tutaj nie docierało. Wiedziałam, że drzwi są zamknięte od zewnątrz, ale drewno, stare i spróchniałe, nie wyglądało szczególnie solidnie. Z tego, co mówiła Lily Howe, napastnik nawet nie zaprzętał sobie głowy włamaniem. Pomaszerował prosto do frontowych drzwi i zadzwonił. Czy walczyli? Czy przestraszył się, kiedy Marty otworzyła, i zabił ją natychmiast? Intruzem mogła być również kobieta; zwłaszcza jeśli bronią był kij baseballowy. Od czasu IX Igrzysk Olimpijskich kobiety poczyniły ogromne postępy w nowych dyscyplinach: morderstwo przez trafienie dyskiem, oszczepem, kulą, strzałą z łuku, krążkiem hokejowym... jeśli się chwilę zastanowić, możliwości były nieskończone.

Wróciłam do schodów drząc mimowolnie, świadoma smolistej ciemności za plecami. Ruszyłam w górę, pokonując po dwa schodki na raz. O mały włos sama się nie znokautowałam, bo łupnęłam głową w rozpórę. Zakląłam głośno i wyleciałam z piwnicy na korytarz, jakby sto diabłów mnie goniło. Mój wzrok przyciągnęło coś miękkiego, podobnego do puchu. To jakaś gąsienica przyczepiła mi się do koszulki. Wzdrygnęłam się z obrzydzeniem i strzepnęłam ją gwałtownie. Boże, czego to człowiek nie robi dla pieniędzy! Wyszedłam z domu Grice'ów tylnymi drzwiami, zamknęłam je za sobą dokładnie i usiadłam na stopniach ganku. W końcu udało mi się uspokoić oddech, ale minęło jeszcze kilka minut, zanim naprawdę doszłam do siebie.

Siedziałam i przyglądałam się tyłowi podwórza. Nie wiem, czego szukałam ani co spodziewałam się znaleźć po pół roku. Były tam tylko rozrosnięte krzaki i chwasty. Małe drzewko pomarańczowe ledwo żyło z braku wody, ale obsypane było twardymi, zbrązowiałymi owocami. No i budka zbudowana z elementów prefabrykowanych, które można zamówić z katalogu Searsa i postawić gdziekolwiek. Zabezpieczała ją wielka kłoda wyglądająca bardzo solidnie. Przeszłam przez podwórze i obejrzałam ją sobie z bliska. Zamek miała dość prosty, mogłabym go otworzyć w kilka minut, tyle że nie miałam ze sobą niezastąpionego zestawu wytrychów. Nie zależało mi specjalnie, żeby stać na widoku i grzebać w kłódce w pełnym świetle dnia. Postanowiłam wrócić po zmroku i sprawdzić, co trzymał w tej budce Leonard Grice albo jego bratanek. Pewnie stare narzędzia ogrodnicze, ale nigdy nie wiadomo.

Oddałam klucz panu Snyderowi, po czym wsiadłam do samochodu i pojechałam do biura. Weszłam, nastawiłam kawę. Korespondencja jeszcze nie przyszła, na sekretarce nie było żadnych nowych wiadomości. Wyszłam na balkon. Gdzie, do jasnej cholery, była Elaine Boldt? I gdzie był jej kocur? Zaczynało mi brakować pomysłów. Wystukałam na maszynie umowę z Julią Ochsner i przygotowałam ją do wysłania. Kiedy zaparzyła się kawa, nalałam sobie, usiadłam w obrotowym krześle i zaczęłam się kręcić.

W razie wątpliwości - pomyślałam - najlepiej kierować się rutyną.

Zadzwoiłam do gazety lokalnej w Boca Raton, a potem do innej w Sarasocie. W obu umieściłam ogłoszenia drobne: „Ktokolwiek wie o miejscu pobytu Elaine Boldt, lat czterdzieści trzy...” i tak dalej. „Proszę o kontakt...” do tego moje nazwisko, adres i numer telefonu wraz z informacją, że połączenie jest realizowane na mój koszt.

To wyglądało na produktywny wysiłek. Co dalej? Pokręciłam się na krześle jeszcze trochę, a potem zadzwoniłam do pani Ochsner. Dawno już zamierzałam to zrobić.

- Halo? - podniosła słuchawkę po dłuższej chwili. Głos miała drżący, ale brzmiała w nim także nuta oczekiwania, jakby mimo że skończyła już osiemdziesiąt osiem lat, dzwoniło do niej wiele osób z licznymi pilnymi sprawami. Miałam nadzieję, że i ja taka będę w jej wieku, niestety, akurat w tej chwili daleko mi było do optymizmu.

- Dzień dobry, pani Julio. Tu Kinsey z Kalifornii.

- Jedną minutkę, kochanie, tylko ściszę telewizor. Oglądałam swój ulubiony program.

- Woli pani, żebym zadzwoniła za jakiś czas? Nie chciałabym przeszkadzać. ...

- Nie, nie. Wolę rozmawiać z tobą. Zaczekaj.

Po kilku chwilach usłyszałam, że hałasy w tle zostały zredukowane do zera. Julia najwyraźniej pełzła do telefonu najszybciej, jak mogła. Czekalam. Wreszcie ponownie ujęła słuchawkę.

- Zostawiłam sobie obraz - wydyszała bez tchu - chociaż stąd wygląda jak rozmazana plama. Co u ciebie?

- Chwilowo jestem zawiedziona - przyznałam. - Nie wiem już, co robić. Chciałam panią zapytać o kota Elaine. Pewnie nie widziała pani Minusa przez ostatnie pół roku?

- Boże drogi, pewnie, że nie. Nawet o nim nie pomyślałam. Jeśli ona zniknęła, to on pewnie także, tak przypuszczam.

- Cóż, rzeczywiście na to wygląda. Administratorka budynku mówiła, że Elaine Boldt wyjechała tamtego wieczoru z bagażem, którym mogła być klatka dla kota. Jeśli więc Elaine rzeczywiście wybrała się na Florydę, zapewne wzięła go ze sobą.

- Przysięgłabym, że tutaj go nie ma, ale mogę popytać u weterynarzy i w schroniskach - zaproponowała Julia. - Może go gdzieś oddała.

- Zrobi to pani? Zaoszczędziłoby mi to sporo czasu. Nie mam pewności, czy cokolwiek pani znajdzie, ale przynajmniej będziemy miały czyste sumienie, że próbowałyśmy. Ja spróbuję wytropić taksówkę, którą Elaine pojechała na lotnisko i dowiedzieć się, czy miała ze sobą kota. Czy Pat Usher wspominała o nim kiedykolwiek?

- Nie przypominam sobie. Wyjechała, wiesz? Spakowała się i zniknęła.

- Tak? No, cóż, nawet mnie to nie dziwi. Chciałabym tylko wiedzieć, dokąd się wyniosła. Czy może pani wziąć od Makowskich jej nowy adres? Zadzwoń jutro lub pojutrze. Aha, i proszę, niech pani nie dzwoni do Pat. Nie chcę, żeby w ogóle zwróciła na panią uwagę. Może potem się to przyda. Co poza tym słychać?

- Och, wszystko w porządku. U mnie nie musisz się martwić. Pewnie nie przyjąłabyś mnie na współniczkę?

- Miewałam gorsze oferty - odparłam.

Julia się roześmiała.

- Zamierzam zacząć czytać Mickeya Spillane'a, żeby się trochę podciągnąć. Widzisz, nie znam zbyt wielu grubiańskich słów.

- To obie mamy ten sam problem. Zadzwoń później. Proszę dać mi znać, jeśli zdarzy się coś dziwnego. Aha, wysyłam umowę do podpisu. Trzeba załatwić sprawy oficjalne.

- Zrozumiano. Bez odbioru - rzekła i odwiesiła słuchawkę.

Zostawiłam volkswagena na zatłoczonym parkingu za biurem i poszłam piechotą do Przedsiębiorstwa Taksówkowego Tip Top, mieszczącego się na ulicy Delgado. Biuro miało siedzibę pośród sklepów rzucających się w oczy dzięki wielkim reklamom wyprzedzaży z powodu likwidacji: nieprzerwane pasmo przecenionych butów, samochodowych zestawów stereo oraz stolików śniadaniowych. Pośród nich sklepy z motocyklami, a od czasu do czasu salon piękności lub „zdjęcia w jedną godzinę”. Nieszczególnie pożądana lokalizacja. Jednokierunkowa ulica prowadziła w niewłaściwą stronę, parking był za mały, ale czynsze pewnie niespecjalnie wygórowane, gdyż właściciel budynku pozwalał mu umierać po trochu pod odchodzącą płatem

farbą, na brzegu zaniedbanego trawnika.

Tip Top wciśnięto pomiędzy tani sklep należący do jakiejś organizacji charytatywnej a magazyn ubrań dla postawnego mężczyzny, gdzie na wystawie pysznił się garnitur przeznaczony dla entuzjasty sterydów. Samo biuro było długie i wąskie, przedzielone pośrodku ścianą ze sklejki z wyciętymi drzwiami. Umeblowane jak dziecięca kryjówka - dwie zarwane sofy i stolik z jedną krótszą nogą. Rysunki z podpisami przyklepiono do ścian taśmą klejącą, zniszczone egzemplarze „Droga i trasa” leżały w luźnej kupie przy frontowych drzwiach. O boczną ścianę oparto składane siedzenie samochodowe; plecione obicie, przecięte w jednym miejscu, naprawiono starą wstążką w gwiazdki. Dyspozytor, przycupnięty na stołku, oparł się jednym łokciem o ladę zawaloną różnymi drobiazgami jak stół w warsztacie. Chłopak miał jakieś dwadzieścia pięć lat, czarne kręcone włosy i niewielki ciemny wąsik. Ubrany w luźne płócienne spodnie i koszulkę z wyblakłym wizerunkiem śmierci, na głowie miał daszek, który podnosił mu włosy po bokach. Kiedy zaskrzeczała krótkofalówka, ujął mikrofon.

- Siedem zero - powiedział. Jego spojrzenie natychmiast skupiło się na mapie miasta, rozpostartej na ścianie nad ladą.

Obrzuciłam wzrokiem pełną niedopałków popielniczkę, butelkę aspiryny, kartonowy kalendarz z kościoła Pani Żałościwej, plastikowe paczuszki keczupu i kartkę z dużym napisem: „CZY KTOS WIDZIAŁ MOJĄ FLASZKĘ PIWA?” Na ścianie wisiała lista klientów płacących czekami bez pokrycia, a także tych, którzy mieli zły zwyczaj wzywania więcej niż jednej taksówki, żeby sprawdzić, jaka przyjedzie pierwsza.

Usłyszałam krótką serię skrzeczących dźwięków i dyspozytor przesunął okrągły magnes z jednej części mapy w drugą. Wyglądało, jakby sam ze sobą grał w jakąś grę planszową.

Obrócił się do mnie na stołku.

- Tak, psze pani?

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Jestem Kinsey Millhone - powiedziałam. Wydawał się odrobinę zmieszany takim bezpośrednim podejściem, ale skrył to uczucie i odważnie zrewanżował się tym samym.

- Ron Coachello.

Wyjęłam portfel, pokazałam mu licencję.

- Czy zechciałbyś sprawdzić coś dla mnie w dokumentach?

Spojrzenie jego ciemnych błyszczących oczu mówiło, że może sprawdzić wszystko, pod warunkiem że będzie miał ochotę.

- W czym rzecz?

Na wzór opowiadań z „Reader's Digest” przedstawiłam mu skróconą wersję całej historii, uzupełnioną adresem Elaine Boldt i przybliżonym czasem przybycia taksówki.

- Czy możesz znaleźć papiery z dziewiątego stycznia? Chciałabym, żebyś sprawdził, czy właśnie Tip Top dostała ten kurs. Mam kilka pytań do kierowcy.

- Mogę, pewnie - wzruszył ramionami. - Tylko że to może trochę potrwać. Trzymam ten cały bajzel w domu. Zadzwoń do ciebie... albo ty do mnie przekręcisz za jakiś czas. Pasuje?

Zadzwonił telefon. Dyspozytor zapisał coś, po czym ujął mikrofon i nacisnął guzik.

- Sześć osiem. - Przekrzywił głowę, słuchał. Rozległy się trzaski, potem trzeszczący głos. - Cztery zero dwa dziewięć Orion - powiedział i wyłączył krótkofalówkę.

Podałam mu swoją kartę wizytowa. Zerknął na nią z zaciekawieniem, jakby nigdy dotąd nie spotkał kobiety z wizytówką. Radio nagle ożyło. Odwrócił się ode mnie, podniósł mikrofon. Pomachałam mu, a on kiwnął mi dłonią przez ramię.

Przeszłam przez dokładnie tę samą procedurę w pozostałych dwóch przedsiębiorstwach taksówkowych: City Cab oraz Green Stripe, które szczęśliwie znajdowały się w niewielkiej odległości jedno od drugiego. Zanim skończyłam powtarzać tę samą historię trzeci raz, czułam się, jakbym cierpiała na ciężki przypadek złamania języka.

Po powrocie do biura zastałam na taśmie informację od Jonaha Robba.

- Eee... tak... Kinsey? Tu oficer Robb w sprawie... tej możliwości, o której rozmawialiśmy. Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz chwilę... dziś po południu. Jakoś się umówimy i zabierzemy do tego. Dziś jest piątek... mmm... dziesięć po dwunastej. Do zobaczenia. Dziękuję. Cześć.

Zostawił numer telefonu na posterunek, z wewnętrznym do Wydziału Osób Zaginionych.

Oddzwoniłam i przedstawiłam się dopiero, gdy po drugiej stronie usłyszałam jego głos.

- Rozumiem, że masz dla mnie jakieś informacje.
- Tak - potwierdził. - Zajrzysz do mnie?
- Zajrzę. - Zapisałam adres.

Umówiliśmy się na kwadrans po dwudziestej, po kolacji. Podziękowałam mu za pomoc i odwiesiłam słuchawkę. Nie przypuszczałam, żeby nam się na tym etapie znajomości przydarzył jakiś intymny incydent.

Nie potrafiłam sobie znaleźć nic do roboty, toteż zamknęłam biuro i pojechałam do domu. Była dopiero trzynasta dwadzieścia, a skoro tak niewiele osiągnęłam na niwie zawodowej, czułam się moralnie zobligowana do zrobienia czegoś w domu. Umyłam filiżankę, spodeczek oraz talerz, i postawiłam na suszarce. Miały tu tkwić, aż będę ich znowu potrzebowała. Wsadziłam do pralki naręcze ręczników. Umyłam umywalkę, potem zlew, wyniosłam śmieci i przejechałam odkurzaczem w przejściach między meblami. Od czasu do czasu przesuвам graty i sprzątam pod spodem, ale dzisiaj wystarczyło sprzątnąć po wierzchu i już w mieszkaniu zaczęła się unosić ta szczególna woń, jakby ktoś skrzyżował gorący olej maszynowy i gotowany kurz. Naprawdę kocham porządek. Kiedy człowiek żyje sam, może albo mieszkać w chlewie, albo mieć jak w pudełeczku. Zdecydowanie wolę to drugie. Nie ma dla mnie nic bardziej przygnębiającego niż wieczorny powrót do domu wyglądającego, jakby właśnie przeszedł przez niego huragan.

Przebrałam się do biegania i bez specjalnego wysiłku zrobiłam zwykłe pięć kilometrów. Był to jeden z tych rzadkich dni, kiedy jogging nabiera niewytłumaczalnego wdzięku.

Wróciłam do domu, wzięłam prysznic, umyłam głowę, zdrzemnęłam się, ubrałam, skoczyłam do pobliskiego sklepiku, a następnie usiadłam przy biurku i pracowałam nad notatkami. Popijałam z kieliszka białe wino, pogryzając kanapką z pokrojonym w plasterki jajkiem na twardo, posmarowanym majonezem i posolonym tak, że prawie nie było czuć jego smaku.

O ósmej narzuciłam żakiet, wzięłam torebkę, klucze, wskoczyłam do samochodu i skierowałam się w stronę Cabana Boulevard, szerokiej alei równoległej do plaży. Skręciłam w prawo. Jonah mieszkał w dziwnie małej grupce domów, może ze dwa kilometry od Primavery. Minęłam niewielką przystań, potem Ludlow Beach, zerkając w lewo. Nawet w zapadającym mroku potrafiłam odróżnić pojemnik na śmieci, gdzie dwa tygodnie

temu omal nie spotkała mnie śmierć. Zastanowiłam się, jak długo potrwa, nim będę mogła przejechać przez okolicę, nie spoglądając bezwiednie w lewo, nie rzucając choć jednego spojrzenia na miejsce, gdzie o mało nie skończyło się moje życie. Plaża zdawała się migotać w ostatnich blaskach dnia, a niebo podzieliło się na srebrno-szare warstwy, podkreślone różem i lawendą, a tam gdzie przesłaniały widok pobliskie wzgórza, wykończone ciemnym karmazynem. Dalej, na oceanie, wyspy zatrzymywały magiczne ciepłozłote światło z leniwych strumyczków słońca formujących połyskliwe sadzawki.

Pojechałam w górę, minęłam park Sea Shore, skręciłam w prawo, potem w płataninę uliczek przecinających bulwar. Bliskie sąsiedztwo Pacyfiku niosło ze sobą zbyt wiele chłodnej mgły i sprzyjające korozji powietrze przesycone solą, ale w pobliżu była szkoła podstawowa. Jonah, który musiał utrzymać rodzinę z zarobków gliniarza, miał sąsiedztwo takie, na jakie było go stać, choć nie całkiem świetne.

Znalazłam numer ulicy, którego szukałam, i wjechałam na podjazd. Światło na ganku było zapalone, podwórze wyglądało na dobrze utrzymane. Dom wybudowano w stylu budynku na ranczo. Wieńczyły go jasnoniebieskie dachówki z ciemniejszym obrzeżem. Domyślałam się, że w środku będą trzy sypialnie, a na tyłach może taras. Zadzwoiłam do drzwi, Jonah otworzył. Miał na sobie dzinsy i bluzę z Oxfordu, szarą, w różowe prążki. Trzymał butelkę piwa za szyjkę; gestem zaprosił mnie do środka, spoglądając równocześnie na zegarek.

- Rany, ale jesteś punktualna.
- Niedaleko mam do ciebie. Mieszkam u stóp wzgórza.
- Wiem. Mam to wziąć?

Wyciągnął rękę po mój zakiet, podałam mu go razem z torebką. Rzucił obie rzeczy bezceremonialnie na fotel.

Przez kilka chwil żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Jonah pociągnął łyk piwa. Ja wsadziłam ręce w tylne kieszenie. Dlaczego było tak niezręcznie? Przypomniały mi się te straszne randki w młodszych klasach szkoły średniej, kiedy czyjaś matka odwozi cię do kina i nigdy nie wiesz, o czym rozmawiać.

Rozejrzałam się dookoła.

- Ładny dom - zauważyłam.
- Chodź, oprowadzę cię.

Ruszyłam za nim, a on mówił do mnie przez ramię:

- Kiedy się wprowadziliśmy, to była zupełna ruina. Facet wynajmował dom tym dziwacom, którzy trzymają w szafie fretki i nigdy nie spłukują sedesu, bo to sprzeczne z ich wierzeniami. Pewnie widziałeś ich w okolicy. Bosi, poubierani w czerwone i żółte szmaty... jakby żywcem wyjęci ze Starego Testamentu. Podobno nieczęsto im się zdarzało płacić czynsz, ale za każdym razem, kiedy próbował się z nimi wyklócać, zaczynali buceć, chwytając go za ręce i hipnotyzować wzrokiem. Chcesz wina? Kupiłem na twoją cześć porządny trunek, nie to świństwo w odkręcanych butelkach.

Uśmiechnęłam się.

- Pochlebiasz mi.

Wróciliśmy do kuchni. Jonah otworzył butelkę białego wina i nalał je do kieliszków, które jeszcze miały przyklejone metki na spodzie. Nieśmiało się uśmiechnął, kiedy to zobaczył.

- Miałem tylko plastikowe kieliszki, których dzieciaki używały do zabawy - wyjaśnił. - Tu jest kuchnia.

- Zdażyłam zauważyć.

Nie wiem, czego oczekiwałam, ale tutaj ktoś dokonał właściwych wyborów. To był miły dom. Miał surowy charakter: nagie, błyszczące drewniane podłogi, meble o prostych kształtach, czyste powierzchnie. Dlaczego Camilla to zostawiła? O czym innym śniła?

Pokazał mi trzy sypialnie, dwie łazienki i na koniec niewielkie podwórze zamknięte murkiem porośniętym winoroślą.

- Powiem ci prawdę - oznajmił. - Kiedy odeszła, zapakowałem jej graty i zawiadomiłem Armię Zbawienia, żeby wszystko zabrali. Nie zamierzałem siedzieć i przyglądać się jej szpargałom. Pokoje dziewczynek zostawiłem nietknięte. Może znudzi się dziećmi, tak jak znudziła się mną, i mi je odeśle, ale jej szpargałów nie potrzebuję. Była wściekła, ale czego się spodziewała? - Wzruszył ramionami. Stał tak i trzymał butelkę piwa za szyjkę.

Do tej pory poznałam tylko „uprzejmy” i „nieszkodliwy” wyraz jego twarzy, Wiedziałam, że ma nadwagę i osobowość utworzoną przez mieszanie czegoś delikatnego, połączonego z czymś zabawnym. Był bezpośredni i odpowiadało mi to, ale miał także rys charakteru, jaki zaobserwowałam już wcześniej u niektórych glin: ślepa pewność siebie, jak gdyby patrzył na świat z dystansu, przekonany o własnej niezaprzeczalnej wartości. Teraz jego twarz zaczęła nabierać wyrazu, jaki widziałam u mężczyzn już dwukrotnie: Camilla wiele jeszcze dla niego znaczyła; uśmiechał się za



każdym razem, kiedy o niej mówił, nie z sentymentem, ale żeby pokryć gniew. Pomyślałam sobie, że powinien poznać jeszcze kilka kobiet, zanim zajmie się mną.

- Co się stało? Dlaczego tak patrzysz? - zapytał.

Uśmiechnęłam się.

- Uwaga zły pies - powiedziałam. Nie jestem pewna, czy mówiłam o nim, czy o sobie.

On także się uśmiechnął, ale pojął, co miałam na myśli.

- Mam te papiery dla ciebie.

Wskazał w stronę stołu w alkowie, tuż za progiem salonu.

Usiadłam w kręgu ciepłego światła, czując się jak żarłok z serwetką za-  
tkniętą pod brodą oraz nożem i widelcem w garściach. Wraz z raportami,  
odbitymi na ksero, zdołał również przemyścić kilka odbitek fotograficz-  
nych. Miałam na własne oczy ujrzeć skutki przestępstwa i nie mogłam się  
już doczekać.

# ROZDZIAŁ 14

Szybko przejrzałam pobieżnie całość, a potem wróciłam do początku i czytałam uważnie, notując szczegóły. Oficjalna wersja zdarzeń, przesłuchania Leonarda Grice'a, jego siostry Lily, sąsiadów, inspektora pożarowego i pierwszego inspektora policji, który dotarł na miejsce - mniej więcej rysowały wypadki tak, jak je sobie wyobrażałam. Leonard oraz Marty Grice umówieni byli na tradycyjne wtorkowe wyjście z owdowiałą siostrą Leonarda, panią Lily Howe. Marty nie czuła się dobrze i w ostatniej chwili postanowiła zostać w domu. Leonard i Lily wyszli, jak zaplanowali, i wrócili do domu pani Howe około dziewiątej wieczór. Wówczas to miała miejsce rozmowa telefoniczna z Marty. Mąż i jego siostra Lily zawiadomili ją, że wrócili już do domu. Zarówno pan Grice, jak i jego siostra rozmawiali z Marty, która zakończyła połączenie telefoniczne, żeby odpowiedzieć na pukanie do drzwi. Zgodnie z zeznaniami Lily i Leonarda oboje wypili jeszcze kawę, a potem jakiś czas rozmawiali. Leonard wyszedł od siostry około dwudziestej drugiej, dotarł na Via Madrina jakieś dwadzieścia minut później, i tu dowiedział się, że jego dom spłonął. W tym czasie pożar został już opanowany i z częściowo zrujnowanej nieruchomości wyniesiono ciało jego żony. Leonard Grice zemdlął, był reanimowany przez zespół medyczny obecny na miejscu. Osobą, która zauważyła pożar, była Ti-lle Ahlberg. Wszczęła alarm o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć. W ciągu kilku minut pojawiły się dwie jednostki straży pożarnej. Ponieważ ogień uniemożliwiał dostanie się do wnętrza domu od frontu, strażacy włamali się przez tylne drzwi i po mniej więcej trzydziestu minutach ugasili

ogień. Ciało Marty Grice znaleziono w pobliżu frontowego wejścia. Zabrano je do kostnicy.

Identyfikację przeprowadzono na podstawie zdjęć rentgenowskich uzębienia, dostarczonych przez stomatologa Marty, oraz przez badanie zawartości żołądka. Podobno Marty wspomniała mężowi przez telefon, że przygotowała sobie zupełną pomidorową z puszki oraz kanapkę z tuńczykiem. W kuchennym koszu na śmieci znaleziono puste opakowania. Uznano, że Marty Grice zginęła w krótkim przedziale czasu pomiędzy rozmową telefoniczną z mężem i szwagierką a chwilą, kiedy podniesiono alarm pożarowy.

Przeczytałam raport z autopsji, gromadząc w pamięci wiele technicznych szczegółów. Patolog nie stwierdził w oskrzelach ani w płucach cząsteczek węgla, nie odkrył tlenu węgla we krwi ani w tkankach. Stąd wyprowadził wniosek, że w chwili wybuchu pożaru ofiara była martwa. Dodatkowe testy laboratoryjne wykazały brak obecności w organizmie alkoholu, chloroformu, narkotyków i trucizn. W tej sytuacji za przyczynę śmierci zostały uznane liczne obrażenia czaszki, najprawdopodobniej spowodowane wielokrotnymi ciosami zadanymi tępym narzędziem. Wnioskując z natury ran, patolog przypuszczał, że narzędziem zbrodni mogła być belka konstrukcyjna dwa na cztery cale, kij baseballowy lub może jakiś inny rodzaj maczugi, możliwe, że metalowej. Narzędzia zbrodni nie odnaleziono. Mogła to być, oczywiście, wielka stara decha, która spłonęła w pożarze, ale nie znaleziono dowodów potwierdzających tę tezę.

Służby prowadzące dochodzenie w sprawie podpalenia zdawały się nie mieć wątpliwości, że ogień został podłożony celowo. Testy laboratoryjne wykazały na deskach podłogowych obecność nafty oczyszczonej. Potwierdził tę hipotezę zwęglony ślad ciągnący się przez cały dom. Zawodowcy najwyraźniej znaleźli ten sam poczerniały szlak, który i ja spostrzegłam, będąc w domu Grice'ów. Badający przyczyny pożaru skorzystali także z kilku wyszukanych metod określania źródła ognia oraz wytyczania kierunku rozprzestrzeniania się płomieni. Leonard Grice został przesłuchany na temat nafty oczyszczonej i przyznał, że w piwnicy miał trochę tego płynu, wykorzystywanego do dwóch lamp oraz piecyka, używanych w czasie wypadów za miasto. Uznano, że włamywacz przyszedł z narzędziem zbrodni w rękę, ale bez zamiaru podpalenia domu. Spowodowanie pożaru najwyraźniej przyszło mu do głowy później, jako naprędce zaplanowany sposób zatarcia śladów morderstwa. Niestety, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nikt

nie wiedział, że Marty Grice była w domu, więc gliniarze mieli ciężki orzech do zgryzienia, by udowodnić, że morderstwo zostało zaplanowane.

Nie było dowodu na użycie zapalnika czasowego, co wykluczało możliwość, że Leonard Grice przygotował wybuch pożaru, zanim wyszedł z domu. Jego bratanek Mike został przesłuchany i uwolniony od wszelkich podejrzeń. W krytycznym czasie, kiedy według ekspertów podłożono ogień, wielu niezależnych świadków widziało go w pewnej kafejce zwanej „Czasomierz”. Innych świadków ani innych podejrzanych nie było. Wszelkie ewidentne ślady, w tym odciski palców, zostały zniszczone przez ogień. Nazwisko Elaine Boldt figurowało na liście osób do przesłuchania, dołączono też notkę, że porucznik Dolan skontaktował się z nią telefonicznie dziesiątego stycznia. Wyzначył jej spotkanie na dzień następny, ale ona się nie pojawiła. Zgodnie z moimi informacjami, poprzedniej nocy wyjechała na Florydę.

Zainteresował mnie szczególnie jeden z ustępów, który wpadł mi w oko w środku wystukanego na maszynie sprawozdania. Zgodnie z raportem policjantki dyżurującej tamtej nocy na posterunku policji, o godzinie dwudziestej pierwszej zero sześć odebrała ona alarmujący telefon - możliwe, że dzwoniącą była Marty Grice. Przeżona kobieta wołała o pomoc, lecz połączenie zostało zaraz przerwane. Ponieważ nieznajoma zadzwoniła na posterunek policji, a nie pod numer 997, dyżurna nie miała możliwości sprawdzić jej adresu. Sporządziła na ten temat notatkę, a po wyjściu na jaw sprawy morderstwa przekazała dokument Dolanowi, który dołączył go do swojego raportu. Leonard Grice został wypytany, dlaczego Marty Grice - jeśli to była ona - dzwoniła na posterunek, zamiast wykręcić 997. Okazało się, że telefon państwa Grice - nowoczesny aparat z automatyczną pamięcią, podłączony do centrali cyfrowej, umożliwiającej szybkie wybieranie numerów - miał zaprogramowane przez Marty numery telefonów alarmowych - zarówno na posterunek policji, jak i do straży pożarnej. Aparat odnaleziono nieuszkodzony, na stoliku w głębi korytarza. Na indeksie widniały starannie wypisane numery. Wyglądało na to, że Marty zorientowała się w niebezpieczeństwie i zanim ją zabito, zdołała dotrzeć do telefonu. Jeżeli rzeczywiście to ona dzwoniła, za czas zborni należało przyjąć godzinę dwudziestą pierwszą zero sześć lub wkrótce potem.

Przez jakiś czas ludziłam się nadzieją, że Leonard Grice był jednak we wszystko zamieszany. W końcu, o ile mi było wiadomo, policja miała wyłącznie słowo Lily na potwierdzenie faktu, że przez cały czas był u niej. Moim zdaniem mógł wrócić do domu wcześniej, zabić Mar-thę, spowodować pożar, a następnie zaparkować za rogiem i czekać na odpowiedni moment, żeby się pojawić. Jeśli był z siostrą w zмовie, naturalnie jedno-myślnie utrzymywali, iż cały czas przebywał z nią. Nie miałam szczęścia. Trzy przesłuchania dalej znalazłam krótki ustęp relacjonujący rozmowę, jaką Dolan przeprowadził z jakimiś sąsiadami Lily, którzy wstąpili niespodziewanie z wizytą o dwudziestej pierwszej, żeby podrzucić prezent urodzinowy. Mąż i żona, niezależnie od siebie, zgodnie zeznali, że Leonard Grice był wraz z nimi i wyruszył do domu około dwudziestej drugiej. Godzina ta zapadła im w pamięć, ponieważ próbowali namówić Leonarda na obejrzenie programu telewizyjnego, który zaczynał się właśnie o tej porze. Program okazał się powtórką, a skoro Grice chciał wracać do domu, wyszedł.

Cholera jasna.

Zaraz, dlaczego mi to tak przeszkadzało? Aha, chciałam, żeby Leonard Grice okazał się winny. Winny morderstwa, współdziału w morderstwie, zatajenia morderstwa. Podobała mi się ta idea ze względu na jej prawdopodobieństwo - zgadzała się przynajmniej ze statystyką. W Kalifornii pada ofiarą morderstwa ponad trzy tysiące osób rocznie, a z tego pełne dwie trzecie są wyprawiane z tego padołu przez przyjaciół, znajomych albo krewnych. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie lepiej w tym stanie żyć jako osamotniona sierota. Faktem jest, że kiedy popełniane jest morderstwo, istnieją duże szanse, iż maczał w tym palce ktoś bliski i kochany.

Przemyślałam sprawę jeszcze raz, nie chcąc porzucić tego wątku. Czy Leonard Grice mógł komuś zlecić zabicie żony? Zawsze możliwe, oczywiście, ale trudno było stwierdzić korzyści płynące z takiego działania. Policjanci, którzy nie są przecież głupcami, sprawdzili i tę możliwość, ale skończyli na niczym. Nie było wpływu pieniędzy z konta, żadnych spotkań z czarnymi charakterami, brak motywu, brak korzyści.

To prowadziło mnie z powrotem do Elaine Boldt. Czy mogła być zamieszana w śmierć Marty Grice? Większość znanych mi faktów krzyczała na całe gardło „nie!”. Naprawdę nic nie przemawiało za tym, żeby Elaine Boldt romansowała z Leonardem Grice'em albo była z nim związana w

jakiś inny sposób, poza tym, że od czasu do czasu grywali w brydża. Nie wydawało mi się, żeby Marty Grice zapłaciła życiem za położenie szlemika, ale też z brydżystami nigdy nic nie wiadomo.

Wim Hoover wspomniał, że Elaine i Beverly pokłóciły się w Boże Narodzenie o mężczyznę, trudno jednak było wyobrazić sobie te dwie kobiety walczące o Leonarda Grice'a. I znowu wracałam do tego samego podejrzenia - że Elaine wiedziała albo widziała coś związanego z zamordowaniem Marty i wyjechała z miasta, żeby uniknąć przesłuchania.

Przyjrzałam się fotografiom. Staralam się patrzeć chłodnym okiem. Musiałam wiedzieć, jak to wyglądało, i nie mogłam sobie pozwolić na emocjonalną reakcję. Gwałtowna śmierć jest odpychająca. W pierwszym odruchu miałam ochotę po prostu się odwrócić, uchronić duszę od koszmarnego widoku, ale był to jedyny namacalny przekaz wypadków, a musiałam zobaczyć to na własne oczy. Spojrzałam na pierwszą czarno-białą fotografię. Kolorowe zdjęcia są gorsze, dlatego zaczęłam od „łatwych”.

Jonah odchrząknął.

- Będę się musiał zbierać na górę - powiedział. - Jestem wykończony.

- Tak? - Podniosłam wzrok na niego, potem spojrzałam na zegarek i aż się zdziwiłam. Była dwudziesta druga czterdzieści pięć. Siedziałam tutaj ponad dwie godziny. - Przepraszam! Nie miałam pojęcia, że już tak późno.

- Nie ma sprawy. Po prostu wstałem dzisiaj o piątej i muszę się już zdrzemnąć. Możesz to zabrać, jeśli chcesz. Oczywiście, jeśli Dolan kiedykolwiek cię przyłapie, wyprę się wszystkiego i zostawię cię na pożarcie. Swoją drogą, mam nadzieję, że ci ta sterta papierów coś da.

- Już dała. Wielkie dzięki. - Włożyłam fotografie oraz raporty do dużej brązowej koperty, a tę z kolei wepchnęłam do torebki.

Do domu wracałam rozkojarzona i niespokojna. Cały czas miałam przed oczyma ciało Marty Grice, leżące w kręgu popiołu jak na stercie szarych konfetti. Miała zatarte rysy twarzy, otwarte usta. Wysoka temperatura pokurczyła jej ścięgna na rękach, zwijając dłonie w pięści jak przy starciu bokserskim. Była to jej ostatnia runda. Przegrała ją, ale walka jeszcze się nie skończyła.

Pozbyłam się tego obrazu sprzed oczu, zaczęłam sobie układać w głowie wszystko, czego się dowiedziałam do tej pory. Jeden szczegół ciągle

nie dawał mi spokoju. Czy to możliwe, że May Snyder miała rację, mówiąc o głośnym stukaniu tamtej nocy? Jeśli tak, cóż to mogło być, u licha?

Byłam prawie w domu, kiedy przypomniałam sobie o budce na tylnym podwórzu u Grice'ów. Wcisnęłam hamulec, odbiłam w lewo i ruszyłam przez miasto.

Via Madrina, gęsto obrośnięta włoskimi sosnami, tkwiła w ciemnościach. O tej porze ruch był niewielki. Nocne niebo skryła mgła i choć świecił księżyc w pełni, niewiele blasku docierało na podwórze Grice'ów, gdyż dom stał w cieniu pobliskiego bloku. Zaparkowałam i wyjęłam ze schowka latarkę w kształcie długopisu. Naciągnęłam gumowe rękawiczki, zamknęłam samochód i ruszyłam w stronę podjazdu. Jak duch przemknęłam obok domu. Tenisówki na betonie nie powodują najmniejszego szmeru.

Namacałam w kieszeni zakietu komplet metalowych wytrychów w kształcie spłaszczonej mandoliny. Ten liczył pięć sztuk, umocowanych na wspólnym kółku. Drugi, bardziej skomplikowany, zestaw zostawiłam w domu w pięknej skórzanej walizeczce. Był to prezent od pewnego włamywacza, który właśnie odsiadywał dziesięć miesięcy w więzieniu stanowym. Poprzednim razem, kiedy został złapany, wynajął mnie, żebym miała na oku jego żonę, którą podejrzewał o zdradę z sąsiadem. W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca, a on był tak wdzięczny za dobre wieści, że dał mi komplet wytrychów i pokazał, jak się nimi posługiwać. Prócz tego zapłacił gotówką, ale potem okazało się, że pieniądze były kradzione. Musiał prosić, bym mu je oddała, ponieważ sąd nakazał restytucję.

Zrobiło się chłodno, powiała swawolna bryza, szeleszcząc w konarach sosen. Dom na tyłach posiadłości Grice'ów miał płócienne markizy, które łopotały jak żagle. Płytkie westchnienie suchej trawy dodawało memu przedsięwzięciu aury niesamowitości. Nie dość, że czułam się nieswojo, gdyż miałam świeżo przed oczyma fotografie zwęglonego ciała, to jeszcze przyszłam tutaj dokonać włamania, które mogło się skończyć utratą licencji i zaprowadzić mnie prosto do więzienia. Jeśli sąsiedzi podniosą alarm i na scenie pojawią się gliniarze, czym się będę tłumaczyć? A właściwie, dlaczego w ogóle zamierałam to zrobić? Aha, ponieważ chciałam wiedzieć, co było w tym metalowym baraku, a nie potrafiłam wykombinować, jak inaczej się o tym przekonać.

Skierowałam wąski strumyczek światła na spód kłódki. Mój zaprzyjaźniony włamywacz wyrysował mi kiedyś na wykresie taki zamek. Jest w nim cieniutka zapadka, która blokuje wgłębienia w klamrze. Zazwyczaj jeden z ząbków klucza uruchamia zapadkę, pytanie tylko, który z moich wytrychów ją odsunie, zwalniając mechanizm. Szczerze mówiąc, mogłam równie dobrze spróbować użyć spinacza do papieru zagiętego na końcu, ale spróbowałam wytrychem o tym samym kształcie. Zamek ani drgnął. Następny wytrych był w kształcie litery H. Nic. Ostrożnie spróbowałam trzecim. Kłódka odskoczyła mi w dłoń. Sprawdziłam czas. Minuta trzdzieści. Zaczynałam się robić próżna.

Przy otwieraniu drzwi budki skrzypnęły cicho, serce podskoczyło mi do gardła. Usłyszałam pykanie motocykla na ulicy, ale nie zwróciłam na to specjalnej uwagi, gdyż w tym samym momencie pojąłam opiekuńczy stosunek Mike'a do nieruchomości jego wuja. W tej szopie, w towarzystwie glinianych donic i kosiarki do trawy oraz środków chwastobójczych, znajdowało się sześć półek zapchanych narkotykami: słoje pełne pigułek amfetaminy, extasy, anielskiego pyłu, halucynogenów... a do tego kilka grubo wypchanych plastikowych torebek z trawką i haszem. Pyszności ponad wszelkie wyobrażenie. Nie podejrzewałam Leonarda Grice'a o narkomanię, za to chciałabym mieć pieniądze, które jego bratanek zainwestował w ten interes. Taka byłam zachwycona odkryciem, że nie zdawałam sobie sprawy, iż jest za mną, póki nie usłyszałam zdumionego:

- Hej!

Podskoczyłam, zdusiłam okrzyk, obróciłam się na pięcie. Przede mną stał dzieciak. Zielone oczy błyszczały w ciemnościach jak kocie. Był równie zaskoczony jak ja. Szczęściem żadne z nas nie miało broni, bo inaczej odbyłby się szybki pojedynek, zakończony niepotrzebnym zgonem.

- Co ty tu robisz? - spytał zdumiony.

Był wzburzony, najwyraźniej nie mógł uwierzyć własnym oczom. Grzebień na czubku głowy zaczął mu odrastać i wiatr kładł go lekko na lewą stronę, jak łan wysokiej trawy na starych reklamach. Mike był ubrany w czarną skórzaną kurtkę motorową, a w uchu miał kolczyk z kryształkiem. Wysokie buty do kolan z plastiku imitującego skórę kobry przywozły na myśl łuszczycę. Trudno było brać tego chłopaka na poważnie, a jednak to zrobiłam. Zamknęłam drzwi, włożyłam kłódkę na miejsce. Co mógł mi udowodnić?



- Zaciekawilo mnie, co ty tutaj porabiales, wiec zajrzalam.  
- Wlamalas sie - oznajmil z niedowierzaniem. Jego glós miał jeszcze ten mlodociany zaspiw pozostaly po dojrzewaniu. Na policzki wypełz mu goracy rumieniec. - Nie wolno sie wlamywal!

- Co ty powiesz? - zdziwilam sie. - Wiesz co, Mike, chyba masz klopoty.

Przez chwile gapil sie na mnie bez slowa.

- Wezwiesz gliny? - wydusil w koncu.

- Pewnie!

- Ale wlamanie tez jest wbrew prawu - zauwazył. Najwyrazniej nalezal do rozgarnietych chlopców, przyzwyczajonych wykłócać sie z doroslymi.

- No to co - zbagatelizowalam sprawe. - Nie zamierzam tu stac i sprzezczac sie z tobą na temat kodeksu karnego stanu Kalifornia. Pomyśl chwile. Sprzedajesz narkotyki. Gliniarzy nie bedzie obchodzilo, co ja tu robilam. Moze przechodzilam ulica i odnioslam wrazenie, ze ty sie wlamujesz. Wy-  
padles z interesu, dzieciaku.

Jego spojrzzenie nabralo przebieglego wyrazu. Zmienil taktyke.

- Zaraz, chwileczke, po co sie tak spieszyć? Moze byśmy porozmawiali?

- Pewnie, czemu nie? O czym bedziemy rozmawiac?

Prawie widzialam, jak jego szare komorki trudza sie nad nową mysla. Nie byl głupi. A jednak zadziwil mnie nową linia obrony.

- Interesujesz sie smiercia mojej cioci Marty? Dlatego tu przyslas? Cioci Marty. Dobre posuniecie. Usmiechnalam sie lekko.

- Niezupełnie, ale cos koło tego.

Zerknal w strone ulicy, potem spuscil wzrok na czubki swoich butów.

- Bo mam... pewną informacje na ten temat.

- Jaka?

- Jednej rzeczy nie powiedzialam glinom. Wiec moze byśmy zawarli umowe - zaproponowal.

Wetknal rece w kieszenie kurtki, podniosl na mnie jasny wzrok. Mial niewinna twarzyczke, cere bez skazy, a spojrzzenie tak czyste, ze oddalabym mu swego pierworodnego, gdybym go tylko miala. Usmieszek, który pojawil sie na jego twarzy, byl zarazliwy. Zastanowilam sie, ile zarabia, sprzedajac narkotyki przyjaciolom ze skoly. Czy skonczy z kulka w glowie, kiedy oszuka kogos stojacego wyzej w hierarchii? Interesowalo mnie,

co miał do powiedzenia, i on o tym wiedział. Musiałam zawrzeć szybki pokój z moim własnym poczuciem przyzwoitości, a nie było to takie znowu trudne. W chwilach takich jak ta, uświadamiałam sobie, że już za długo jestem w interesie.

- Jaka umowę?

- Dasz mi czas na sprzątnięcie towaru. I tak miałem się przyczaić, bo gliny od narkotyków zadekowali w naszej szkole paru tajniaków. Trzeba trochę odczekać, aż się uspokoi.

A więc, kochani, nie ma mowy o stałej odmianie. Mówimy tylko o polityce przeczekania. Przynajmniej nie próbował mnie robić w konia... zbyt nachalnie.

Staliśmy tak, patrzyliśmy na siebie i coś się zmieniło. Wiedziałam, że mogę go oskarżyć, mogę tupnąć nogą, mogę mu zagrozić. Mogłam też strzelić mu kazanie i poprzeć moralnymi przykładami, mogłam go napiętnować. I nie zmieniłoby to nic. Wiedzieliśmy o tym oboje z taką samą pewnością, a dogadanie się mogło każdemu przynieść jakieś korzyści.

- W porządku, umowa stoi - oznajmiłam.

- Chodźmy gdzieś. Jaja mi odmarzają.

Drećzyła mnie świadomość, że zaczęłam go odrobinę lubić.

# ROZDZIAŁ 15

Pojechaliśmy do „Czasomierza” na State Street; on na swoim motocyklu, ja za nim samochodem. Kafejka była miejscem spotkań nastolatków. Robiła wrażenie lokalu żywcem wyjętego z rockowego wideoclipu: długie wąskie pomieszczenie pomalowane na kolor węgla drzewnego, wysoki sufit, różowe i fioletowe neonówki. Z powodu abstrakcyjnych i futurystycznych dekoracji całość rzeczywiście przywodziła na myśl wnętrze zegara. Pod sufitem poruszało się coś czarnego przypominającego ogromne zębatki, dym powoli unosił się w powietrzu.

Nieopodal drzwi stały cztery stoliki, a po lewej znajdowało się coś, co wyglądało jak półki sięgające klatki piersiowej, ustawione w ciasne boksy, gdzie mogły się obściskiwać pary, popijając gazowane napoje. Jadłospis, przyczepiony do ściany, był obrośnięty dodatkowymi propozycjami jak sałatka czy kanapka czosnkowa, które można było zamówić, płacąc siedemdziesiąt pięć centów za przywilej okupowania stołu przez wiele godzin. Można tu było także dostać dwa gatunki piwa i domowe chablis, jeśli się osiągnęło odpowiedni wiek i miało na to niezbity dowód.

Dochodziła już północ i w środku było prawie pusto. Właściciel najwyraźniej znał Mike'a, gdyż z ciekawością oszacował mnie wzrokiem. Próbowalam nie wyglądać na podrywkę Mike'a. Nie przeszkadza mi chwilka zapomnienia od czasu do czasu, ale siedemnastolatek to nie najlepsza reklama. W dodatku nie jestem obyta z etykietą obowiązującą w towarzystwie małego dealera. Kto płaci za drinki? Nie chciałam, żeby ucierpiał jego tutejszy wizerunek.

- Czego się napijesz? - zapytał Mike, ruszając do baru.
- Może być chablis - zdecydowałam.

Wyjął portfel, więc pozwoliłam mu zapłacić. Na trawce i pigułkach wyciągał pewnie ze trzydzieści patyków rocznie. Właściciel spojrzął na mnie ponownie, więc machnęłam w jego stronę identyfikatorem, pokazując, że może mnie sprawdzić, jeśli bardzo chce, ale szkoda drogi.

Mike wrócił z plastikowym kieliszkiem białego wina dla mnie i jakimś bezalkoholowym napojem dla siebie. Usiadł, rozejrzał się za tajniakami. Pełen sprzeczności - wyglądał na harcerzyka, a zachowywał się jak mafijny goryl. Wreszcie skupił się na mnie, oparł łokciami o blat. Wziął paczuszkę cukru z pojemnika na stole i stukając nią o blat, obracał w palcach, adresując większość swojej przemowy do bezsensownych pytań wydrukowanych na odwrotnej stronie papierowej torebki.

- Więc tak. Coś ci powiem, i to wszystko jest prawda. Po pierwsze nic nie chowałem w tej budzie, kiedy jeszcze ciotka żyła i mieszkali normalnie w domu. Gdy już gliny skończyły tam swoją robotę, przyszło mi do głowy, że buda jest w sam raz taka, jak mi trzeba, więc upchnąłem tam trochę towaru. Przechodziłem obok ich domu tej nocy, kiedy ją zabito...

- Wiedziała, że przyjdiesz?

- Zaraz wszystko powiem. To znaczy, ja wiedziałem, że oni wychodzą we wtorki i myślałem, że nikogo nie ma. Bo widzisz, jak byłem całkiem splukany i potrzebowałem paru baksów, to zaglądałem tam czasem i podbierałem trochę drobnych. Trzymali gotówkę wszędzie. Nie było tego dużo, ale wystarczało. A czasami brałem coś, co się dało gdzieś upłynnić. Nic potrzebnego i nikt nigdy o tym nie wspominał, więc myślałem, że nie skapowali. W każdym razie, kiedy przyszedłem wtedy, myślałem, że nikt nie będzie, a okazało się, że drzwi nie były zamknięte...

- Stały otworem?

Pokręcił głową.

- Wystarczyło przekręcić gałkę. Nie były zamknięte na klucz. Zajrzałem do środka i od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku.

Czekałam, patrząc na niego z obawą.

Ochrząknął, obejrzał się przez ramię na drzwi wejściowe, ściszył głos.

- Myślę, że on tam jeszcze był. W piwnicy paliło się światło i słyszałem,

jak ktoś tam się krząta. Na podłodze w korytarzu chodnik leżał nie na samej podłodze, tylko na czymś. I spod niego wystawała ręka cała czerwona od krwi. No to się zmyłem.

- Jesteś pewien, że ciotka była martwa?

Skinął głową. Przejechał ręką po różowym parkanie na włosach, uciekł spojrzeniem w bok.

- Powinienem być wezwać gliny. Wiem, że powinienem, ale dostałem kozmarnego cykora. Teraz pluję sobie w brodę, ale co miałem zrobić? Nie mogłem nic powiedzieć gliniarzom, a nie chciałem, żeby mnie obserwowali. Więc nie puściłem pary z gęby. To znaczy, to chyba bez różnicy. Nie widziałem, kto to zrobił, ani w ogóle nic.

- Pamiętasz coś jeszcze? Samochód zaparkowany przed frontem...

- Sam nie wiem. Szybko się zmyłem. Spojrzałem tylko i zaraz zniknąłem. Czuć było benzyną albo czymś takim... - Zawahał się krótko. - Zaraz... Tak... W korytarzu stała jeszcze papierowa torba ze sklepu. Nie wiem, skąd ona się tam wzięła. To znaczy, nie wiem, co tam się właściwie działo, więc po prostu spieprzyłem stamtąd na paluszkach. Przyjechałem tutaj i postarałem się, żeby mnie ludzie widzieli.

Upiłam łyk wina, rozmyślając nad jego historyjką. Chablis smakowało jak sfermentowany sok grejpfrutowy.

- Opowiedz mi o tej torbie. Była pusta, pełna, pognieciona?

- Myślę, że coś w niej było. Ale nic nie widziałem. Brązowa papierowa torba z Alpha Beta. Stała zaraz za drzwiami, po prawej.

- Wyglądała tak, jakby twoja ciotka właśnie wróciła z zakupami?

Wzruszył ramionami.

- Wyglądała jak torba do wyrzucenia, tak mi się wydaje. Sam nie wiem. Może należała do tego, kto był wtedy w piwnicy.

- Szkoda, że nie zadzwoniłeś na policję anonimowo. Może by zdążyli przed pożarem.

- Tak, wiem. Pomyślałem o tym później i byłem wkurzony, że tego nie zrobiłem, ale wtedy ciężko mi było myśleć.

Wysączył swój napój i stukał kostkami lodu o plastikowe ścianki. Po jakimś czasie wessał jedną, rozległo się zgrzytanie lodu w zębach. Przypominało to trochę odgłosy przeżuwanego konia.

- Pamiętasz coś jeszcze?

- Nie. To chyba wszystko. Jak tylko zrozumiałem, co się dzieje, zmyłem się stamtąd i przyleciałem tutaj.

- Wiesz, która była godzina?

- Dokładnie to nie. Byłem tutaj gdzieś za piętnaście dziewiąta. Minęło z dziesięć minut, zanim przyjechałem, znalazłem miejsce na parkingu i tak dalej. Poza tym pod domem wujka musiałem spory kawałek poprowadzić grata, żeby nikt nie usłyszał silnika. Pewnie byłem tam o jakiejś pół do dziewiątej.

Pokręciłam głową.

- Pół do dziesiątej, nie dziewiątej. Została zamordowana kilka minut po dziewiątej.

Odsunął kubek od ust, spojrzał na mnie wyraźnie zdziwiony.

- Po dziewiątej?

- Twój wujek i pani Howe zgodnie twierdzą, że rozmawiali z nią o dziewiątej, a gliny miały telefon, który mógł być od twojej ciotki, o dwudziestej pierwszej zero sześć.

- No to musiałem się pomylić, ale wydawało mi się, że była za piętnaście dziewiąta, kiedy tu przyszedłem. Spojrzałem na zegarek, jak tylko wszedłem, a potem się odwróciłem i spytałem kolesia, która godzina, i on patrzył na swój zegarek.

- Może uda mi się to sprawdzić - powiedziałam. - Przy okazji, twój ojciec i Leonard są braćmi?

- Tak. Tata jest najmłodszy z trojga.

- Więc Lily Howe jest ich siostrą.

- Aha.

Fioletowe neonówki zaczęły kolejno gasnąć, po nich ściemniały różowe.

- Zamykamy za dziesięć minut, Mike - zawołał właściciel kafejki. - Przykro mi, ale pora się zbierać.

- Nie ma sprawy. Dzięki.

Wstaliśmy i poszliśmy w stronę tylnego wyjścia. Mike był niewiele wyższy ode mnie i zastanowiłam się, czy wyglądamy jak rodzeństwo, czy raczej jak matka z synem. Nie odezwałam się, dopóki nie trafiliśmy na parking.

- Domyślasz się, kto zabił twoją ciotkę?

- Nie, a ty? Pokręciłam głową.

- Na twoim miejscu wyczyściłabym ten składzik.

- Tak będzie. Umowa to umowa.

Wsiadł na motor i kopnięciem uruchomił silnik.

- Wiesz co? Nie pamiętam, jak masz na imię.

Dałam mu swoją wizytówkę i wsiadłam do samochodu. Począł, aż odjadę, i dopiero wtedy ruszył.

Zamierzałam odłożyć sprawę do poniedziałku, bo nie byłam pewna, co z nią zrobić. W sobotę rano jeszcze raz przejrzałam policyjne raporty, doczepiłam kilka kartek z notatkami na tablicy nad biurkiem, ale potem musiałam to po prostu przeczekać. Może w poniedziałek dostanę odpowiedź na któreś z ogłoszeń umieszczonych we florydzkich czasopismach albo może dostanę jakąś wiadomość z Wydziału Komunikacji z Tallahassee albo z Sacramento. Nadal czekałam na bilet lotniczy, który wysłała mi Julia Ochsner; miałam nadzieję, że okaże się źródłem jakichś informacji. Jeśli nie wypłynie nic nowego, będę musiała zacząć wszystko od początku i poszukać nowych wątków. Pozostali mi do sprawdzenia lokalni weterynarze.

Kilka minut zajęło mi obdzwonienie trzech przedsiębiorstw taksówkowych. Dyspozytor z Green Stripe oznajmił, że nie miał jeszcze czasu przetrzęsnać dokumentów. Właściciel City Cab już szukał i nic nie znalazł, a Ron Coachella z Tip Top jeszcze nie przyszedł, ale dyżurujący dyspozytor powiedział mi, że będzie w pracy wkrótce. I to by było tyle.

Pojechałam do biura. Właściwie nie miałam zamiaru, ale tak jakoś wyszło. Byłam nieswoja i niezadowolona. Nie lubię, jak mi dochodzenie tkwi w miejscu. California Fidelity zamknęto na weekend. Otworzyłam drzwi swojego biura i podniosłam pocztę, którą wrzucono przez otwór w drzwiach. Znalazłam kopertę z adresem Julii Ochsner na odwrocie. Rzuciłam pocztę na biurko, sprawdziłam wiadomości na sekretarce. Była tylko jedna i najwyraźniej została nagrana przed chwilą.

- Cześć, Kinsey. Mówi Ron Coachella z przedsiębiorstwa taksówkowego Tip Top. Mam dla ciebie informację. Rzeczywiście robiliśmy kurs na Via Madrina 2097... Zaraz, zaraz... dziewiątego stycznia o dwudziestej drugiej czternaście. Kierowca nazywa się Nelson Acquistapace. Telefon do niego: 555-63-17. Powiedziałem mu, że się z nim skontaktujesz. Zapis kursów mam teraz w biurze, więc możesz tu wstąpić po drodze i zabrać kopię, żeby mógł sobie na nią popatrzeć. Myślę, że jakieś dwadzieścia baksów może mu odświeżyć pamięć, rozumiesz. A poza tym, pamiętaj: „Gdy pojeździć chcesz po mieście, Tip Top to najlepsze wyjście” - zaśpiewał i odłożył słuchawkę.

Uśmiechnęłam się, zanotowałam nazwisko i numer telefonu kierowcy. Nalałam sobie kawy i otworzyłam list od Julii. Charakter pisma miała

staromodny, zaskakująco ścisły - przejrzysta kursywa z wielkimi zawijającymi oraz starannie wykaligrafowanymi dużymi literami. Napisała, że dołączając bilet, że czerwcowe deszcze trwają w całej pełni i że Charmaine Makowski minionej nocy urodziła prawie pięciokilowego chłopca i rozgłasza na prawo i na lewo, że chyba już nigdy w życiu nie będzie mogła usiąść. Rodzice jeszcze nie nadali dziecku imienia, są otwarci na propozycje. Podobno większość sugestii złożonych do tej pory nie nadawała się do powtórzenia. Zdaniem Julii powodem jest zmęczenie. Na koniec przesłała serdeczne pozdrowienia.

Obejrzałam dokładnie bilet wetknięty w folder linii lotniczych TWA. Wyglądał na sprzedany na lotnisku w Santa Teresa, upoważniał do lotu powrotnego z Santa Teresa do Los Angeles i dalej z Los Angeles do Miami. Wszystkie cztery kupony zostały oddarte, ale duplikaty zostały. Zapłacono kartą kredytową.

Wydarto wszystkie cztery kupony. Proszę, proszę, interesujące. Czyżby Elaine w którymś momencie wróciła do miasta? Jeśli tak, to dlaczego bilet znalazł się w Boca Raton w śmieciach Pat Usher? Wróciłam do listy biur podróży, próbując odgadnąć, które wybrała Elaine Boldt. Zdecydowałam się na Santa Teresa Travel. Miało ono filię niedaleko budynku na Via Madrina. Był to jedynie domysł, ale od czegoś musiałam zacząć. Zadzwońłam tam, niestety, nikt nie podnosił słuchawki, z czego wyciągnęłam wniosek, że będzie czynne dopiero w poniedziałek.

Zrobiłam listę poniedziałkowych zadań do wykonania. Znowu obejrzałam bilet. Nie dostrzegłam żadnej wskazówki, że Elaine miała ze sobą kota, ale nie byłam pewna, jak to właściwie działa. Czy kiciusie dostają osobne bilety? Będę musiała sprawdzić. Były za to kwity bagażowe, ciągle przypięte do tylnej okładki folderu, choć mogło to nic nie znaczyć. Na lotnisku w Santa Teresa można odebrać bagaże bez kwitów i nikomu to nie przeszkadza. Pamiętałam też, że bagaż Elaine Boldt bardzo się wyróżniał - był z ciemnoczerwonej skóry z autografem projektanta wypisanym zamasyście na obszyciu z tkaniny. Dowiedziałam się o cenę takiego cacuszka i zdecydowałam się zamiast tego wykupić ubezpieczenie emerytalne.

Zadzwońłam do Nelsona Acquistapace, kierowcy przedsiębiorstwa takśówkowego Tip Top. Był w domu, solidnie przeziębiony. Oznajmił, że Ron uprzedził go o moim telefonie. Musiał zrobić przerwę na porządne wydychanie nosa.



- Niech pani do mnie zajrzy razem z rozkładem kursów. Mieszkam na Delgado, niedaleko Tip Top. Będę na tyłach domu.

Pojawiłam się u niego z rozkładem kursów o dziewiętej trzydzieści pięć. Znalazłam go na tyłach szampowego bungalowu, tkwiącego w gąszczu przerośniętych krzewów pospornicy. Leżał na hamaku ustawionym na metalowych podpórkach w jedynej plamie słońca. Reszta posiadłości pograżona była w głębokim cieniu, dość chłodnym i odpychającym. Mężczyzna wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, był ciężkiej budowy, łysiejący, ubrany w ciemnozielony płaszcz kąpielowy z weluru. Na piersiach miał różowo haftowaną flanelę i pachniał Vicks Vapo-Rub. Obok niego stał nieduży metalowy stolik z lekarstwami, pudełkiem kleenexów, pustą szklanką po soku oraz krzyżówkami, które rozpoznałam na pierwszy rzut oka.

- Znam człowieka, który pisze te krzyżówki - oznajmiłam. - Wynajmuję u niego mieszkanie.

Nelson Acquistapace był zdumiony.

- On mieszka w naszym mieście? To prawdziwy ekspert! Od zmysłów przez niego odchodzę. Niech no pani tylko spojrzy. Osiemnastowieczni pisarze angielscy... wypisuje wszystkie ich książki, bohaterów i co kto chce. Musiałem przeczytać Henry'ego Fieldinga i Laurence'a Sterne'a i innych, o których w życiu nie słyszałem, żeby sobie z tym poradzić. Lepsze to niż szkoła średnia, może mi pani wierzyć. Kim on jest? Jakimś profesorem?

Potrząsnęłam głową. Czuję się absurdalnie dumna. Po reakcji kierowcy można by pomyśleć, że Henry był gwiazdą rocka.

- Dawniej prowadził cukiernię na rogu State i Purdue. Krzyżówki zaczął pisać po przejściu na emeryturę.

- Naprawdę? Jest pani pewna, że to ten sam człowiek? Henry Pitts? Roześmiałam się.

- Jestem pewna. Ciągłe wypróbuję swoje pomysły na mnie. Jak dotąd chyba żadnej jego krzyżówki nie rozwiązałam do końca.

- Niech mu pani powie, że chciałbym go poznać. Ma bardzo specyficzne poczucie humoru, ale ja to lubię. Ułożył jedną krzyżówkę całą z dziwów botanicznych, pamięta pani? Myślałem, że się wścieknę. Nie spałem całą noc. Nie mogę uwierzyć, że ten człowiek mieszka w Santa Teresa. Miałem go za jakiegoś profesora wyższej uczelni, może Instytutu Technologicznego w Massachusetts...

- Powtórzę mu to. Miło mu będzie wiedzieć, że ma fana.

- Niech pani mu przekaże, żeby do mnie zajrzał. Kiedy tylko zechce. Niech pani mu powie, że Nelson Acquistapace pozostaje do jego usług. Jeśli będzie potrzebował taksówki, wystarczy, że zadzwoni do Tip Top i zapyta o mnie.

- Powtórzę - obiecałam.

- Ma pani rejestr kursów? Ron powiedział, że szuka pani jakiejś zaginionej kobiety, zgadza się?

Podalam mu rejestr kursów wyjęty z torebki.

- Nie podchodź za blisko, kochana. - Wyciągnął chusteczkę z kieszeni płaszcza kąpielowego i wydmuchał nos, trąbiąc donośnie. Rozłożył papier, który mu podałam, przytrzymał go przed oczyma na odległość wyciągniętego ramienia. - Zostawiłem okulary w domu. Który to?

Dziobnęłam palcem w adres Via Madrina.

- A tak, pamiętam tę panią, tak mi się przynajmniej wydaje. Zawiozłem ją na lotnisko i tam zostawiłem. Wiem, że zabierała się ostatnim lotem do Los Angeles. Gdzieś miała lecieć dalej, ale nie pamiętam...

- Do Miami, na Florydę.

- A, tak, rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. - Przyglądał się rejestrowi uważnie, co najmniej jakby studiował wróżbę z kart Tarota. - Wie pani, co to takiego? - zapytał, stukając w papier. - Wie pani, dlaczego należność była taka wysoka? Niech pani popatrzy. Szesnaście dolarów. Sama podróż z Via Madrina na lotnisko tyle nie kosztuje. Pasażerka kazała mi czekać dobry kwadrans z włączonym taksometrem. Niech no ja pomyślę... Gdzie to było? Niezbyt daleko. Gdzieś na Chapel. A, tak, owszem, już wiem. Przy tej klinice w pobliżu autostrady.

- Przy klinice?

- No tak. Przy klinice dla zwierząt. Wstąpiła tam z kotem, bo potrzebna mu była jakaś nagła kuracja. Potem wróciła do taksówki i zabraliśmy się dalej w drogę.

- Pewnie pan nie widział, jak wsiadała do samolotu?

- Owszem, widziałem. Akurat kończyłem pracę. Widzi pani na rejestrze, że to był ostatni kurs. Poszedłem na górę, do baru, i wypłem sobie dwa piwka na tarasie. Powiedziałem jej, że tam będę, więc nawet pomačała mi na do widzenia, kiedy wchodziła do samolotu.

- Była sama?

- O ile wiem, tak.

- Czy zdarzyło się panu kiedyś wcześniej wieść tę osobę?
- Nie, ja się tu sprowadziłem z Los Angeles dopiero w listopadzie. Tutaj jest jak w rajku. Kocham to miasto.
- Cóż, dziękuję panu za pomoc. Przynajmniej mam pewność, że wsiadła do samolotu. Teraz pozostaje tylko pytanie, czy dotarła do Boca Raton?
- O, właśnie, powiedziała, że wybiera się do Boca Raton - podchwycił.
- Chociaż, powiem coś pani, powiedziałem jej, że w tym futrzanym płaszczu, to powinna jechać w jakieś zimniejsze okolice. Żeby była z niego jakaś korzyść. Tylko się zaśmiała.

Jakbym w głowie wdusiła przycisk pauzy; obraz zatrzymał mi się przed oczyma. Dziwny był ten obraz i zastanawiający. Widziałam Elaine Boldt w futrzanym płaszczu i turbanie, wybierającą się po ciepło i słońce, machającą taksówkarzowi, który przywiózł ją na lotnisko. Jakoś mi to wszystko razem nie pasowało, i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że wcześniej tak do tego nie podchodziłam. Owszem, rozważałam możliwość, że Elaine Boldt dokądś uciekła, ale w głębi serca widziałam ją martwą. Przyzwyczyłam się do myśli, że morderca Marty Grice zabił także Elaine Boldt. Nie mogłam tylko wymyślić, dlaczego. Teraz znowu wkradła się niepewność. Coś tu nie pasowało, nie potrafiłam tylko określić, co.

## ROZDZIAŁ 16

Cóż, przynajmniej miałam jakiś cel w życiu. Kiedy wychodziłam, Nelson mierzył sobie temperaturę termometrem cyfrowym. Zwierzył mi się nieśmiało z sekretnego pociągu do podobnych gadżetów. Życzyłam mu szybkiego powrotu do zdrowia, wskoczyłam do samochodu i zawróciłam na Chapel.

Klinika weterynaryjna okazała się szklanym pudełeczkiem z popielatymi ramami okien, utkniętym na końcu ślepej uliczki. Powstała, gdy otwarto autostradę numer 101. Uwielbiam tę okolicę ślepych uliczek - reliktyw miasta z dawnych lat - odświeżającą ucieczkę od panoszącego się wszędzie stylu hiszpańskiego. Domki w tej okolicy to jeszcze pozostałości osiedli wiktoriańskich, budowanych dla ówczesnej klasy robotniczej. Mają ręcznie kute poręcze, egzotyczne ozdobniki, drewniane okiennice i spiczaste dachy. Wyglądają teraz jak odrapane antyki, ale ciągle nietrudno sobie wyobrazić dzień, gdy były nowo wzniesione i pokryte świeżą farbą, a młode drzewka, niewiele większe niż sadzonki, pięły się dumnie na ledwie posianych trawnikach. Samo miasto musiało być wówczas pełne błotnistych dróg i powozów. Nie przeszkadzałoby mi, gdyby więcej takich relikwii przetrwało do naszych czasów.

Zaparkowałam za kliniką i weszłam przez tylne drzwi. Gdzieś z głębi dobiegło mnie ochryple szczekanie psów: przejmujące wołanie o litość, wolność, o ulgę w cierpieniu. W poczekalni tkwiły tylko dwa zwierzaki - koty o znudzonych minach, ułożone na stosach poduszek. Ich ludzie od pary przemawiali do nich w języku, który powinnam zdaje się określić jako

ludzko-koci. Używali piskliwych tonów, od których rozboleła mnie głowa. Od czasu do czasu, gdy któryś z psów na tyłach zanosił się skowytami, raz jeden, raz drugi kot zdawał się leciutko uśmiechać.

Najwyraźniej było na dyżurze dwóch weterynarzy, gdyż oba koty zostały poproszone równocześnie i zostały odniesione długim korytarzem, zostawiając mnie sam na sam z recepcjonistką za ladą. Dziewczyna nie skończyła jeszcze dwudziestu lat, miała błękitne oczy, bladą cerę, a blond włosy przewiązane niebieską wstążką, jak Alicja z Krainy Czarów. Na identyfikatorze wypisano „Emily”.

- Czym mogę służyć?

Mówiła jak mała dziewczynka: tonem troszkę bezdźwięcznym, miękko modulowanym, być może specjalnie ćwiczonym do uspokajania zestresowanych zwierząt. Zdarza mi się czasem spotykać kobiety mówiące w ten sposób i zawsze jestem zdumiona tą wieczną dziewczęcnością, tak rzadką w świecie, gdzie większość ludzi robi wszystko, by jak najszybciej dorosnąć.

Rozmawiając z nią, czułam się jak futbolowy zawodnik obrony ustawiony tuż za linią.

- Chciałabym zasięgnąć informacji w pewnej sprawie. Czy zechce mi pani pomóc?

- Spróbuję - szepnęła słodko i melodyjnie.

Miałam zamiar pokazać jej swoją licencję prywatnego detektywa, ale obawiałam się, że będzie to gest szorstki i ordynarny. Zdecydowałam się zrobić to dopiero, jeśli będę musiała dziewczynę przycisnąć.

- W styczniu pewna kobieta przyniosła do państwa kota na jakąś pilną kurację. Chciałabym się dowiedzieć, czy go odebrała.

- Mogę to sprawdzić w kartotece. Czy zechce mi pani podać dane?

- Właścicielka nazywa się Elaine Boldt, kot ma na imię Mingus. Byli tutaj późnym wieczorem dziewiątego stycznia.

Dwie różowe plamy wykwitły na policzkach dziewczyny. Oblizła wargi, gapiąc się na mnie rozszerzonymi oczyma. Przyszło mi do głowy, że sprzedała kota wiwisekcjoniście.

- Co się stało? - spytałam. - Wie pani, o którego kota mi chodzi?

- Tak... tak. Wiem. Był tutaj bardzo długo. - Jej głos brzmiał teraz trochę nosowo, zupełnie jakby była brzuchomówcą. Nie można powiedzieć, żeby się rozszlochała, ale takiego właśnie tonu używa w supermarkecie dziecko, kiedy mama obwinia je o złe zachowanie i grozi, że da mu po łapach. Było

zupełnie jasne, że czuła się winna, ale nie miałam pojęcia dlaczego. Sięgnęła do pudełka i przebiegła palcami po kartach pacjentów. Wyciągnęła jedną i ze skruszoną miną karnie położyła ją przed sobą na kontuarze.

- Właścicielka zapłaciła tylko za trzy tygodnie... za opiekę i wyżywienie. Potem nie odpowiadała na wezwania pocztą ani telefoniczne, więc w lutym doktor powiedział, że trzeba będzie podjąć co do niego inne ustalenia, bo mamy mało miejsca. - Tutaj udało jej się przybrać minę rozgniewaną.

- Emily - odezwałam się cierpliwie. - Tak masz na imię, prawda? Czy może to nie twój identyfikator?

- Mój.

- Naprawdę mnie nie interesuje, gdzie jest kot. Chcę tylko wiedzieć, czy ta kobieta wróciła.

- Nie, nie wróciła.

- A co się stało z kotem? Pytam tylko przez ciekawość.

Jakiś czas tylko na mnie patrzyła, wreszcie uniosła lekko głowę, dłonią strąciła włosy z ramienia.

- Adoptowałam go. To naprawdę cudowny kot i po prostu nie mogłam znieść myśli, że miałby zostać uśpiony.

- Świetnie! Naprawdę, bardzo dobrze. Słyszałam, że rzeczywiście jest wspaniały, więc cieszę się, że go przygarnęłaś. Zabiorę twój sekret ze sobą do grobu. Jeśli ta kobieta się pojawi, dasz mi znać? - położyłam na kontuarze wizytówkę. Przeczytała ją i pokiwała głową bez słowa. - Dziękuję.

Wróciłam do biura. Przyszło mi do głowy, że powinnam przedzwonić do Julii Ochsner i powiedzieć jej, że zlokalizowałam kota, żeby oszczędzić jej niepotrzebnych pielgrzymek po schroniskach i weterynarzach w Boca. Zostawiłam samochód na parkingu na tyłach i weszłam tylnymi schodami. Przed drzwiami biura zastałam nieznanego mężczyznę, który gryzł coś na skrawku papieru.

- Mogę panu w czymś pomóc?

- Nie wiem. Pani nazywa się Kinsey Millhone?

Uśmiechał się z wyższością i zdawał się rozbawiony, jakby był w posiadaniu niezwykle cennej informacji, zbyt cennej, żeby się nią z kimkolwiek dzielić.

- Tak.

- Jestem Aubrey Danziger.
- Zajął mi sekundę, nim skojarzyłam nazwisko.
- Mąż Beverly?
- Właśnie - przytaknął i zaśmiał się z głębi gardła.

Moim zdaniem, żadne z nas nie miało, jak dotąd, szczególnych powodów do rozbawienia.

Był wysoki, blisko metr dziewięćdziesiąt, miał pociągłą, szczupłą twarz, brązowe oczy, aroganckie usta. Bardzo ciemne, cienkie włosy wyglądały na miękkie w dotyku. Ubrany był w trzyczęściowy jasnopopielaty garnitur. Wyglądał jak dandys, ale z klasą, jeśli takie osoby istnieją w dzisiejszych czasach.

- W czym mogę panu pomóc?

Wsadziłam klucz do zamka, otworzyłam drzwi i weszłam. Podążył za mną, rozglądając się po wnętrzu taksującym spojrzeniem. Odniosłam wrażenie, że wycenia moje meble, oszacowuje koszty działalności, określa wysokość kwartalnych podatków i dziwi się, dlaczego jego żona nie wynajęła kogoś z większą klasą.

Usiadłam za biurkiem, a on po przeciwnej stronie. Założył nogę na nogę. Piękne, ostre jak brzytwa kanty spodni, piękne, szczupłe kostki nóg, skórzane włoskie trzewiki z wąskimi noskami, wypolerowane na wysoki połysk. Zerknęłam jeszcze na śnieżnobiały mankiet koszuli z inicjałami AND - wyhaftowanymi niewątpliwie ręcznie bładoniebieską nitką. Uśmiechał się do mnie leciutko, przyglądając się, jak przyglądam się jemu. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął płaską papierośnicę. Wyciągnął z niej długiego czarnego papierosa, którym postukał w wieczko. Następnie wetknął go do ust, pstryknął zapalniczką, która wybuchła takim płomieniem, że powinna była spalić mu włosy. Miał eleganckie dłonie, a paznokcie zadbane, nawet wypolerowane. Wyznam, że byłam mocno zdziwiona jego wyglądem, a także zapachem, który dobiegał przez biurko. Prawdopodobnie jedna z tych modnych wód po goleniu, nazwana Łajdak albo Magnum. Obejrzał dokładnie żar na czubku papierosa, a potem skupił wzrok na mnie. Jego oczy przywodziły mi na myśl utwardzoną glinę: zwykle brązowe - bez śladu ciepła albo ukrytej energii.

Nie zaproponowałam mu kawy. Pchnęłam w jego stronę popielniczkę, tak samo, jak wcześniej podstawiłam ją jego żonie. Dym z papierosa pachniał jak smuga obozowego ogniska i wiedziałam, że będzie go czuć jeszcze długo po tym, jak pan Danziger wróci do Los Angeles,

- Beverly dostała list od pani - oznajmił. - Zdenerwowała się. Pomyślałem, że powinienem tu zajrzeć i porozmawiać z panią.

- Dlaczego nie przyjechała ona? Potrafi mówić.

Rozśmieszyło go to.

- Beverly nie lubi scen. Prosiła mnie, żebym ja za nią załatwił sprawę.

- Ja także nie szaleję na punkcie scen, więc nie widzę problemu. Prosiła mnie o odszukanie siostry. Cały czas to robię. Chciała mi dyktować warunki, więc zdecydowałam, że wolę pracować dla kogoś innego.

- Nie, nie, nie. Źle pani rozumiała. Beverly nie chciała zamykać wazszej umowy. Po prostu nie życzyła sobie, żeby pani szła z tym na policję.

- A ja się z nią nie zgodziłam. Uważam też, że nie w porządku byłoby brać od niej pieniądze, jeśli zignorowałam jej rady. - Na próbę obdarzyłam go wymijającym uśmiechem, obróciłam się lekko w krzesło. - Wydarzyło się coś nowego? - Byłam pewna, że chowa coś w zanadru. Nie musiał pokonywać stu pięćdziesięciu kilometrów, gdyby chodziło tylko o tę sprawę.

Poprawił się na krzesło i zmienił ton na bardziej przyjazny.

- Chyba zaczęliśmy od niewłaściwej strony - oznajmił. - Chciałbym wiedzieć, czego się pani dowiedziała o mojej szwagierce. Jeśli panią zirytowałem, chciałbym przeprosić. Aha i może będzie pani tym zainteresowana.

Wyjął z kieszeni marynarki złożoną karteczkę i pchnął ją po biurku w moją stronę. Przez chwilę byłam przekonana, że to jakiś adres, może numer telefonu... jakiś strzęp naprawdę cennej informacji.

To był czek na 246 dolarów i 19 centów, które była mi winna Beverly. Aubrey Danziger dał mi go tak, jakby to był napiwek. Bardzo mi się to nie spodobało, ale tak czy inaczej, wzięłam należne mi pieniądze. Dobrze znałam różnicę między mieć, a nie mieć, pewnie w przeciwieństwie do niego.

- Wysłałam Beverly kopie raportu dwa dni temu. Jeśli chce pan wiedzieć, do czego doszłam, może pan ją zapytać.

- Czytałem ten raport. Chciałbym wiedzieć, co pani odkryła od tamtego czasu, jeśli zechce się pani tym podzielić.

- Niestety, nie. Nie chcę się wydać nieuprzejma, ale wszystkie ostatnio zdobyte informacje należą do mojego nowego zleceniodawcy i mają charakter



poufny. Jedno mogę panu powiedzieć. Wybrałam się jednak na policję. Puścili w obieg rysopis zaginionej, ale stało się to dopiero dwa dni temu. Jak dotąd nic z tego nie wynikło. Odpowie mi pan na jedno pytanie?

- Nie odpowiem - odrzekł, ale ze śmiechem.

Zdałam sobie sprawę, że jego maniera miała źródło w dyskomforcie, więc mimo wszystko ciągnęłam dalej:

- Beverly powiedziała mi, że nie widziała się z siostrą od trzech lat, natomiast sąsiad Elaine utrzymuje, że nie tylko gościła u niej na Boże Narodzenie, ale co więcej, miała tam miejsce karczemna awantura. Czy to prawda?

- Cóż, w zasadzie... prawdopodobnie tak. - Ton mu złagodniał i wydał się mniej wyniosły. Danziger zaciągnął się ostatni raz i dwoma palcami wydusił żar z końca papierosa. - Prawdę mówiąc, obawiałem się, że Beverly może być w tę sprawę zamieszana.

- W jaki sposób?

Przestał na mnie patrzeć. Tak długo międlił papierosa w palcach, aż pozostały z niego tylko resztki tytoniu i osobno czarny papier.

- Ma problemy z piciem. Trwa to już od jakiegoś czasu, chociaż pewnie nigdy by się pani nie domyśliła. Należy do tych ludzi, którzy mogą nie pić przez pół roku, a potem... bach! Znikają i przez trzy dni nie trzeźwieją. Czasami trwa to dłużej. Przypuszczam, że tak właśnie stało się w grudniu.

- Podniósł na mnie wzrok i wówczas spłynęła z niego cała pompatyczność. Teraz był to mężczyzna pogrążony w bólu.

- Czy wie pan, o co się kłóciły?

- Mogę się domyślić.

- Poszło o pana? - zapytałam.

Spojrzał na mnie raptownie skupiony, jego oczy po raz pierwszy zalśniły życiem.

- Do czego pani zmierza?

- Sąsiad Elaine powiedział, że jego zdaniem kłóciły się o mężczyznę. Moim zdaniem jest pan jedynym kandydatem. Chce mi pan postawić obiad?

Poszliśmy do knajpki zwanej „Jay”, tuż za rogiem. W środku jest dość ciemno, umeblowanie składa się z masywnych kabinek w stylu art deco. W nich ustawiono siedzenia obite szarą skórą i czarne onyksowe stoły

wyglądające jak niewielkie sadzawki o opływowych kształtach. Blaty mają tak lśniąco, że prawie można się w nich przejrzeć, zupełnie jak na reklamie jakiegoś detergentu do mycia naczyń. Ściany są wybite szarym zamszem, a dywan tak gruby, że ma się wrażenie, jakby się szło po piasku. W zasadzie knajpa jest szarawym pudełkiem bez wyrazu, mrocznym i wyciszonym, ale drinki podają duże, a do nich barman serwuje fantastyczne kanapki z żytniego chleba z niewiarygodnie ostrym pastrami. Nie stać mnie na jadenie w tym lokalu, ale Aubrey Danziger wydaje się stworzony do takich wnętrz. Pomyślałam, że może sobie pozwolić na zapłacenie rachunku.

- Czym pan się zajmuje? - zapytałam, kiedy usiedliśmy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawiła się kelnerka. Od razu zasugerowałam dwie kanapki i dwa martini. Pan Danziger zaakceptował propozycję lekkim wzruszeniem ramion. Chyba nie był przyzwyczajony, żeby kobieta zamawiała dla niego, ale najwyraźniej nie odkrył żadnych przykrych efektów ubocznych. A ja rozgrywałam swoje przedstawienie i chciałam kierować także światłami. Wiedziałam, że będziemy się ścierać, więc chciałam go pozbawić odrobiny poluru i trochę ucłowieczyć.

Gdy kelnerka odeszła, odpowiedział na moje pytanie:

- Ja nie pracuję - oznajmił. - Ja mam. Jestem właścicielem konsorcjów nieruchomości. Kupujemy ziemię i stawiamy biura, pasaż handlowe, czasami budynki mieszkalne. - Zamilkł, jakby mógł powiedzieć o wiele więcej, ale zdecydował, że tyle wystarczy. Wyjął znowu papierośnicę i wyciągnął ją w moją stronę. Kiedy podziękowałam, zapalił długiego czarnego papierosa.

Przechylił głowę.

- Co panią tak zdenerwowało? Ze mną tak zawsze. - Pełen wyższości uśmiech wrócił i tym razem nie poczułam się obrażona. Może po prostu taką miał twarz.

- Wydaje się pan arogancki i o wiele za sprytny - rzekłam. - Uśmiecha się pan, jakby wiedział o czymś, o czym nie wiem ja.

- Od dawna jestem bardzo bogaty, więc czuję się sprytny. Przyznaję, że bawi mnie myśl o dziewczynie pracującej jako detektyw. To pół powodu, dla którego tu przyjechałem.

- A drugie pół?

Zawahał się, rozmyślając, czy powiedzieć, czy nie. Głęboko zaciągnął się papierosem.

- Nie wierzę w to, co mówi Beverly. Plącze się w zeznaniach i kręci. Chciałem sprawdzić sam.

- Mówi pan o jej umowie ze mną czy o układach z Elaine?

- Doskonale znam jej układy z Elaine. Beverly jej nie znosi. A równocześnie nie potrafi zostawić w spokoju. Nienawidziła pani kogoś w taki sposób?

Uśmiechnęłam się leciutko.

- Ostatnio nie. Kiedyś chyba mi się zdarzyło.

- Bev musiała ciągle mieć najświeższe wiadomości o Elaine. Jeśli usłyszała coś dobrego, była zirytowana, jeśli złego - usatysfakcjonowana, ale nigdy nie miała dość.

- Co robiła tutaj w Boże Narodzenie?

Przyniesiono martini. Aubrey Danziger pociągnął długi łyk i dopiero potem odpowiedział. Mój drink był chłodny i jedwabny, z ciepką nutą wermutu, od której dostaję dreszcz. Zawsze najpierw zjadam oliwkę, bo cudownie się miesza ze smakiem ginu.

Zauważył mój dreszcz.

- Mogę wyjść, jeśli chce pani zostać sama.

Roześmiałam się.

- Nic na to nie poradzę. Rzadko to pijam, ale, Chryste panie, co za trunek! Już czuję, jak mi się budzi kac.

- Do licha, przecież dziś sobota! Niech pani sobie weźmie dzień wolnego. Nawet nie przypuszczałem, że złapię panią w biurze. Zamierzałem zostawić wiadomość, a potem spróbować dowiedzieć się czegoś o Elaine.

- Rozumiem, że tak jak wszyscy inni jest pan zaciekawiony, gdzie ona może być?

Lekko pokręcił głową.

- Myślę, że ona nie żyje. Myślę, że Bev ją zabiła.

Z trudem zdołałam się opanować.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

Znowu długa chwila niezdecydowania. Popatrzył w dal, powiódł spojrzeniem po lokalu, dokonał w myśli obliczeń matematycznych. Chyba przekładając swoje otoczenie na wartość w dolarach, zyskiwał ostrzejszą świadomość, gdzie się znajdował. Jego oczy prześlizgnęły się z powrotem na mnie, uśmiech podniósł kąciki ust.

- Dowiedziała się, że miałem romans z Elaine. To moja wina. System wyszukiwania informacji zrobił mi kontrolę rachunków i sprawdzali zwroty

podatkowe sprzed trzech lat, a ja, jak ostatni głupiec poprosiłem Beverly, żeby sprawdziła czeki i rachunki kart kredytowych. Zorientowała się, że byłem w Cozumel dokładnie w tym samym czasie, kiedy pojechała tam Elaine po śmierci Maxa. Wtedy powiedziałem jej, że jadę w interesach... Tak czy inaczej, kiedy wróciłem z biura, rzuciła się na mnie jak oszalała. Cudem przeżyłem. Oczywiście była pijana. Każdy powód jest dobry, żeby zajrzeć do kieliszka. Skaleczyła mnie nożyczkami w szyję. Tutaj dostałem. Tuż nad obojczykiem. Uratował mnie kołnierzyk i krawat, a może to, że noszę sztywno krochmalone koszule. - Zaśmiał się niewesoło. - Skoro to nie podziałało, ugodziła mnie w ramię. W rezultacie czternaście szwów. Zakrwawiłem cały dom. Kiedy pije, jest żywym dowodem na istnienie doktora Jekylla i pana Hyde'a. Trzeźwa nie jest taka zła... złośliwa i bezlitosna, ale nie szalona.

- Jak się zaczął romans z Elaine?

- Ach, do licha, sam nie wiem. Głupio się zachowałem. Chyba czułem coś do niej od lat. Jest piękną kobietą. Kocha niezależność, ale tym trudniej było mi się jej oprzeć. Po śmierci męża była w strasznym stanie. Braterska troska przekształciła się w niepohamowaną namiętność... zupełnie jak w wiejskiej powieści. Zdarzyło mi się zbłądzić i wcześniej, ale nigdy tak. Nie mam zwyczaju kłaść własnego gniazda. Tym razem je zniszczyłem.

- Jak długo trwał ten związek?

- Dopóki nie zniknęła. Bev o niczym nie wiedziała. Powiedziałem jej, że rozstaliśmy się po sześciu tygodniach. Kupiła tę wersję, bo chciała w nią wierzyć.

- I nagle w Boże Narodzenie dowiedziała się o wszystkim?

Przytaknął, po czym sięgnął na siebie uwagę kelnerki. Zerknął na mnie.

- Jest pani gotowa na następnego?

- Jasne.

Podniósł w górę dwa palce ułożone w znak zwycięstwa i kelnerka ruszyła do baru.

- Tak, właśnie wtedy się zorientowała. Rzuciła się na mnie, a potem wskoczyła do samochodu i przyjechała tutaj. Zadzwoiłem do Elaine, żeby ją ostrzec, i ustalić zeznania, ale nie mam pewności, co sobie nawzajem powiedziały. Potem już nie rozmawiałem z Elaine i do tej pory jej nie widziałem.

- Jak zareagowała Elaine, kiedy powiedział jej pan, że Beverly o wszystkim wie?

- Cóż, nie była najszcześliwsza, ale nie można już było temu zaradzić. Powiedziała, że jakoś da sobie radę.

Martini przybyło wraz z kanapkami, więc przestaliśmy na chwilę rozmawiać, żeby zjeść. Aubrey Danziger otworzył przede mną zupełnie nowe możliwości śledztwa i miałam do niego mnóstwo pytań.

# ROZDZIAŁU

Jak pan sądzi, co się właściwie wydarzyło? - zapytałam, kiedy skończyliśmy jeść. - O ile mi wiadomo, Elaine Boldt była w Santa Teresa do dziewiątego stycznia. To był poniedziałek. Prześledziłam jej drogę od mieszkania na lotnisko. Mam świadka, który widział, jak wsiadła do samolotu. Inna osoba twierdzi, że wylądowała w Miami, a następnie samochodem przyjechała do Boca Raton, zatrzymując się w Fort Lauderdale. Ta sama osoba utrzymuje, że Elaine krótko przebywała w Boca, a potem wyjechała i ostatnio odzywała się z Sarasoty, gdzie podobno zatrzymała się u przyjaciół. Trudno mi uwierzyć w to ostatnie, ale tak mi powiedziano. Kiedy i gdzie Beverly mogła zabić Elaine?

- Może poleciała za nią na Florydę. Wpadła w kilkudniowy ciąg tuż po Nowym Roku. Zniknęła na kilka dni i wróciła do domu w okropnym stanie. Nie zająknęła się słowem o tym, gdzie była ani co się z nią działo. Musiałem w tamtym czasie załatwić pewne sprawy w Nowym Jorku, więc zadbałem, żeby miała wszystko, co trzeba, i wyjechałem. Nie było mnie w mieście do następnego piątku. Może poleciała za Elaine na Florydę i tam ją zabiła? Zaraz potem wróciła do domu i nikt jej nic nie udowodni.

- Chyba nie mówi pan poważnie. Ma pan jakiegokolwiek dowody? Ma pan cokolwiek, co choćby powierzchownie wiąże Beverly ze zniknięciem Elaine?

Pokręcił wolno głową.

- Zdaję sobie sprawę, że poruszam się w sferze domysłów i mogę się

całkowicie mylić. Do diabła, mam nadzieję, że się mylę. Pewnie nie powinienem był w ogóle tego mówić...

Byłam skołowana, szukałam sensu w jego słowach.

- Po co Beverly miałyby mnie wynajmować, gdyby zabiła Elaine?

- Może po to, żeby zrobić właściwe wrażenie. Zupełnie niespodziewanie wypłynęła ta sprawa dokumentów spadkowych. Jeśli Beverly wiedziała, że Elaine tkwi na dnie oceanu w betonowych trzewiakach, musiała coś zrobić, prawda? Nie siedzieć beczynnie, bo ktoś by się zaczął dziwić, dlaczego nie okazuje więcej troski o siostrę. Dlatego przyjechała tutaj, a potem wynajęła panią.

Przyjrzałam mu się sceptycznie.

- I wpadła w panikę, kiedy jej powiedziałam, że zamierzam iść na policję?

- Właśnie. Następnie zdała sobie sprawę, że postąpiła źle, więc opowiedziała mi o wszystkim.

Skończyłam swoje martini, rozmyślając, czego się dowiedziałam od pana Danzigera. Wszystko to było bardzo skomplikowane i niespecjalnie mi się podobało. Musiałam jednak przyznać, że było możliwe. Odciskałam na blacie stołu kółka mokrym dnem szklanki. Rozmyślałam o włamaniu do mieszkania Tillie.

- Gdzie pańska żona była w nocy ze środy na czwartek?

Zgłupiał.

- Nie wiem, dlaczego pani pyta?

- Chciałabym wiedzieć, gdzie była w środę późnym wieczorem i wczesnym rankiem w czwartek w tym tygodniu. Czy była z panem?

Zmarszczył brwi.

- Nie. Poleciałem do Atlanty w poniedziałek wieczorem i wróciłem wczoraj. A o co chodzi?

Pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeśli na razie szczegóły zachowam dla siebie. Wzruszyłam ramionami.

- Zdarzył się tutaj wypadek. Dzwonił pan do niej z Atlanty?

- Nie dzwoniłem. Dawniej rzeczywiście dzwoniliśmy do siebie, kiedy wyjeżdżałem w interesach. A teraz odczuwamy ulgę, będąc osobno. - Pociągnął łyk drinka, obserwując mnie znad brzegu szklaneczki. - Nie wierzy pani w to wszystko, prawda?

- Bez różnicy, w co wierzę - oznajmiłam. - Próbuję odkryć prawdę. Jak dotąd mam same domysły.

Pokręcił głową.

- Nie dysponuję niepodważalnym dowodem, ale czułem, że muszę komuś o tym powiedzieć. Nie dawało mi to spokoju.

- Powiem panu, co mi nie daje spokoju - rzekłam cicho. - Jak może pan żyć z kimś, kogo podejrzewa pan o morderstwo?

Jakiś czas wpatrywał się w blat stołu, a uśmiech, gdy wrócił na jego usta, zabarwiony był dawnym odcieniem arogancji. Już sądziłam, że mi odpowie, ale cisza zaległa między nami coraz dłuższa, aż w końcu po prostu zapalił następnego papierosa i gestem poprosił o rachunek.

Po południu zadzwoniłam do Jonaha. Spotkanie z Aubreyem Danzigerem popsuło mi nastrój, a dwa martini przyprawiły o dokuczliwy ból między oczami. Potrzebowałam powietrza, słońca i ruchu.

- Chcesz trochę postrzelać? - zapytałam, kiedy podniósł słuchawkę.

- Gdzie jesteś?

- W biurze, ale muszę wstąpić do domu po amunicję.

- Wstąp i po mnie.

Uśmiechnęłam się i odłożyłam słuchawkę. Dobrze.

Chmury wisiały nad górami niczym opary białego dymu zostawionego przez jakąś gigantyczną ciuchcię. Pojechaliśmy starym szlakiem przez górskie przejście, mój volkswagen skarżył się piskliwie. Musiałam zmienić bieg na drugi, a później nawet na pierwszy. Droga wiła się pomiędzy łąkami szaławii i krzewami górskiego bzu. Z bliska ciemna zieleń roślinności rozdzielała się na poszczególne krzewy uczezione stoku. Drzew było tu niewiele. Obok nas falowało morze kalifornijskiej gryki, cętkowane maleńkimi pomarańczowymi twarzątkami kwiatków trędownika oraz intensywnie różowymi ciernistymi floksami. Dostrzegłam trujący dąb - piękny i wybujały. Pod nim, omal nie zagłuszony, rósł srebrnolistny piotun, doskonałe antidotum.

Kiedy dotarliśmy na szczyt, zerknęłam w dół. Znajdowaliśmy się na wysokości około dwóch i pół tysiąca metrów; ocean zdawał się unosić w oddali niczym szara mgła i zlewać w jedno z szarością nieba. Linia wybrzeża ciągnęła się jak okiem sięgnąć, a Santa Teresa wyglądała niematerialnie, jak na zdjęciach lotniczych. Z tej perspektywy grzbiet górski zanurzał się w Pacyfiku i ukazywał znowu pod postacią czterech urwistych kopczyków - przybrzeżnych wysp. Słońce przygrzewało całkiem solidnie, a olejki eteryczne wydzielane przez rośliny napełniały powietrze wonią kamfory. Na stoku można było dostrzec kilka kikutow, zdeformowanych poczerniałych kształtów, pozostałych po przejściu ognia dwa lata temu. Wszystko, co tutaj rośnie, kocha słońce. Torebki z nasionami pękają jedynie



w gorących promieniach, rośliny kielkują, gdy wracają deszcze. Ten cykl nie wymaga ludzkiej interwencji.

Wąska droga na strzelnicę skręciła w lewo, pnąc się dokładnie po grzbiecie wzgórza, między ogromnymi piaskowcami, które wyglądały lekko i fałszywie jak filmowe dekoracje.

Zaparkowałam na brudnym parkingu wysypanym żwirem i oboje wysiedliśmy z samochodu, zabierając ze sobą broń oraz amunicję z tylnego siedzenia. W czasie półgodzinnej drogi nie zamieniliśmy nawet pięciu słów, ale milczenie było kojące.

Zapłaciliśmy, wetknęliśmy sobie w uszy zatyczki. Oprócz tego założyłam jeszcze specjalne wygłuszające słuchawki. Mój słuch został już narażony na szwank, miałam nadzieję, że nie będzie to uszczerbek stały. Z zatkanyimi uszami słyszałam strumień powietrza wpływający i wypływający z mojego nosa, fenomen, do którego na co dzień nie przywiązuje się wagi. Spodobała mi się cisza. Słyszałam swoje własne serce, które dudniło, jak odgłos młota, kiedy ktoś zbija tynk dwa piętra niżej.

Podeszliśmy do stanowisk - dach nad naszymi głowami wystawał jak zadaszenie dla samochodu przy bocznej ścianie domu przynajmniej po pięć metrów w prawo i w lewo. Prócz nas był tylko jeden strzelec; używał pistoletu sportowego H&K kaliber 45, do którego Jonah zapałał miłością od pierwszego wejrzenia. Pograżył się z właścicielem tego cudenka w rozmowie na temat regulowanego spustu i układu celowniczego, a ja w tym czasie włożyłam osiem nabożów do magazynku mojego pistoleciku. Odziedziczyłam ten półautomat po ciotce, zagorzałej starej panie, która wychowywała mnie po śmierci moich rodziców. Kiedy miałam sześć lat, nauczyła mnie robić na drutach i szydełkować, a kiedy skończyłam osiem, przywiozła mnie tutaj i pokazała, jak strzelać do celu. Pokochałam zapach prochu mniej więcej w czasie, gdy u niej zamieszkałam. Miałam w zwyczaju siadywać na betonowych stopniach prowadzących na ganek, wyposażona w długi pasek kapiszonów oraz młotek i waliłam cierpliwie dotąd, aż wszystkie oddały mi całą swoją woń. Stopnie ganku były potem zaśmieczone strzępkami czerwonego papieru i usiane szarymi plamkami spalonego prochu wielkości dziurek przy pasku. Po dwóch latach mojego nieustającego walenia młotkiem ciotka zdecydowała pewnie, że równie dobrze może mnie nauczyć, jak się strzela naprawdę.

Jonah zabrał ze sobą oba swoje colty, więc wystrzeliłam kilka kul z każdego, ale wydawały mi się za duże. Rękojeść z orzecha włoskiego, którą szczycił się trooper, dla mnie była jak wielki kawał skamieniałego drzewa, a czterocalowa lufa utrudniała celowanie. Odrzut wyzwał we mnie taki odruch, jak wtedy, gdy lekarz gumowym młotkiem uderza w kolano. Na dodatek przy każdym strzale prychnął mi w twarz kłębem prochu. Nieco lepiej poszło mi z pythonem, ale tak czy inaczej, z prawdziwą przyjemnością wróciłam do swojej dobrej znajomej, trzydziestki dwójki, zupełnie jakbym podała rękę staremu przyjacielowi.

O piątej spakowaliśmy majdan i wyprawiliśmy się do starego zajazdu dla dylizansów, utkniętego w cieniejszej dziurze niedaleko strzelnicy. Zamówiliśmy gotowaną fasolę z chlebem, popijaliśmy to piwem i gadaliśmy o wszystkim i o niczym.

- Jak się posuwa twoja sprawa? - zapytał w pewnej chwili Jonah. - Masz już coś konkretnego?

Pokręciłam głową.

- Dostałam parę informacji, na temat których będę chciała z tobą pogadać, ale jeszcze nie teraz.

- Czyli coś się ruszyło.

Uśmiechnęłam się.

- Ze mną tak zawsze. Chcę mieć efekty natychmiast. Jeśli przez dwa dni nie załatwię sprawy, popadam w depresję. Powiedz lepiej, co u ciebie.

Wzruszył ramionami.

- Tęsknię za dziećmiakami. Soboty zazwyczaj spędzałem z nimi. Miło, że zadzwoniłaś. Dzięki temu mam coś do roboty i nie siedzę zrezygowany.

- Tak... możesz patrzeć, jak ja siedzę zrezygowana.

Poklepał mnie po dłoni, ścisnął lekko. Był to krótki gest współczucia, oddałam mu uścisk.

Wysadziłam go przed jego domem mniej więcej o wpół do ósmej i pojechałam do siebie. Byłam już zmęczona zamartwianiem się o Elaine Boldt. Usiadłam na kanapie i wyczyściłam broń. Wdychałam zapach oliwy, rozkoszując się rozkładaniem, wycieraniem i składaniem z powrotem wszystkiego w jedną całość. Potem ściągnęłam ubranie, owinęłam się w narzutę i czytałam książkę o technikach zdejmowania odcisków, aż zasnęłam.

W poniedziałek rano w drodze do biura zajrzałam do Santa Teresa Travel i rozmawiałam z pracownicą, niejaką Lupe, która wyglądała jak interesująca mieszanka krwi czarnej i meksykańskiej. Smukła niczym kot, miała dwadzieścia kilka lat, śniadą skórę i ciemne, kędzierzawe włosy ze złotym połyskiem, obcięte bardzo krótko. Nosiła nieduże prostokątne okulary, elegancki marynarski żakiet, spodnie do kompletu i pasiasty krawat.

Pokazałam jej bilet lotniczy i powiedziałam, o co mi chodzi. Okazało się, że trafiłam w dziesiątkę. Elaine od kilku lat regularnie korzystała z usług tego właśnie biura podróży, ale Lupe wydała się zdziwiona widokiem biletu. Zsunęła okulary na czubek nosa i przyjrzała mi się z namysłem. Oczy miała złote, zupełnie jak lemur. Nadawały jej twarzy egzotyczny wygląd. Wydatne usta, nieduży, prosty nos. Paznokcie, długie i zakrzywione, wyglądały jak szpony. Może w innym wcieleniu była jakimś zwierzęciem mieszkającym w norze. Popchnęła okulary na właściwe miejsce.

- Nie bardzo wiem, co o tym myśleć - powiedziała. - Pani Boldt zawsze zamawiała bilety za naszym pośrednictwem, a ten został kupiony na lotnisku. - Dotknęła rogu duplikatu, obróciła bilet, żebym go mogła dokładnie obejrzeć. Przypominała mi nauczyciela, który cudem jakimś potrafił czytać z książki trzymanej do góry nogami i w dodatku odsuniętej na bok. - Te numery wskazują, że bilet został wydany bezpośrednio przez linie lotnicze i zapłacono kartą kredytową.

- Jaka?

- American Express. Pani Boldt zwykle używała tej karty w czasie podróży, ale nie to jest dziwne. Elaine Boldt zrobiła rezerwację... proszę chwilę zaczekać. Sprawdzę. - Wystukała kilka cyfr na klawiaturze komputera, jej paznokcie ze stukotem tańczyły po klawiszach. Ekran rozbłysł zielonym drukiem. - Miała lecieć do Los Angeles pierwszą klasą trzeciego lutego, z powrotem trzeciego sierpnia. Za taki bilet zapłaciła.

- Słyszałam, że wyjechała pod wpływem nagłego impulsu - wtrąciłam. - Jeśli rezerwowała miejsce w czasie weekendu, musiała to zrobić bezpośrednio w biurze linii lotniczych, prawda?

- Tak, oczywiście, ale dziwne, że zapomniała o biletach, które kupiła wcześniej. Proszę chwileczkę zaczekać, sprawdzę, czyje w ogóle odebrała. Mogła je przecież sprzedać.

Wstała, podeszła do szafki z aktami pod przeciwległą ścianą i przeczesała kilka przekładek. Wróciła z jakimiś papierami w rękę, podała mi je.

Były to bilety wraz z niewielką mapką, wetknięte w folder biura podróży. Nazwisko Elaine Boldt wypisano wyraźnie przez środek okładki.

- Ten bilet wart jest tysiąc dolarów - oznajmiła Lupe. - Po dotarciu do Boca pani Boldt powinna była zadzwonić do nas i polecić sprzedaż.

Poczułam zimny dreszcz na plecach.

- Nie jestem pewna, czy tam dotarła - powiedziałam. Przez pełną minutę siedziałam z nie używanym biletem w ręku. Co to było? Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam folder linii lotniczych, który przysłała mi Julia Ochsner. Przy tylnej okładce ciągle tkwiły cztery kwity bagażowe z kolejnymi numerami. Lupe przyglądała mi się cierpliwie.

Myślałam o własnym szybkim locie do Miami, o wyjściu z samolotu o czwartej czterdzieści pięć nad ranem, o przejściu obok przeszklonych przegród, za którymi piętrzyły się osierocone bagaże.

- Chciałabym, żeby pani zadzwoniła na lotnisko międzynarodowe w Miami i zawiadomiła o zaginięciu bagażu.

- Zgubiła pani bagaż?

- Taaak, cztery sztuki. Czerwona skóra z szarym obszyciem. Twarde boki, różna wielkość, jedna z nich prawdopodobnie na ramię. Tu mam kwity na odbiór. - Pchnęłam folder przez biurko, Lupe przepisała numery.

Dałam jej swoją wizytówkę, a ona obiecała, że zatelefonuje, jak tylko się czegoś dowie.

- Jeszcze jedno pytanie - rzuciłam na odchodnym. - Czy lot, którym poleciała, był z międzyrządowaniem?

Lupe zerknęła na kalkę i pokiwała głową.

- Oczywiście. Pani Boldt miała międzyrządowanie i przesiadkę w St Louis.

- Dziękuję.

Na sekretarce w moim biurze mrugało czerwone światełko. Wcisnęłam przycisk. To był mój przyjaciel punk, czyli Mike.

„Kinsey? Niech to szlag, tylko taśma... Dobra, nieważne. Zadzwoń później, dobra? A, tu Mike, chcę z tobą o czymś porozmawiać, ale teraz muszę iść do budy. Zadzwoń później, dobra? Na razie”.

Zanotowałam to sobie. Zegarynka w sekretarce wskazywała, że Mike zadzwonił o siódmej czterdzieści dwie rano. Może spróbuje jeszcze raz na dużej przerwie. Szkoda, że nie zostawił numeru.

Zadzwoiłam do Jonaha i powiedziałam mu o przesiadce Elaine.

- Możesz puścić jej rysopis między policję w St Louis?
- Pewnie. Myślisz, że ona tam jest?
- Mam nadzieję.

Miałam zamiar trochę sobie z nim pogadać, ale nie było mi dane. Rozległo się jedno stuknięcie i drzwi biura otwały się z rozmachem. W progu stała Beverly Danziger; wyglądała na mocno wkurzoną. Powiedziałam Jonahowi, że zadzwonię później, i odłożyłam słuchawkę, skupiając się na gościu.

# ROZDZIAŁ 18

Ty suko! - Trzasnęła drzwiami. Oczy jej błyszczały.

Nie przepadam, kiedy ktoś się tak do mnie zwraca. Robi mi się gorąco, od razu zaczynam być wściekła. Zastanawiałam się, czy mnie wyzwie do walki wręcz. Obdarzyłam ją leniwym uśmiechem, głównie po to, żeby jej pokazać, że dramatyczne sceny nie robią na mnie wrażenia.

- O co ci chodzi, Beverly? - Sama słyszałam, że gadam jak przemądrzały głupiec. Przyszło mi do głowy, że powinnam się rozejrzeć za czymś, czym mogłabym jej przyłożyć, jeśli rzuci się na mnie przez biurko. W zasięgu ręki miałam tylko nie zaostzony ołówek i kołowy notatnik na biurko.

Wsparła rękę na biodrach.

- Po coś się umawiała z Aubreyem? Jak śmiałaś? Jak miałaś czelność, do jasnej cholery!!!

- Nie umawiałam się z Aubreyem. To on przyszedł do mnie.

- Wynajęłam cię. Ja cię wynajęłam. Nie miałaś prawa niczego mu mówić ani dyskutować na temat moich spraw za moimi plecami! Zobaczysz teraz, co ja zrobię! Ja cię za to zaskarżę!

Tego się akurat nie obawiałam. Bałam się tylko, że rzuci się na mnie z nożyczkami wyciągniętymi z torebki i pokroi mnie jak łąty na patchwork.

Na razie pochyliła się nad biurkiem, dźgając palcem wskazującym powietrze tuż przed moim nosem. Pokazały jej się zmarszczki, jak na składanym kartonie. Wysunęła brodę do przodu, policzki jej poczerwieniały, w kącikach ust zbierała się piana. Najchętniej bym ją strzeliła w twarz, ale to

nie byłoby najmańdrzejsze posunięcie. Zaczęła się hiperwentylacja, piers Beverly falowała ciężko. I nagle wargi zaczęły jej drżeć, rozognione błękitne oczy napełniły się łzami. Zaszłochała. Upuściła torebkę i ukryła twarz w dłoniach jak mała dziewczynka. Czy ta kobieta była niezrównowazona psychicznie, czy co?

- Usiądź - powiedziałam. - Zapal. Co się dzieje?

Zerknęłam na popielniczkę. Ciągłe tkwiły w niej resztki tytoniu i strzęp czarnego papieru z papierosa Aubreya. Dyskretnie wysypałam zawartość do śmieci. Beverly usiadła raptownie, gniew zniknął, jego miejsce zajął głęboki smutek. Z przykrością stwierdziłam, że wcale nie czuję się poruszona. Potrafię mieć serce z kamienia.

Podczas kiedy ona szłochała, ja robiłam kawę. Uchyliły się drzwi, Vera zajrzała dyskretnie. Najwyraźniej usłyszała hałas i chciała się upewnić, że wszystko w porządku. Szybko uniosłam brwi, jakbym wzruszała ramionami. Vera zniknęła.

Beverly wyłowiła papierową chusteczkę i przyszczypała przez nią grzbiet nosa, przyciskając oczy, jakby chciała z nich wydobyć kilka ostatnich łez. Jej porcelanowa cera była teraz pokryta cętkami, a błyszczące włosy nabrały surowego wyglądu, jak futrzana mufka zostawiona na deszczu.

- Przepraszam. - Odetchnęła głęboko. - Nie powinnam była tak się zachować. On mnie doprowadza do szaleństwa. Tracę przez niego zmysły. Jaki z niego skurwysyn! Nienawidzę go!

- Spokojnie, Beverly. Chcesz kawy?

Pokiwała głową. Wyjęła z torebki paletę cieni i sprawdziła makijaż, wycierając czarne ścieżki tuszu papierową chusteczką zawiniętą wokół palca. Schowała paletę i bezdźwięcznie wysiąkała nos. Właściwie go wycisnęła. Znowu otworzyła torebkę i znalazła papierosy oraz zapalki. Ręce jej się trzęsły, ale w momencie, kiedy zapaliła, całe napięcie najwyraźniej zniknęło. Wciągnęła dym głęboko, jak gdyby wdychała eter przed operacją. Żałowałam, że na mnie papierosy nie miały tak dobroczynnego wpływu. Za każdym razem, kiedy się zaciągnęłam, miałam w ustach smak przypominający skrzyżowanie spalonego drewna ze zbukami. Na pewno mój oddech czuć było tak samo.

Moje biuro spowiła mgła.

Beverly zaczęła bezradnie kręcić głową.

- Nie masz pojęcia, przez co ja przesłam - oznajmiła.

- Słuchaj, tak dla porządku...

- Wiem, że nic złego nie zrobiłaś. To nie twoja wina. - Oczy na krótko znów wypełniły się łzami. - Powinnam się była już przyzwyczać.

- Do czego?

Zaczęła składać chusteczkę na kolanach. Wreszcie przemówiła, powoli, walcząc o utrzymanie nerwów w ryzach. Zdania przedzierała cisza, a czasem bezwolny szloch.

- On... rozповіда po ludziach, że jestem pijaczką. A czasami robi ze mnie nimfomankę albo zmyśla, że jestem leczona terapią szokową. Co mu przyjdzie do głowy. Cokolwiek uzna za najbardziej dla mnie szkodliwe.

Nie byłam pewna, co z tym zrobić. Rzeczywiście powiedział mi, że jest pijaczką. Powiedział, że wypuściła się na trzydniową popijawę. Powiedział mi, że rzuciła się na niego z nożyczkami w rękę i że prawdopodobnie zamordowała własną siostrę w odwecie za to, że romansowała z jej mężem. A teraz siedziała naprzeciw mnie - szloch rozdzierał jej piersi - i twierdziła, że to on jest sprawcą całego tego patologicznego szajsu. Któremu z nich miałam wierzyć? Zebrała się w sobie, ostatni raz wycisnęła nos. Spojrzała na mnie. Białka oczu podbiegły jej bladą czerwienią.

- Powiedział ci coś takiego, prawda?

- Skupił się raczej na Elaine - odrzekłam, próbując się nie angażować, póki nie ustalę linii postępowania. - Naprawdę nie omawialiśmy spraw osobistych, możesz się nie obawiać. Jak się dowiedziałas, że był tutaj?

- Wyszło w rozmowie - oznajmiła. - Nawet nie wiem, przy jakiej okazji. On zawsze wszystko tak właśnie mi przekazuje. Naprowadza mnie na trop. Rozkłada wokół dowody i czeka, aż któryś odkryję. A jeśli nie wpadnę na nic przypadkowo, wskazuje mi dokładnie, a potem udaje, że jest skruszony i zdumiony.

Już miałam powiedzieć: „Jak z tym romansem z Elaine”, kiedy nagle przyszło mi do głowy, że mogło to w ogóle nie być prawdą, a jeśli było prawdziwe, mogła o tym przecież nadal nie wiedzieć.

- Na przykład przy czym się tak zdarzyło? - zapytałam.

- Kręcił z Elaine. Pieprzył moją własną siostrę. Boże, nie mogę uwierzyć, że mi to zrobił. Ją można posądzić o wszystko. Zawsze była zazdrosna. Brała, co jej w ręce wpadło. Ale on? Czułam się jak kompletna idiotka. Posuwał ją od chwili śmierci Maxa, a ja, kretynka, niczego nie zauważyłam. Przez



trzy lata. - Zaśmiała się tym dziwnym śmiechem, przepełnionym histerią. - Biedny Aubrey. Musiał się nieźle namęczyć, żeby mi wreszcie otworzyć oczy. W końcu wymyślił tę absurdalną bajeczkę o kontroli rachunków. Powiedziałam mu, że może się nimi zająć księgowy, ale on mi oznajmił, że Harvey nalegał, byśmy sami przejrzeni anulowane czeki i rachunki z kart kredytowych. A ja, jak ta głupia, zrobiłam, co mi kazał, i znalazłam, co trzeba.

- Dlaczego go nie opuścisz? - zapytałam. - Nie rozumiem, dlaczego tkwisz w tym związku. - Zawsze mówię to samo. Za każdym razem, kiedy słyszę podobną historyjkę. Pijaństwo, pobicia, niewierność, obraza słowna. Po prostu nie rozumiem, dlaczego ludzie to ciągną? Powiedziałam to Aubreyowi, więc sądziłam, że mogę równie dobrze powiedzieć jej. Ich małżeństwo nie trzymało się kupy i bez względu na to, gdzie leżała przyczyna, tych dwoje ludzi było godnych pożalowania. Czy szukali właśnie litości?

- Och, sama nie wiem. Częściowo zapewne chodzi o pieniądze.

- Niech cię nie boli głowa o pieniądze. W tym stanie obowiązuje prawo wspólnoty majątkowej.

- W tym rzecz - przytaknęła. - Jeśli odejdziesz, to z połową mojego majątku, a to moim zdaniem nie jest w porządku.

Gapiłam się na nią oniemiała.

- Pieniądze są twoje?

- Oczywiście, że moje. - Wyraz jej twarzy się zmienił. - Powiedział ci, że należą do niego, prawda?

- W pewnym sensie - wrzuciłam lekko ramionami. - Powiedział mi, że jest właścicielem konsorcjów nieruchomości.

Najpierw skamieniała, kompletnie zaskoczona, potem zaczęła się śmiać.

Wstrząsnął ją kaszel, poklepała się po piersiach. Zgasiła papierosa, stukając nim o dno popielniczki. Dym wydobywał się z jej nozdrzy, zupełnie jak gdyby pożar opanował jej mózg. Potrząsnęła głową, uśmiech zbladł.

- Przepraszam, to było dla mnie zupełnie nowe. Co jeszcze mówił?

Uniosłam rękę w geście protestu.

- Daj spokój - powiedziałam. - Wystarczy. Nie zamierzam w to grać. Nie znam waszych osobistych problemów i nie obchodzi mnie...

- Masz rację, masz rację. Boże, musimy ci się wydawać świrmięci. Przykro mi, że zostałam w to wciągnięta. To nie twoja sprawa. Moja. Ile

jestem ci winna za czas, który mi poświęciłaś? - Grzebała w torebce w poszukiwaniu książeczki czekowej oraz wspaniałego kompletu z różanego drzewa.

Znowu zaczął mnie ogarniać gniew.

- Nie chcę od ciebie pieniędzy. Co za absurd. Może byś mi dla odmiany dała kilka szczerych odpowiedzi?

Zamrugała swoimi błękitnymi oczyma połyskliwymi jak lód na sadzawce.

- Na temat?

- Jeden z sąsiadów Elaine utrzymuje, że byłaś u swojej siostry w Boże Narodzenie i że się pobiliście. Ja się od ciebie dowiedziałam, że nie wdziałyście się od kilku lat. Jak jest naprawdę?

Zajęła się wyciąganiem kolejnego papierosa, żeby zyskać czas na przemyślenie odpowiedzi.

- Beverly, po prostu powiedz mi prawdę. Byłaś tam czy nie?

Wyjęła kartonik zapalek, oddzieliła jedną i kilka razy potarła nią o draskę bez żadnego efektu. Wyrzuciła ją do popielniczki, urwała drugą. Tym razem udało jej się przypalić papierosa.

- Rzeczywiście byłam - przyznała ostrożnie. Postukała dopiero co zapalonym papierosem o brzeg popielniczki, jakby chciała strącić popiół, który jeszcze nie zdążył się uformować.

Byłam pewna, że jeśli zrobi jeszcze cokolwiek z papierosem, zacznę wrzeszczeć.

- Klóciłaś się z nią czy nie?

Wróciła do tonu pełnego wyższości.

- Kinsey, dopiero co dowiedziałam się o romansie - rzekła sznurując usta. - Oczywiście, że się pokłóciłyśmy. Właśnie o to chodziło Aubreyowi, jestem pewna. Co byś zrobiła na moim miejscu?

- Jaka to różnica? Nie jestem jego żoną, więc kogo obchodzi, co ja bym zrobiła! Chcę wiedzieć, dlaczego mnie okłamałaś.

Zapatrzyła się w biurko, jej twarz przybrała uparty wyraz.

Spróbowałam z innej strony.

- Dlaczego kazałaś mi zostawić sprawę? Dlaczego nie chciałaś, żebym się skontaktowała z policją?

Przez jakiś czas paliła i przez chwilę miałam wrażenie, że nie zamierza odpowiedzieć także i na to pytanie.

- Bałam się, że on coś zrobił.

Gapiałam się na nią bez słowa.

Pochwyciła moje spojrzenie, pochyliła się ku mnie.

- On jest szalony - oznajmiła z całkowitą powagą. - To prawdziwy wariat i bałam się, że... sama nie wiem... Chyba się obawiałam, że on ją zabił.

- Chyba tym bardziej powinnaś powiadomić policję?

- Nic nie rozumiesz. Nie mogę wciągać w to policji. Dlatego wynajęłam ciebie. Cała ta sprawa z testamentem była dla mnie zupełnie nieważna. Przyjęłam, że Elaine podpisała papier i odesłała go prawnikowi. A potem, kiedy zdałam sobie sprawę, że nikt nie miał od niej żadnych wiadomości, przyszło mi do głowy, że coś tu nie gra. Nawet nie bardzo sobie uświadamiałam, co.

- A kiedy wspomniałam, że może być martwa, tryby zaskoczyły, tak? - mówiłam znużonym tonem.

Poruszyła się niespokojnie.

- Wcześniej. Chyba po prostu nigdy nie ujęłam tego w słowa, dopóki ty ich nie wypowiedziałaś. Wtedy zdałam sobie sprawę, że powinienam prześleć sytuację, zanim się na cokolwiek zgodzę.

- Dlaczego sądzisz, że Aubrey jest w to zamieszany?

- Tego dnia... kiedy przyjechałam tutaj i pokłóciłyśmy się z Elaine... wtedy mi powiedziała, że ten romans trwał od lat. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że Aubrey jest psychopata i próbowała się z tego związku uwolnić. - Przerwała, spojrzenie błękitnych oczu powędrowało na mnie. - Ty jeszcze nie wiesz, jaki jest Aubrey. Ty go jeszcze nie znasz. Jego się nie zostawia. Z nim się nie zrywa. Sama boję się to zrobić. Nie myśl, że nie przychodziło mi to do głowy. A jednak nigdy się nie zdecydowałam. Nie wiem, co by zrobił, ale nigdy by mi się nie udało od niego odejść. Nigdy. Odnalazłby mnie na końcu świata i sprowadził z powrotem, a potem kazał płacić za zniewagę.

- Bev, muszę przyznać, że mam kłopoty ze zrozumieniem - oznajmiłam.

- To dlatego, że już wpadłaś. Obskoczył cię na paluszkach i wciągnął do swojej kolekcji. Wyrolował cię tak, że już nie potrafisz przyznać, że tak było. Robił to już wcześniej. Robi z każdym. On jest chory na umyśle. Zanim Reagan został gubernatorem, Aubrey lata całe pracował w wąskiej grupie jego doradców. A potem, kiedy obcięto wydatki budżetowe i doradcy wylecieli na bruk, mój mąż zaczął spędzać czas w domu, a moje życie zmieniło się w piekło.

Wzięłam w rękę ołówek, postukałam nim w krawędź biurka, potem odrzuciłam.

- Powiem ci prawdę, Bev. Chcę znaleźć Elaine. I nic więcej. Jestem podobna do teriera. Jeśli ktoś mi powiedział, że ma być zrobione, to będzie zrobione. Będę się nad tym zastanawiała do śmierci. Dowiem się, co się z nią stało i gdzie była przez wszystkie te miesiące. I lepiej dla ciebie, żeby ślad nie prowadził w twoją stronę.

Wstała, wzięła torebkę i pochyliła się ku mnie nad biurkiem.

- A dla ciebie lepiej, żeby ślad nie prowadził z powrotem do Aubreya, moja kochana! - cisnęła, a potem wyszła, zostawiając za sobą leciutką woń whisky.

Postawiłam na biurku maszynę do pisania i wystukałam raport dla Julii, wyszczególniając wydatki ostatnich dwóch dni. Potrzebowałam czasu, żeby sobie przyswoić to, co powiedziała mi Beverly o Aubreyu. Przypominali mi ten paradoks o dwóch plemionach z dżungli: członkowie jednego zawsze mówili prawdę, podczas gdy członkowie drugiego zawsze kłamali. Jak odgadnąć, którzy są którzy? Aubrey powiedział mi, że Beverly, kiedy zaczynała pić, zmieniała się w pana Hyde'a. Ona zaś oznajmiła mi, że on jest szalony, ale najwyraźniej, mówiąc to, nie była trzeźwa. Nie miałam najmniejszego pojęcia, które z nich miało rację, i nie wiedziałam, jak się tego dowiedzieć. Nie wiedziałam nawet, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie. Czy Elaine Boldt rzeczywiście była martwa? Przyszło mi to do głowy niejedyn raz, ale nie wyobrażałam sobie, żeby mogła zginąć za sprawą Beverly albo Aubreya. Szukałam przyczyny zupełnie gdzie indziej, przyjmując, że jej zniknięcie było powiązane z morderstwem Marty Grice. Teraz musiałam wrócić do początku i przyjrzeć się faktom jeszcze raz z innej strony.

Po powrocie do domu postanowiłam pobiegać.

Wiedziałam, że stąпам po kruchym lodzie, i trzeba było to wszystko przeczekać. Coś musiało się załamać. Powinien się pojawić jakiś nowy strzęp informacji. Na razie czułam się spięta i musiałam się pozbyć tego napięcia.

Bieganie mi się nie udało i wprawiło mnie w fatalny nastrój. Pod koniec drugiego kilometra zaczęło mnie kłuć w boku. Myślałam, że jakaś przedzie. Próbowaliśmy ścisnąć bok dłonią, pochylając się w pasie; sądziłam, że to może skurcz mięśni i że zelżeje. Nic z tego. Potem próbowałam robić

gwałtowne wydechy, nadal przygięta w pasie. Ból się nie nasilał, ale też nie znikał. Wreszcie zwolniłam do szybkiego marszu i w ten sposób się go pozbyłam, ale kiedy zaczęłam biec, znowu zakłuło. Musiałam się zatrzymać. Minełam już połowę drogi, ale bieg wydawał się tak daremny, że dwa kilometry, które zostały mi do domu, szłam, klnąc na czym świat stoi. Nawet się nie spociłam, a rozdrażnienie, zamiast zmaleć, w efekcie się podwoiło.

Wzięłam prysznic, ubrałam się. Nie chciało mi się wracać do biura, ale się do tego zmusiłam. Musiałam zacząć wszystko jeszcze raz, wrócić do samego początku i przekonać się, czy to coś da. Jak na razie wykorzystałam już wszystkie swoje sztuczki, ale przecież musiało być coś jeszcze.

Po wejściu do biura, zobaczyłam, że mruga światelko automatycznej sekretarki. Otworzyłam balkon, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, a potem włączyłam odtwarzanie.

- Cześć, Kinsey, tu Lupe z Santa Teresa Travel. Wygląda na to, że w sprawie bagażu trafiłaś w dziesiątkę. Porozumiałam się z biurem reklamacji bagażowej z TWA. Są tam te cztery bagaże. Pracownik linii lotniczych powiedział, że może je wysłać samolotem dziś po południu, jeśli sobie tego życzysz. Czy mogłabyś oddzwonić?

Stuknęłam palcem w przycisk stopu, wyrzuciłam w powietrze obie pięści.

- Dobra nasza! - wrzasnęłam, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Najpierw zadzwoniłam do Jonaha i powiedziałam mu, co się wydarzyło. Byłam pijana radością. Pierwsza dobra wiadomość od czasu, gdy wytropiłam kota.

- Jonah, co powinnam zrobić? Czy muszę mieć pozwolenie sądowe na otwarcie bagaży?

- Daj sobie spokój. Masz kwity na odbiór, tak?

- Pewnie, mam je na biurku.

- Więc leć na Florydę i odbierz bagaże.

- Nie lepiej kazać przysłać je tutaj?

- A jeśli w którymś z nich będzie ona?

Wówczas groziła mi scena, która mi się nie podobała. Przeszedł mnie dreszcz.

- Nie uważasz, że ktoś by się do tej pory zorientował...? No, wiesz, odór, jakiś wyciek...

- Wiesz co, kiedyś znaleźliśmy ciało, które tkwiło w bagażniku samochodu przez bite pół roku. Ktoś wbił jednej dziwce w gardło wysoki obcas i ona się znumifikowała. Nie pytaj mnie, jak ani dlaczego, ale w ogóle się nie rozłożyła. Po prostu wyschła. Wyglądała jak duża skórzana lalka.

- To może lepiej polecę - zdecydowałam.

O dziesiątej wieczór znowu byłam w powietrzu.

# ROZDZIAŁ 19

Kiedy wylądowaliśmy o czwartej pięćdziesiąt sześć rano, mżyło, a temperatura wahała się w okolicy dwudziestu stopni Celsjusza. Na zewnątrz panowały jeszcze ciemności, ale lotnisko było powleczone płaskim światłem i sztucznym chłodem stacji kosmicznych orbitujących sto tysięcy mil stąd. Poranni poróżni przemieszczali się opustoszałymi korytarzami, automatyczne drzwi otwierały się i zamykały z szelestem, a system wywoławczy gadał bez końca i bez nadziei na odpowiedź. Podobno o tej porze lotnisko działało bez ingerencji człowieka.

Przechowalnia bagażu TWA była czynna dopiero od dziewiątej, więc miałam trochę czasu do zabicia. Wzięłam ze sobą tylko dużą płócienną torbę, a w niej szczoteczkę do zębów i resztę drobiazgów, łącznie z czystą bielizną. Poszłam się odświeżyć do damskiej toalety. Umyłam twarz i przeczesalam włosy wilgotnymi palcami. We fluorescencyjnym górnym świetle wyglądałam wyjątkowo blado. Za mną jakaś kobieta zmieniała pieluszkę jednemu z tych wyrośniętych bobasów, które wyglądają jak namaszczony dorosły z zarumienionymi policzkami. Dziecko nie spuszczało ze mnie wzroku. Czasami koty patrzą na mnie w ten sposób, jakbyśmy byli agentami, wysyłającymi do siebie nawzajem nieme sygnały w drodze do miejsca tajnego spotkania.

Wzięłam sobie gazetę ze stojaka. Znalazłam otwartą kawiarenkę i kupiłam smażone jajka, bekon, tosta oraz sok pomarańczowy. Jadłam śniadanie powoli, czytając historyjkę o człowieku, który cały swój majątek zostawił egzotycznemu ptakowi. Zazwyczaj przed siódmą rano nie potrafię się uporać z pierwszą stroną.

Dwa razy zwiedziłam lotnisko wzdłuż i wszerz, a kwadrans przed dziewiątą zakotwoczyłam przed przechowalnią bagażu, zaopatrzona w wózek, który wypożyczyłam za dolara. Już widziałam bagaże Elaine Boldt, równo ustawione przy końcu rzędu zamykanych przegródek ze szklanymi drzwiczkami. Wyglądało na to, że ktoś przyniósł walizki gdzieś z zaplecza i przygotował do odebrania. Wreszcie jakiś człowiek w średnim wieku, ubrany w uniform TWA, z wielkim brzęczącym pękiem kluczy, otworzył kantorek i zaczął zapalać światła. Przypominało mi to odslanianie kurtyny do jednoaktówki realizowanej przy użyciu bardzo skromnych środków.

Przedstawiłam mu się, pokazałam kwity bagażowe, a następnie poszłam za nim i czekałam, aż ustawi walizki na wózku. Spodziewałam się, że będzie chciał ode mnie jakiś dowód tożsamości, ale najwyraźniej nie obchodziło go, kim jestem. Może porzucone bagaże są jak niechciane kociaki. Urzędnik był najwyraźniej zadowolony, że ktoś je od niego odbiera.

Kiedy otwarto biuro firmy „Auto za grosik”, wynajęłam samochód. Poprzedniego wieczoru zadzwoniłam do Julii, wiedziała więc, że przylatuję. Teraz musiałam już tylko znaleźć autostradę i ruszyć na północ. Pojechałam wózkiem w stronę parkingu samochodów do wynajęcia. Mżawka osiadała mi na skórze jak warstwa jedwabiu. Poranne powietrze było gorące i lepkie, pachniało deszczem i wyziewami odrzutowców. Załadowałam walizki do bagażnika i ruszyłam do Boca. Dopiero kiedy zaparkowałam u celu i wyładowałam wszystkie cztery walizy, zdałam sobie sprawę, że były zamknięte na kluczyk. Cóż za przejaw bystrości. Może Julia wpadnie na jakiś pomysł. Władowałam bagaże do windy i wjechałam na drugie piętro, a potem w dwóch ratach przydźwigałam je pod drzwi Julii.

Zapukałam i odczekałam długą chwilę, nim pani Ochsner wraz ze swoją laską dotarła do wejścia.

- Już idę! - Głośno podtrzymała mnie na duchu. - Nie poddawaj się, kochanieńka! Zostało mi dziesięć metrów i staram się jak mogę!

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Zerknęłam na drzwi prowadzące do mieszkania Elaine Boldt. Ani śladu życia. Nawet piękną wycieraczkę zabrano do środka, albo wyrzucono - został po niej prostokącik drobnego piasku, który przesyłał się przez włókna.

Drzwi przede mną stanęły otworem. Julia Ochsner, pochylona pod ciężarem garbu, spoglądała na mnie z wysokości mojej talii, przekrzywiając



głowę zdobną w srebrny puch dmuchawca. Skórę na dłoniach miała jak cieniutkie chirurgiczne rękawiczki. Widać było przez nią żyły i popękane naczynka, powykręcane stawy. Starość uczyniła ją przeźroczystą, miazdząc z obu końców, jak puszkę po piwie.

- Kinsey! Wiedziałam, że to ty! Nie śpię już od szóstej, czekam na ciebie. Wejdz, wejdz.

Odsunęła się na bok, robiąc mi przejście. Wstawiłam do środka cztery walizki, zamknęłam za sobą drzwi. Julia stuknęła łaską w jeden z bagaży.

- Poznaję to.

- Niestety są zamknięte.

Każda z czterech walizek miała zamek szyfrowy.

- Będziemy musiały popracować głową - oznajmiła usatysfakcjonowana. - Chcesz najpierw kawy? Jak ci się udał lot?

- Chętnie się napiję. Lot nie był zły.

W mieszkaniu Julii tłoczyły się antyki. W przedziwny sposób jednoczyło ono orientalne umeblowanie i drobiazgi z epoki wiktoriańskiej. Był tam niespotykanych rozmiarów rzeźbiony kredens z wiśniowego drewna z marmurowym blatem, czarna sofa z końskiego włosia, skomplikowany parawan z kości słoniowej, jadeitowe figurki, tarasowy fotel bujany, cynobrowe lampy, perskie dywaniki, lustro w ramie z ciemnego mahoni, pianino przykryte frędzlowym szalem, koronkowe firanki i ścienne draperie z haftowanego jedwabiu. Duży przenośny odbiornik telewizyjny z dwudziestopięciocalowym ekranem spozierał z odległej części pokoju, otoczony przez fotografie rodzinne w ciężkich srebrnych ramach. Telewizor był wyłączony, jego ślepa szara twarz dziwacznie odcinała się w pomieszczeniu pełnym pamiątek. Jedynym dźwiękiem było miarowe tykanie dziadkowego zegara, które brzmiało, jakby ktoś stukał pałeczkami od bębna w laminowany plastik.

Poszłam do kuchni, nalałam kawy dla nas obu i zaniósłam ją do salonu. Filizanki delikatnie brzęczały na spodeczkach jak pogłos niegroźnego kalifornijskiego trzęsienia ziemi.

- To wszystko pamiątki rodzinne? - zapytałam. - Niektóre są bardzo ładne.

Pani Ochsner uśmiechnęła się, zatoczyła krąg łaską.

- Jestem ostatnia z rodziny, więc wszystko odziedziczyłam. Byłam najmłodsza z jedenastki. Matka zawsze mi powtarzała, że jestem nieposłuszna.

Przysięgała, że nigdy nic nie dostanę, a ja się wcale nie odzywałam. Umarła ona, potem ojciec. Miałam osiem siostr i dwóch braci i wszyscy też już pomarli. I tak, po trochu, wszystko trafiało do mnie, aż już prawie brakuje mi miejsca. Ostatecznie i tak trzeba wszystko oddać. Człowiek zaczyna od willi, a w końcu trafia do domu starców, gdzie ma miejsce tylko na nocny stolik i świecznik. Oczywiście ja do tego nie dopuszczę.

- Z tego, co widzę, ma pani sposoby, żeby postawić na swoim.

- Miejmy nadzieję. Będę się trzymać najdłużej, jak dam radę, a potem zamknę się na cztery spusty i sama zakończę życie, jeśli natura nie zabierze mnie pierwsza. Mam nadzieję, że umrę we własnym łóżku, że po prostu zasnę. W tym łóżku się urodziłam i chyba miło by było tutaj zakończyć życie. Dużą masz rodzinę?

- Jestem sama. Wychowywała mnie ciotka, ale zmarła dziesięć lat temu.

- W takim razie jesteśmy w tym samym położeniu. Człowiek ma spokój, prawda?

- Można do tego podchodzić i tak - przyznałam.

- W mojej rodzinie byli sami krzykacze i chętni do bitki. Wszyscy ciągle czymś rzucali. Szklankami, talerzami, stołami, krzesłami... wszystkim, co było pod ręką. W powietrzu zawsze frunął jakiś pocisk: różne przedmioty przelatowały z jednego końca pokoju w drugi, a wreszcie zawsze rozlegało się wycie. Wszyscy świetnie trafialiśmy do celu. Kiedyś jedna z siostr strąciła mnie z dzieciennego krzeselka grejpfrutem jak piłką basebalową. Owsianka była wszędzie. Ta siostra na imię miała Eulalia. Teraz, kiedy wspominam tamte czasy, widzę, że byliśmy pospolici jak błoto, ale skuteczni. Wszyscy osiągnęliśmy w życiu zamierzone cele i nikt nigdy nie zarzucał nam bezradności ani bojaźni. Taaak. Weźmy się do tych bagaży. W najgorszym wypadku zrzucimy je z balkonu. Jestem pewna, że się otworzą, kiedy grzmotną o chodnik.

Podeszłyśmy do problemu, jak do złamania szyfru. Pani Ochsner miała teorię, która okazała się właściwa. Uważała, że Elaine użyła kombinacji cyfr, które przewijały się przez jej życie. Numer ulicy, szyfr otwierający domofon, numer telefonu, ubezpieczenia socjalnego, data urodzin. Każda z nas zaczęła z wybraną grupą cyfr pracować nad oddzielną walizką. Trafiłam za trzecim razem, kiedy sprawdzałam ostatnie cztery cyfry uwidocznione na karcie ubezpieczenia socjalnego.

Wszystkie walizki były zakodowane tym samym szyfrem, co ułatwiło zadanie.

Rozstawiłyśmy otwarte walizy na podłodze w salonie. Wypełnione były dokładnie tym, czego można się było spodziewać: ubraniami, kosmetykami, drobnymi dodatkami. Był szampon, dezodorant, bielizna, przybory do kąpieli, szlafrok.... wszystko jednak upakowane w nieładzie, podobnie jak to robią na filmach żony opuszczające mężów w środku gniewnej sprzeczki. Ubrania pozostały na wieszakach, wszystko było zgniecione i upchnięte na siłę, buty dorzucone na wierzch. Największa waliza sprawiała wrażenie, jakby ktoś nad nią odwrócił szuflady do góry dnem. Julia pokuśtykała do bujanego fotela, usiadła, podparła się łaską. Przypominała przekrzywioną roślinę. Ja usiadłam na sofie z końskiego włosia. Obie zapatrzyłyśmy się w walizy. Po jakimś czasie podniosłam wzrok na Julię.

- Nie podoba mi się to - oznajmiłam. - Z tego, co się dowiedziałam o Elaine, wynika, że jest niemal przesadnie schludna. Powinna pani zobaczyć, w jakim stanie zostawiła mieszkanie. Wszystko takie... czyste, uporządkowane, pod linijkę. Czy rzeczywiście spakowałyby się w ten sposób?

- Nie. Chyba że w wielkim pośpiechu - rzekła Julia.

- Cóż, to akurat możliwe, ale ciągle wydaje mi się mało prawdopodobne.

- Co ci chodzi po głowie? Co to, według ciebie, oznacza?

Opowiedziałam jej o podwójnych biletach lotniczych i międzylądowaniu w St Louis, a także zrelacjonowałam wszystkie inne fakty, które wydawały mi się ważne. Dobrze było mieć z kim podzielić się ostrzeżeniami. Julia Ochsner była inteligentna i lubiła zagadki przynajmniej tak samo jak ja.

- Nie jestem pewna, czy Elaine w ogóle tu dotarła - oświadczyłam. - Mamy na to jedynie słowo Pat Usher, a żadnej z nas nie chce się w to specjalnie wierzyć. Może z jakiegoś powodu wysiadła w St Louis?

- Bez bagażu? Powiedziałaś też, że zostawiła paszport, więc co ze sobą zrobiła?

- Miała przecież to futro z rysiów - przypomniałam sobie. Mogła je zastawić albo sprzedać. - Coś mi błysnęło w pamięci, ale nie potrafiłam sobie w tej chwili skojarzyć, o co chodziło.

Julia zamachała energicznie dłońmi.

- Nie wierzę, żeby chciała sprzedać ten płaszcz, Kinsey. Po co miałyby to robić? Ma mnóstwo pieniędzy. Magazyny, umowy, fundusze. Nie potrzebuje niczego zastawiać.

Zastanowiłam się nad tym. Oczywiście, Julia miała rację.

- Ciągle się zastanawiam, czy ona jeszcze żyje. Bagaż dotarł tutaj, ale ona niekoniecznie. Może leży gdzieś w kostnicy z tabliczką przyczepioną do palca u nogi.

- Myślisz, że ktoś wywabił ją z samolotu i zabił?

Pokiwałam głową powoli, nie do końca przekonana.

- Sama nie wiem. To możliwe. Możliwe też, że w ogóle nie ruszyła w tę podróż.

- Zdawało mi się, że mówiłaś o kimś, kto widział ją wchodzącą do samolotu. Chyba ten kierowca taksówki?

- To nie była prawdziwa identyfikacja. To znaczy, kierowca miał kurs na tej trasie i wioził kobietę podającą się za Elaine Boldt. Nigdy przedtem jej nie widział, więc ktoś to wie? Uwierzył jej na słowo. Wszyscy tak robimy. Skąd pani wie, że jestem Kinsey Millhone? Bo ja tak twierdzę. Ktoś mógł się pod nią podszyć, żeby zostawić fałszywy ślad.

- Po co?

- Tego właśnie nie wiem. Jest kilka kobiet, które miałyby z tego pewne korzyści. Na przykład jej siostra, Beverly.

- Albo Pat Usher - dorzuciła Julia.

- Pat rzeczywiście korzystała w wypadku zniknięcia Elaine ze sceny. Na kilka miesięcy zyskiwała darmowe mieszkanie w Boca.

- W życiu nie słyszałam o morderstwie w celu uzyskania mieszkania - oznajmiła cierpko.

Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że tylko teoretyzujemy, ale mogłyśmy na coś wpaść. Teraz już trzeba było przyhamować.

- Czy Pat rzeczywiście zostawiła jakiś adres kontaktowy?

Julia pokręciła głową.

- Charmaine powiedziała, że owszem, zostawiła, ale nieistniejący. Spakowała się i wyprowadziła tego samego dnia, kiedy z nią rozmawiałaś, i od tej pory nikt jej nie widział.

- Niech to szlag. Wiedziałam.

- Nie mogłaś temu zapobiec - uznała litościwie.

Oparłam głowę na zagłówkach sofy, bawiłam się dalej w domysły.

- To mogła też być Beverly. Może załatwiła siostrę w damskiej toalecie na lotnisku w St Louis.

- Albo zabiła ją jeszcze w Santa Teresa i od tego momentu grała jej rolę. Może to ona spakowała bagaże i wsiadła do samolotu.

- Spróbujmy inaczej - zaproponowałam. - Pomyślmy o Pat. Może Pat Usher jest dla Elaine obcą osobą? Może spotkały się w samolocie, zaczęły rozmawiać i wtedy Pat zdała sobie sprawę... - Porzuciłam pomysł, kiedy zobaczyłam wyraz twarzy Julii. - To mało prawdopodobne - przyznałam.

- Tak czy siak możemy pospekulować. Nikomu tym krzywdy nie zrobimy. Może Pat znała Elaine w Santa Teresa i stamtąd za nią podążyła.

Zastanowiłam się nad taką możliwością.

- Może i tak. To chyba możliwe. Tillie twierdzi, że w marcu dostała ostatnią kartkę od Elaine... przynajmniej zakłada, że była ona od Elaine, ale można przyjąć, że to także ktoś sfigował.

Opowiedziałam jej o swoim spotkaniu z Aubreyem i z Beverly. Dokładnie w środku tej relacji moja pamięć nagle zaskoczyła - to był jeden z tych cudownych wstrząsów intelektualnych, podobny do elektrycznego, kiedy się dotknie przewodu z zepsutą izolacją.

- Zaraz chwileczkę. Właśnie sobie coś przypomniałam. Elaine dostała rachunek od kogoś z tutejszych kuźnierzy. Może by go tak odnaleźć i dowiedzieć się, czy nie wie czegoś o futrze z rysiów? Może to by nam dało jakiś ślad.

- Jaki kuźnierz? Jest ich tu zaledwie kilku.

- Musiałabym się porozumieć z Tillie. Mogę zadzwonić do Kalifornii? Jeśli uda się odnaleźć futro, może trafimy na ślad Elaine?

Julia machnęła laską w stronę telefonu. Po kilku minutach miałam na linii Tillie i powiedziałam jej, czego mi trzeba.

- Wiesz - usłyszałam w odpowiedzi - tamten rachunek został ukradziony wtedy w czasie włamania, ale właśnie przyszedł drugi. Zaczekaj, zaraz zobaczę, co na nim jest. - Odłożyła słuchawkę obok aparatu i poszła przynieść pocztę.

- To żądanie zapłaty - oznajmiła po chwili. - Drugie upomnienie. Od jakiegoś Jacques'a... siedemdziesiąt sześć dolarów za przechowywanie i dwieście za przeróbkę. Ciekawe, dlaczego to zrobiła? Jeszcze tu jest dopisane ręcznie: „Dziękuję za zlecenie” i niżej jeszcze: „Ufam, że opóźnienie płatności jest kwestią przeoczenia”. Przyszło jeszcze kilka innych rachunków, zaraz je przejrzę. - Usłyszałam, jak Tillie na drugim końcu linii otwiera koperty. - Tak, tak... Wszystko to płatności. Wygląda na to, że sporo wydawała. Zobaczmy. Ojej. Visa, Master Card. Tutaj ostatnia data

jest sprzed dziesięciu dni, ale pewnie po prostu kończył się okres rozliczeniowy. Proszą ją, żeby nie używała karty, dopóki nie uzupełni salda.

- Czy jest tam jakaś wskazówka, gdzie dokonywano zakupów? Na Florydzie czy gdzie indziej?

- Tak, wygląda na to, że w większości wydawała pieniądze w Boca Raton i w Miami, ale możesz to sprawdzić sama, jak wrócisz. Zmieniłam zamki, więc rachunki powinny być bezpieczne.

- Dziękuję, Tillie. Możesz mi jeszcze podać adres kuśnierza?

Zanotowałam go i dostałam od Julii Ochsner wskazówki, jak trafić. Poszłam znowu na parking. Niebo było złowieszczo szare, gdzieś w oddali rozległ się grzmot, jakby ktoś staczał pianino po drewnianej rampie. Było gorąco i duszno, ostre białe światło nadawało zielonej trawie fosforencyjny blask. Miałam nadzieję, że zdążę załatwić sprawę, zanim złapie mnie ulewa.

Jacques był usytuowany na eleganckim placu, zacieniony od góry siatką, obstawiony delikatnymi brzoźami w wielkich bładoniebieskich donicach. Na gałązkach rozwieszono drobne lampki, które w przedburzowym mroku błyszczały, jakby zwiastowały Boże Narodzenie. Od frontu sklep wyłożony był gołęmbim granitem, a przed nim dumnie stapały po chodniku żywe gołębie. Wyglądały, jakby były tutaj umieszczone wyłącznie dla dekoracji. Nawet ich gruchanie zdawało się szczególnie wyrafinowane: niski, wibrujący pomruk, który drżał w porannym powietrzu jak szeleszcząca w kupieckich dłoniach gotówka.

Wystawa była urządzona bardzo pomysłowo. Na tle błękitnego nieba leżało beztróska rzucone na piaszczystą wydmy futro ze złotych soboli. Na grzbiecie wydmy wyrastały z piasku kępki trawy, a krab pustelnik przeciął jej zбочe, zostawiając wąski ślad przywodzący na myśl wzór haftu. Moment zamrożony w czasie: jakaś kobieta - bogata i beztróska - przyszła nad brzeg morza i zrzuciła z ramion to precudne futro, by się nago zanurzyć w słone fale... a może kochała się z kimś na odległym krańcu wydmy. Stałam tak i mogłabym przysiąc, że trawy chyliły się pod dotknięciem nieistniejącego wiatru, a ja czułam w powietrzu zapach jej perfum.

Pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Gdybym miała pieniądze i potrafiła nosić na własnym grzbiecie martwe zwierzęta, zostawiłabym tutaj majątek.

## ROZDZIAŁ 20

Wnętrze zaprojektowano w różnych odcieniach błękitu; pod wysokim sufitem królował błyszczący żyrandol. Skądś dobiegała muzyka kameralna, jakby gdzieś ukrywał się kwartet smyczkowy. Krzesła w stylu chippendale ustawiono we wdzięczne grupki, wzdłuż ścian powieszono masywne lustra o połączonych krawędziach. Jedynym detalem niweczącym ten doskonały wizerunek osiemnastowiecznego wnętrza była niewielka kamera w górnym rogu, śledząca każdy mój ruch. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego. W zasięgu wzroku próżno by szukać choćby jednego futra, a meble były najpewniej przyśrubowane do podłogi. Żeby pokazać, że potrafię się zachować, wsadziłam ręce w tylne kieszenie spodni. Kątem oka pochwyciłam własne odbicie. Oto stałam w tym otoczeniu rokoko, ubrana w wypłowiałe džinsy oraz płócienną górę i wyglądałam niczym skutek pomyłki maszyny do podróży w czasie. Pochyliłam się lekko, zastanawiając, czy nie powinnam wrócić na jakiś czas do podnoszenia ciężarów. Moje ramię z naprzężonym bicipsem wyglądało jak wąż, który ostatnio zjadł coś naprawdę niedużego, na przykład zwinięte w kłębek skarpetki.

- Tak?

Obróciłam się. Człowiek, który za mną stanął, wydawał się tu równie nie na miejscu jak ja. Był ogromny - ważył pewnie ze sto pięćdziesiąt kilo - ubrany w kaftan, w którym wyglądał jak otwarty namiot na aluminiowym stelażu. Dobiegał sześćdziesiątki. Jego twarz dobrze byłoby podnieść. Powieki mu opadały, usta wisały, a pod brodą drżał podwójny podbródek.

Resztki włosów zebrały się wokół uszu. Nie mogłabym przysiąc, ale odniosłam wrażenie, że zepsuł powietrze.

- Chciałabym z panem porozmawiać o zaległej płatności.

- Tym się zajmuje księgowia. Teraz wyszła.

- Pewna kobieta zostawiła u pana do czyszczenia i przeróbki futro z ryśiów warte dwanaście tysięcy dolarów. Nie zapłaciła rachunku.

- Więc?

Ten facet nie musiał dbać o przyjemny wygląd. Był po prostu uosobieniem wdzięku.

- Czy mogę rozmawiać z Jacques'em? - zapytałam.

- Rozmawia pani. Ja jestem Jack. Kim jest pani?

- Kinsey Millhone - powiedziałam. Wyjęłam wizytówkę i podałam mu ją. - Jestem prywatnym detektywem z Kalifornii.

- Bez żartów. - Przyjrzał się wizytówce, potem spojrzał na mnie. Następnie rozejrzał się podejrzliwie wokół, jakby to mógł być dowcip z cyklu „ukryta kamera”. - Czego pani ode mnie chce?

- Szukam informacji o kobiecie, która przyniosła futro.

- Ma pani dla niej wezwanie do sądu?

- Nie.

- Pieniądze, które mi się należą?

- Nie.

- To po co mi pani zawraca głowę? Nie mam czasu do stracenia. Robota na mnie czeka.

- Może byśmy porozmawiali przy pracy?

Gapił się na mnie dłuższą chwilę. Przy każdym oddechu wydawał świszczący dźwięk, tak czasem bywa u ludzi otyłych.

- Dobrze. Jeśli to pani odpowiada...

Poszłam za nim do sporego pomieszczenia na zapleczu, w którym panował nieopisany bałagan. Jack wydzielał zapach, jakby spędził zimę w jaskini.

- Od jak dawna szyje pan futra? - zapytałam.

Odwrócił się, popatrzył na mnie, jakbym mówiła w obcym języku.

- Od kiedy skończyłem dziesięć lat - oznajmił w końcu. - Mój ojciec też był kuśnierzem. I dziadek też.

Wskazał mi stołek, więc usiadłam, stawiając płócienną torbę przy nogach. Ściana po lewej stronie zawieszona była papierowymi wykrojami. Po prawej miałam długi stół roboczy z rozłożonym na wierzchu wzorem z szorstkiego brązowego papieru, na nim stały najróżniejsze maszyny do szycia,



wyglądające na stare. Prawa przednia część futra z norek była już poskładana i kuśnierz najwyraźniej nad nią właśnie pracował. Nie dostrzegłam ani skrawka wolnego miejsca. Wszędzie walały się skóry, skrawki futer, nie dokończone kołnierze, książki, czasopisma, pudła, katalogi. Dwa manekiny krawieckie stały ramię w ramię jak bliźnięta pozujące do fotografii. To miejsce przypominało mi pracownię szewca zapachem skór, maszyniarią i aurą fachowości. Kuśnierz podniósł futro, przyjrzał mu się uważnie, potem sięgnął po jakieś dziwne narzędzie ze złowieszczą zakrzywionym ostrzem. Zerknął na mnie. Czy miał w tym samym odcieniu brązu co norki.

- No więc, co chce pani wiedzieć?

- Pamięta pan tę kobietę?

- Wiem, o które futro pani chodzi. Naturalnie pamiętam osobę, która je przyniosła. Pani Boldt, zgadza się?

- Zgadza. Kiedy pan ją widział ostatnio?

Przeniósł spojrzenie na futro. Zrobił nacięcie. Podszedł do jednej z maszyn, gestem nakazując mi pójść za nim. Usiadł na stołku i zaczął szyć. Teraz zobaczyłam, że to, co z początku wyglądało na starodawnego singera, było w rzeczywistości nowoczesną maszyną, przeznaczoną specjalnie do szycia futra. Kuśnierz złożył dwa kawałki skóry włosom do środka i ścisnął dwiema metalowymi klamerkami, wielkości srebrnej dolarówki. Maszyna złączyła oba brzegi równym ścięciem, a on w tym czasie zręcznie odsuwał futro stopce z drogi, żeby nie zostało w szwie. Cała operacja zajęła mu jakieś dziesięć sekund. Rozprostował szew, wygładził go kciukiem po lewej stronie. W skórze widniało już pewnie z pięćdziesiąt podobnych cięć, w odległości około pół centymetra jedno od drugiego. Miałam ochotę zapytać kuśnierza, co właściwie robi, ale nie chciałam go rozpraszać.

- Przyszła w marcu i powiedziała, że chce sprzedać futro.

- Skąd pan wie, że to naprawdę była ona?

- Bo poprosiłem o jakiś dowód tożsamości i rachunek sprzedaży. - Wrócił zirytowany ton, ale go zignorowałam.

- Powiedziała, dlaczego je sprzedaje?

- Znudziło jej się. Chciała norki, może srebrzyste. Zaproponowałem jej kredyt na któreś z tych, co miałem w sklepie, ale wolała gotówkę, więc powiedziałem jej, że zobaczę, co się da zrobić. Nie miałem specjalnej ochoty płacić gotówką za używane futro. Zresztą, normalnie zajmuję się

odsprzedają. Nie ma rynku na wyroby z drugiej ręki, potem to zostaje jak wrzód na dupie.

- Rozumiem, że dla niej zrobił pan wyjątek.

- No, tak, zrobiłem. Rzecz w tym, że to futro było w doskonałym stanie, a żona nudziła mnie o takie od ładnych paru lat. Ma już pięć futer, ale kiedy zobaczyłem to, pomyślałem sobie, co tam, niech moja stara ma tę przyjemność. Co to dla mnie. Utargowałem trochę i w końcu wziętem płaszcz za pięć tysięcy, a to była dobra cena i dla pani Boldt, i dla mnie, zwłaszcza że mam kapelusz do kompletu. Powiedziałem jej, że będzie musiała zapłacić za czyszczenie i przeróbkę.

- Po co je przerabiać?

- Moja żona ma niecałe metr pięćdziesiąt. Dokładnie metr czterdzieści osiem, jeśli chce pani wiedzieć, ale niech się pani nie zdradzi, że powiedziałem. Żona najwyraźniej uważa to za coś w rodzaju wady wrodzonej. Zauważyła pani? Niskie kobiety tak się właśnie zachowują. Jak tylko skończą naście lat, zaczynają nosić przedziwne buty i usiłują wyglądać na wysokie, chociaż przecież nie są. Wie pani, co ona w końcu zrobiła? Nauczyła się jeździć na deskorolce. Twierdzi, że tylko wtedy naprawdę czuje się jak prawdziwa istota ludzka. Tak czy inaczej, pomyślałem sobie, że dam jej te rysie. Wspaniałe. Zna pani to futro?

Pokręciłam głową.

- Nigdy go nie widziałam.

- No to chodźmy. Powinna je pani zobaczyć. Mam je na zapleczu. Jeszcze nie pociąłem.

Ruszył gdzieś na tyły, a ja posłusznie podreptałam za nim. Otworzył masywne metalowe drzwi skarbca. Zimne powietrze omiotło nas jak w chłodni z mięsem. Po obu stronach, na podwójnych wieszakach, rękaw w rękaw, wisiały całe rzędy futer, jakby tam stały setki kobiet odwróconych do nas plecami. Kuśnierz przeszedł na bok. Po drodze przeglądał futra, posapując z wysiłku. Naprawdę powinien schudnąć. Jego oddech przypominał dźwięki, jakie wydaje skórzana kanapa, kiedy się na niej siada. Niemożliwe, żeby się cieszył dobrym zdrowiem.

Wziął któreś futro z wyższego wieszaka i wyszliśmy z długiego, zimnego magazynu. Zamknął za nami drzwi. Trzymał futro Elaine tak, żebym je mogła dokładnie obejrzeć. Rysie były w dwóch kolorach - szare i białe, z pewnością połączone w taki sposób, że każda warstwa kończyła się zwężeniem nad

brzegiem następnej. Chyba odgadł z wyrazu mojej twarzy, że nigdy w życiu nie oglądałam z tak bliska tak drogiego futra.

- Niech pani przymierzy - zaproponował.

Zawahałam się na moment, a potem zmierzylałam. Otuliłam się nim i spoglądałam w lustro. Futro sięgało mi prawie do kostek, ramiona odstawały niczym ochronne naramienniki w jakiejś nowej, dziwacznej dyscyplinie sportu.

- Wyglądam jak Yeti - uznałam.

- Wygląda pani świetnie - ocenił kuśnierz. Przeniósł wzrok ze mnie na lustrzane odbicie. - Tutaj trzeba troszeczkę zebrać. Skrócić rękawy. A może lepiej by pani było w lisach, jeśli rysie pani nie pasują.

Roześmiałam się.

- Przy moich dochodach niezłym ciuchem jest bawełniana bluza z suwakiem na przodzie. - Zdjęłam futro i podałam mu je, wracając do tematu.

- Dlaczego zapłacił jej pan za futro, zanim ona zapłaciła panu? Przecież można było odjąć pańskie koszty od jej pięciu tysięcy i dać jej czek na różnicę.

- Księgowa chciała to załatwić inaczej. Mnie proszę nie pytać dlaczego. Tak czy inaczej, czyszczenie nie jest specjalnie drogie, a przeróbki robię sam, więc co za różnica? I tak ubiłem niezły interes. Adele zapewne uważa tę płatność za rzecz oczywistą, ale ja jestem trochę zły na całą sprawę.

Kiedy odnosił futro do magazynu, podeszłam do swojej torby i wyjęłam zdjęcie Elaine oraz Marty, które dała mi Tillie Ahlberg. Gdy wrócił, pokazałam mu fotografię.

- Czy to z którąś z tych kobiet miał pan do czynienia?

Zerknął krótko i oddał mi odbitkę.

- Nie. Żadnej z nich nigdy nie spotkałem - odparł.

- A jak wyglądała właścicielka tego futra?

- Skąd mam wiedzieć? Widziałem ją tylko raz.

- Młoda? Stara? Niska? Wysoka? Gruba? Chuda?

- Mniej więcej. W średnim wieku i miała jasne włosy. I była ubrana w długą luźną suknię i ciągnął się za nią dym papierosowy. Drugi raz już bym jej tutaj nie wpuścił, bo nie lubię, jak mi futra śmierdzą dymem.

- Jakie miała dowody tożsamości?

- Normalne. Prawo jazdy, karta potwierdzenia czeków, karty kredytowe.

Powie mi pani teraz, że futro jest kradzione? Jeśli tak, nie chcę tego słyszeć.

- „Kradzione”, to może niezbyt dokładne określenie - stwierdziłam. - Podejrzewam, że ktoś pożyczyl sobie tożsamość Elaine Boldt. Nie wiem tylko, gdzie ona teraz jest. Na pana miejscu, nie przerabiałabym futra, dopóki nie będzie wiadomo, co się właściwie zdarzyło.

Kiedy spoglądałam na niego po raz ostatni, nieszczęśliwy gładził się po podbródku. Nie zaproponował, że odprowadzi mnie do wyjścia.

Wysłałam w uciążliwą wilgoć Florydy. Pokrywa chmur sprawiała wrażenie przedwczesnego zmroku, kilka pierwszych wielkich kropel deszczu spadło na rozpalony chodnik. Popędziłam do samochodu, zgięta wpół, jakby fakt, że skurczyłam się o połowę, miał mnie uchronić przed zmoknięciem. Myślałam o kobiecie, którą Jack opisał mi jako Elaine Boldt. Obejrzałam zdjęcie prawdziwej Elaine i przysięgł, że to nie ona. Wszystko wskazywało na to, że futro musiała przynieść Pat Usher. Wróciłam myślą do naszego spotkania: poza ostrożnego rozbawienia, unikanie odpowiedzi na pytania o Elaine, mieszanina kłamstw i prawdy, którą mnie poczęstowała. Czy ta kobieta weszła w cudzą skórę? Mieszkała w domu Elaine, to prawda, ale jak miałyby zdobyć futro z rysiów, jeśli nie od niej samej? Skoro to ona korzystała teraz z kart kredytowych Elaine, musiała mieć pewność, że ich prawowita właścicielka jej na tym nie przyłapie. Wychodziło mi, że mogła to osiągnąć jedynie w przypadku, gdyby wiedziała, że Elaine nie żyje, co swoją drogą podejrzewałam już od dłuższego czasu. Mogło istnieć jakieś inne wytłumaczenie, ale żadne nie pasowało tak dobrze do wszystkich faktów.

Deszcz lał teraz jak z cebra. Wycieraczki na przedniej szybie wynajętego samochodu klaskały w prawo i w lewo niczym metronom, powlekając szybę cienką warstwą brudu. Znalazłam budkę telefoniczną i zadzwoniłam do Jonaha na posterunek policji w Santa Teresa. Połączenie było fatalne, ledwie się słyszeliśmy na tle zakłóceń, ale udało mi się wykrzyknąć, czego potrzebuję, i zapytać, czy wysłał zapytanie do Wydziału Komunikacji w Tallahassee. Pat Usher, żeby przeobrazić się w Elaine Boldt, potrzebowała prawa jazdy. Elaine go nie miała, ale przecież nie tak trudno je podrobić. Wystarczyło złożyć podanie jako Elaine Boldt, zdać test i poczekać, aż dokument przyjdzie pocztą. W niektórych stanach można wyjść z Wydziału Komunikacji z prawem jazdy w rękę ledwie kilka

minut po zdaniu testu - w każdym razie w przypadku ponownego zdawania. Nie byłam pewna, jak ta procedura wygląda na Florydzie. Jonah obiecał, że załatwi sprawę z Tallahassee i da mi znać, czego się dowiedział. Przypuszczałam, że będę z powrotem w Santa Teresa już następnego dnia, więc umówiliśmy się, że zadzwonię do niego po powrocie.

Na razie ucięłam sobie krótką pogawędkę z Rolandem Makowskim. Potwierdził to, co już wiedziałam od Julii Ochsner. Pat Usher wyjechała, zabierając ze sobą wszystkie bagaże, tego samego dnia, kiedy z nią rozmawiałam. Sumiennie zostawiła swój adres kontaktowy - jakiegoś motelu w pobliżu plaży - ale kiedy Roland próbował ją znaleźć, okazało się, że ten motel w ogóle nie istnieje. Zapytałam go, dlaczego szukał Pat Usher. Odpowiedział, że jako prezent pożegnalny zostawiła w basenie kał, a na dodatek nabazgrała sprayem swoje imię na betonie.

- Co takiego? - Nie chciało mi się wierzyć.

- Dobrze pani słyszała - potwierdził. - Zostawiła w basenie balas wielkości porządnej kielbasy. Musiałem spuszczać wodę i odkażać basen, a niektórzy lokatorzy jeszcze do tej pory nie chcą się w nim kąpać. Ta kobieta jest szalona, wie pani, co ją tak wkurzyło? Powiedziałem jej, że nie wolno wieszać ręczników na poręczy balkonu! Szkoda, że pani nie widziała jej reakcji. Była taka wściekła, że wywracała oczami i dyszała. Okropnie mnie wystraszyła. Ona jest chora.

Zamrugałam.

- Dyszała?

- Miała pianę na ustach.

Przypomniała mi się nocna wizyta nieproszonego gościa u Tillie.

- Chyba powinniśmy zajrzeć do mieszkania Elaine - powiedziałam głosem bez wyrazu.

Smród gęsty jak ściana zatrzymał nas w chwili, kiedy otworzyliśmy drzwi. Destrukcja była systematyczna i kompletna. Fotele i kanapa zostały pocięte z morderczą determinacją. Było jasne, że wszystko odbyło się w ciszy. W przeciwieństwie do zniszczeń w mieszkaniu Tillie, tutaj nie było potłuczonego szkła ani poprzewracanych mebli. Zamiast tego Pat Usher pootwierała wszystkie puszkę z jedzeniem i rozlała zawartość po dywanach. Dorzuciła krakersy i inne suche ciastka, dżemy, przyprawy, kawę, ocet, zupy, owoce, dodała zawartość własnych jelit. Dzieła dokonano ładnych kilka dni temu, więc w gorącej wilgoci Florydy wszystko pokryło się

grzybem i pleśnią. Porozrywane paczki niegdyś zamrożonego mięsa pełne były wijących się stworzeń, których nie miałam ochoty badać zbyt dokładnie. Wielkie muchy brzęczały wrogo, ich lśniące głowy świeciły jak latarnie morskie.

Roland z początku nie mógł wykrztusić słowa, a kiedy mu się to wreszcie udało, miał łzy w oczach.

- Nigdy w życiu nie uda nam się tego posprzątać.

- Nie róbcie tego sami - poradziłam odruchowo. - Wynajmijcie kogoś. Może ubezpieczenie pokryje koszty. A na razie lepiej wezwać gliny.

Pokiwał głową, z trudem przełknął ślinę i wycofał się za drzwi. Zostałam sama. Musiałam przeszukać mieszkanie, bardzo ostrożnie stawiając nogi. Zapamiętałam sobie dobrze, żeby nigdy za nic nie skarcić Pat Usher. Jeśli o mnie chodzi, może wieszać ręczniki, gdzie jej się żywnie podoba.

# ROZDZIAŁ 21

Gliniarze byli już w drodze, nie miałam dużo czasu. Przekradłam się ostrożnie przez mieszkanie, otwierając szuflady przez chusteczkę do nosa ze względu na potencjalne odciski palców. Dokonałam powierzchownego przeglądu i nie znalazłam nic, co by mnie zaskoczyło. Pat Usher nie zostawiła nic. Wszystkie szuflady i szafy były puste. Nie zostawiła nawet tubki po paście do zębów. W tej chwili mogła być już na końcu świata, ale miałam wrażenie, że jest znacznie bliżej i domyślałam się, gdzie. Podejrzewałam, że wykorzystała pozostałe dwa kupony na powrotny lot do Santa Teresa.

Zamknęłam drzwi i zajrzałam do sąsiedniego mieszkania, powiedzieć Julii, co się stało. Była druga trzydzieści po południu. O czwartej miałam samolot, a jeszcze została mi godzina drogi na lotnisko. Niebo znowu było cudownie czyste, powietrze pachniało wilgocią i słodyczą, chodniki parowały. Załadowałam walizy Elaine z powrotem do bagażnika wypożyczonego samochodu i odjechałam, obiecując Julii Ochsner zadzwonić, jak tylko dowiem się czegoś nowego. Nadchodził przełom. Czułam to w kościach. Pracowałam nad sprawą już od tygodnia i musiałam wykurzyć Pat Usher z kryjówki. Nie byłam pewna, co ta kobieta zrobiła Elaine Boldt ani dlaczego, ale teraz ona uciekała, a ja deptałam jej po piętach. Obie wracaliśmy do Santa Teresa, gdzie wszystko się zaczęło.

Gdy dotarłam do lotniska w Miami, oddałam samochód, następnie przy kontuarze TWA dowiedziałam się o numer miejsca i nadałam cztery sztuki bagażu do Santa Teresa. Wsiadłam do samolotu sześć minut przed czasem.

Zaczęłam odczuwać podskórny niepokój, rodzaj podekscytowania, jak przed większą operacją. Nie istniało żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale moje myśli, gnane burzliwym przestraczem, ciągle przeskakiwały w niepewną przyszłość. Pat Usher i ja byliśmy na kursie kolizyjnym, a ja nie miałam pewności, czy przetrzymam zderzenie.

Przy trzygodzinnej różnicy czasu czułam się, jakbym wróciła do Kalifornii ledwie godzinę po wylocie z Florydy i moje ciało z trudem się z tym godziło. Musiałam czekać godzinę na lotnisku w Los Angeles, żeby złapać kurs do Santa Teresa, ale mimo to była zaledwie siódma wieczór, kiedy dotarłam do domu, taszcząc jak karny muł wszystkie cztery walizy Elaine Boldt. Jeszcze nie zapadł zmrok, a ja już byłam zmordowana. Nie jadłam obiadu, a w samolocie wchłonełam tylko coś kwadratowego wyjętego z celofanu, którego ze zmęczenia nie chciało mi się odwiijać. Lot był niespokojny, od czasu do czasu samolot z niewytłumaczalnych powodów tracił wysokość, przez co nie sposób było się zdrzemnąć. Większość pasażerów, przestraszona, zastanawiała się, jak służby ratownicze zdołają pozbierać i zidentyfikować nasze szczątki, kiedy się rozbijemy i spłoniemy. Jakaś kobieta za mną obciążona dwójką dzieci z gatunku wyjców skrzeczących spędziła większość lotu na długich i nieefektywnych rozmowach na temat ich zachowania. „Kyle, kochanie, pamiętasz, mamusia ci mówiła, żebyś nie gryzła Bretta, bo to Bretta boli. Jak by ci się podobało, gdyby mamusia ugryzła ciebie?” Moim zdaniem jedno szybkie trzepnięcie po uchu byłoby ogromnym postępem na długiej drodze w kierunku efektywności rodzicielskiego wychowania, ale nikt mnie nie pytał o zdanie.

W każdym razie, kiedy dotarłam do domu, od razu rzuciłam się na kanapę i zasnąłam, nawet nie zdjawszy ubrania. Dlatego dopiero rano zdałam sobie sprawę, że ktoś był w moim mieszkaniu i przeczesał je dyskretnie w poszukiwaniu licha wie czego. Wstałam o ósmej, poszłam pobiegać, wróciłam, wzięłam prysznic, ubrałam się, usiadłam przy biurku i zaczęłam otwierać górną szufladę. Mam najzwyklejsze w świecie biurko, którego szuflady blokuje się jednym zamkiem umieszczonym w górnej. Ktoś podważył go ostrzem noża. W chwili gdy sobie uświadomiłam, że ktoś tutaj był, poczułam się, jakby mi ktoś przyłożył do karku bryłę lodu.



Odepchnęłam się od biurka, wstałam, obróciłam raptownie, żeby mieć na oku cały pokój. Sprawdziłam drzwi wejściowe, ale nie było na nich żadnych śladów dźbania wytrychem. Możliwe, że ktoś miał duplikat mojego klucza, więc trzeba będzie wymienić zamek. Nigdy przesadnie nie dbałam o bezpieczeństwo i nie zwracałam sobie głowy przygotowywaniem trików, które by mnie zapewniały, że moja prywatność nie została naruszona. Nie rozsypywałam talku na podłodze przy wejściu, nie zostawiałam włosa rozciągniętego w poprzek okiennej framugi. Rozgniewał mnie fakt, że musiałam teraz pogodzić się z tym włamaniem, rezygnując z poczucia bezpieczeństwa, które zawsze uważałam za rzecz pewną. Sprawdziłam okna, poruszając się ostrożnie po obwodzie pokoju. Nic. Poszłam do łazienki i obejrzałam tamtejsze okno. Ktoś za pomocą przecinaka zrobił niewielką kwadratową dziurkę tuż nad zamkiem. Żeby wyeliminować dźwięk tłukącego się szkła, użyto taśmy klejącej. Nadal zostały na szybie resztki kleju. Aluminiowa siatka została podjęta w jednym rogu. Najprawdopodobniej wyjęto ją, a po wszystkim wsadzono na miejsce. Całość przeprowadzono bardzo sprytnie, mogłam niczego nie zauważyć nawet przez parę tygodni. Dziura była na tyle duża, żeby umożliwić zwolnienie zamka. Wystarczyło potem podnieść okno do góry i spokojnie wejść. W łazience mam zasłonkę; niewielka dziurka w szkłe w ogóle nie była widoczna.

Wróciłam do pokoju i przeprowadziłam solidne poszukiwania. Najwyraźniej nic nie zginęło. Teraz dostrzegłam, że ktoś myszkował w komodzie między moimi poskładanymi ubraniami. Zręcznie przejrzał archiwum, zostawiając wszystko w zasadzie tak, jak było - tylko ledwie zauważalne szczegóły zdradziły mi, że ktoś tu czegoś szukał. Obrzydliwe. Nienawidziłam przebiegłości i staranności, z jaką dokonano przeszukania, tej satysfakcji, którą musiał mieć włamywacz. I po co to wszystko? Żebym się nie wiem jak wyteżała, nie potrafiłam stwierdzić, że coś zginęło. Nie mam nic cennego, a akta same w sobie też niewiele są warte. W domu trzymam głównie zamknięte sprawy, a wszystkie notatki z dochodzenia w sprawie Elaine Boldt były w biurze. Cóż innego przyciągnęło nieproszonego gościa? Martwiło mnie podejrzenie, że mogła to być robota Pat Usher. Ta kobieta musiała być znacznie bardziej niebezpieczna niż przypuszczałam, skoro była zdolna do przebiegłości i złodziejstwa.

Zadzwoiłam do zakładu ślusarskiego i umówiłam dziewczynę na wymianę zamków. Szybę w oknie mogłam wymienić sama. Zmierzyłam ją i

wysłałam. Szczęśliwie nikt nie włamał się do mojego samochodu, ale nie spodobała mi się myśl, że mógłby spróbować. Wyjęłam trzydziestkę dwójkę ze skrytki na rękawiczki i zatknęłam z tyłu za pasek dżinsów. Będę ją musiała przenieść do szafki z aktami w biurze i zostawić tam na jakiś czas. Szczęście chociaż, że biuro było całkowicie bezpieczne. Ponieważ znajduje się na pierwszym piętrze, z balkonem na widoku, raczej nikt by nie ryzykował włamania od tej strony. Budynek jest zamykany na noc, a drzwi z korytarza do mojego biura są zrobione z litego dębu, mają grubość pięciu centymetrów i chroni je podwójna zasuwka, która mogłaby puścić tylko w razie, gdyby sam zamek został wycięty piłą elektryczną. A jednak, podjeżdżając na parking na tyłach biura, czułam się niepewnie i w końcu biegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie. Odprężyłam się dopiero, kiedy otworzyłam drzwi i przekonałam się na własne oczy, że nikogo tutaj nie było.

Schowałam pistolet, wyciągnęłam akta sprawy Elaine Boldt. Wystukałam jeszcze kilka notatek, doprowadzając zapiski do chwili obecnej. Wewnętrznie nadal byłam roztrzęsiona. Powinnam była wezwać policję, ale nie chciałam tracić czasu. Próbowałam się skoncentrować na sprawie. Miałam mnóstwo pytań bez odpowiedzi i nie byłam pewna, które z nich w tym momencie były ważne. Dlaczego, na przykład, Pat Usher tak nagle zwinęła się z Boca po mojej pierwszej wizycie w tym mieście? Pewnie kiedy się zorientowała, że szukam Elaine, musiała zmienić plany. Przyjmo-owałam, oczywiście, że pojechała do Santa Teresa i że to ona włamała się do mieszkania Tillie, skąd ukradła plik rachunków. Tylko po co? Rachunki będą przychodziły nadal i jeśli miała z nich wypłynąć jakaś istotna informacja, wystarczyło poczekać na następną porcję.

Miałam jeszcze opowieść Mike'a o tym, co widział w noc zamordowania jego ciotki. Nadal nie byłam pewna, jak to ma pasować do całości, jeśli w ogóle pasowało. Faktem pozostawało, że jego szacunkowa ocena czasu zgonu Marty Grice różniła się o trzydzieści minut od czasu, gdy zdaniem jej męża i szwagierki oboje z nią rozmawiali. Czy Leonard i Lily byli w zмовie?

Pozostawała mniej ważna sprawa sąsiadki państwa Grice'ów, May Snyder, która twierdziła, że tamtej nocy słyszała z domu obok odgłosy wale-  
nia. Orris przysięga, że jego żona jest głucha jak pień i pomyliła te dźwięki z czymś innym, ale ja bym jej tak nie określiła.

Kiedy zadzwonił telefon, skoczyłam jak oparzona; odruchowo chwyciłam słuchawkę. To był Jonah. Nie zwracał sobie głowy przedstawianiem się. Powiedział tylko:

- Jest odpowiedź z Wydziału Komunikacji w Tallahassee. Chcesz zobaczyć?

- Zaraz będę - powiedziałam. Odłożyłam słuchawkę i wyszłam.

Jonah czekał na mnie w małej recepcji i kiedy tylko weszłam na posterunek, poprowadził mnie korytarzem od razu do Wydziału Osób Zaginionych.

- Jakim cudem masz odpowiedź tak szybko? - zapytałam.

Przytrzymał mi drzwi do obszernej klatki, w której między innymi stało także jego biurko. Uśmiechnął się lekko.

- To dlatego gliniarze są w tym interesie lepsi od prywatnych szpicli - stwierdził. - Mamy swobodny dostęp do informacji, o których ty nie możesz nawet marzyć.

- Słuchaj, to ja złożyłam formularz. Rejestry są ogólnie dostępne. Nie mogę się do nich dostać równie szybko jak ty, ale byłam na właściwym tropie, i ty o tym wiesz.

- Nie gorączkuj się Tylko się z tobą droczyłem.

- Bardzo mądrze. Pokaż mi to wreszcie. - Niecierpliwie wyciągnęłam rękę.

Podał mi wydruk komputerowy - kopię prawa jazdy wydanego Elaine Boldt w styczniu, z adresem jej apartamentu na Florydzie. Gdy spojrzałam na zdjęcie kobiety, wyrwał mi się mimowolny okrzyk. To była Pat Usher: te same zielone oczy, te same włosy. Było kilka różnic. Widziałam ją po wypadku samochodowym, kiedy twarz ciągle jeszcze miała posiniaczoną i podpuchniętą. Mimo wszystko podobieństwo było oczywiste. Ciężka cholera.

- Mam ją - oznajmiłam. - Hurrra, mam ją!

- Kogo?

- Jeszcze nie wiem. Teraz nazywa się Pat Usher, ale najprawdopodobniej to zmyślane nazwisko. Mogę się założyć, że Elaine Boldt nie żyje. Pat musiała o tym wiedzieć, inaczej nigdy by nie wystąpiła o prawo jazdy na jej nazwisko. Mieszkała w apartamencie Elaine od jej zniknięcia. Używała jej kart kredytowych i najprawdopodobniej korzystała też z jej kont bankowych. Cholera. Czy możemy sprawdzić ją w Centralnym Rejestrze Skazanych? Mogą nam zidentyfikować Pat Usher w parę sekund.

- Komputer wysiadł. Właśnie próbowałem. Byłem zdziwiony, że nie poprosiłaś o to wcześniej.

- Jonah, wcześniej nie miałam wystarczających danych. Miałam nazwisko, ale nie miałam identyfikatora numerycznego. Teraz mam datę urodzenia. Mogę sobie zrobić kopię z tych dokumentów?

- Te są twoje - rzekł łagodnie. - Ja już zrobiłem kopie do akt. Dlaczego sądzisz, że data urodzenia jest prawdziwa?

- Trzymam za to kciuki. Nawet jeśli zmieniła nazwisko, sensownie było zostawić własną datę urodzenia. Może była zmuszona do sfabrykowania wielu innych danych, po co jeszcze i to? Jest cwana. Nie lubi się przepracowywać. - Obejrzałam wydruk, uniosłam go do światła. - Popatrz tylko. Krzyżyk w rubryce: szkła korekcyjne. Cudownie. Musi nosić okulary w czasie prowadzenia samochodu. Wspaniale, prawda? Zobacz, ile mamy informacji. Wzrost, waga. Boże, ależ ona jest zmęczona na tym zdjęciu. I spójrz, jaka gruba. Zobacz te worki pod oczyma. O rany, żałuj, że nie słyssałeś, jak z nią rozmawiałam. Taka zadowolona z siebie...

Jonah przysiadł na brzegu biurka i uśmiechał się, najwyraźniej rozbawiony moim podekscytowaniem.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc - powiedział. - Wyjeżdżam z miasta na parę dni, więc dobrze, że odpowiedź przyszła, póki jeszcze jestem.

Po raz pierwszy od przyjścia skupiłam się na nim. Uśmiech miał lekko sztuczny, ale postawa wskazywała na pewność siebie.

- Bierzesz wolne? - spytałam.

- Coś w tym rodzaju. Camilla ma problem z jedną z dziewczynek, więc pomyślałem, że lepiej pojedę jej pomóc. Nic wielkiego, ale sama wiesz, jak to jest.

Patrzyłam na niego, przyswajając, co właśnie powiedział. Camilla zadzwoniła i kiwnęła paluszkiem. A on leciał jak strzała. Dzieciaki, pewnie.

- Co się z nią dzieje? - zapytałam.

Gestykulując od czasu do czasu, opowiedział mi długą historię o nocnym moczeniu się, koszmarnych snach i wizytach z dzieckiem u psychiatry, który zalecił sesję z całą rodziną. Wtrącałam od czasu do czasu „mhm”, nie łapiąc nawet, o którą z dziewcząt chodziło. Zapomniałam, jakie miały imiona. A, tak, Courtney i coś tam jeszcze.

- Wróć w sobotę, to przekręcę do ciebie. Może pójdziemy sobie postrzelać - powiedział i znowu się uśmiechnął.

- Świetnie. Doskonale - odparłam, oddając uśmiech. Mało brakowało, a zaproponowałabym, żeby przyprowadził jako tarczę strzelecką swoją nadętą Camillę, ale zamknęłam usta. Poczułam lekkie ukłucie żalu, które zdumiało mnie niepomieranie. Nawet nie poszłam do łóżka z tym facetem, nawet o tym nie pomyślałam... no, prawie. Zapomniałam, jak to jest z żonatyimi, jak bardzo są oni żonaci, nawet jeśli ich była jest gdzie indziej... zwłaszcza jeśli ich była jest gdzie indziej. Pewnie jeszcze nie wniosła sprawy o rozwód, co w tym momencie wszystko ułatwiało. Lada moment skończą mu się obiadki, a do tego czasu ona pewnie się zorientuje, jak niewielki jest wybór w Krainie Ludzi Stanu Wolnego.

Nagle poczułam się też bardziej pewna siebie.

- Dobra, na mnie już czas. Dzięki serdeczne. Bardzo mi pomogłeś.

- Nie ma sprawy. Jeśli byś czegoś potrzebowała, to zastępuje mnie Spillman. Streszczę mu sprawę, żeby się orientował. Uważaj na siebie. - Wycelował we mnie palcem wskazującym, jak z broni palnej.

- O mnie się nie martw. Nie ryzykuję, jeśli nie muszę - oznajmiłam. - Mam nadzieję, że ci się sprawy na północy dobrze ułożą. Pogadamy, jak wrócisz.

- Pewnie. Powodzenia.

- Wzajemnie. Pozdrów ode mnie dzieciaki.

To było głupie. W życiu ich nie spotkałam, nawet nie pamiętałam, jak miała na imię ta druga. Sarah? Ruszyłam do drzwi.

- Hej, Kinsey!

Obejrzałam się przez ramię.

- Gdzie twój kapelusz? Nieźle ci w nim. Powinnaś go nosić zawsze. Uśmiechnęłam się, pomachałam mu i wyszłam. Nie potrzebuję po rad, jak mam się ubierać.

## ROZDZIAŁ 22

Zbliżało się południe. Nagle poczułam, że umieram z głodu. Zostałam samochód przed posterunkiem policji i poszłam do pobliskiej dziury w ścianie zwanej „Jajeczko i ja”. Zamówiłam to, co zwykle: bekon, smażone jajka, tost, dżem i sok pomarańczowy, na koniec jeszcze kawę. To jedyny posiłek, z jakiego jestem całkowicie zadowolona, ponieważ zawiera wszystkie ważne dla mnie składniki: kofeinę, sól, cukier, cholesterol i tłuszcz. Jak można się oprzeć? W Kalifornii, przy tych wszystkich szaleńcach na punkcie zdrowia, sam fakt zjedzenia podobnego posiłku jest postrzegany jako próba samobójstwa.

W czasie jedzenia przeczytałam gazetę, wyłapując wydarzenia lokalne. Właśnie drugi raz ugryzłam tosta z żytniej mąki, kiedy weszła Pam Sharkey z Darylem Hobbsem, kierownikiem w Lambeth and Creek. Rzuciła na mnie okiem, więc jej pomachałam. Nie wkładałam w ten gest całego serca. Po prostu machnęłam ręką, żeby pokazać, że jestem sympatyczna i nie zamierzam jej gnębić tylko dlatego, że przy naszym ostatnim spotkaniu trochę ją przycisnęłam. Zbladła jakby, uciekła wzrokiem i minęła mnie bez słowa. Afront był tak widoczny, że nawet Daryl wydawał się zakłopotany. Ja za to byłam zdziwiona, ale nie urażona, więc tylko filozoficznie wzruszyłam ramionami. Może inżynier lotnictwa okazał się sukinsynem.

Skończyłam śniadanie, zapłaciłam rachunek, wróciłam do samochodu i podjechałam do biura, żeby zostawić w aktach informacje od Jonaha. Właśnie otwierałam drzwi z klucza, kiedy na korytarzu pokazała się Vera z California Fidelity.

- Możemy pogadać? - spytała.

- Pewnie. Wchodź. - Pchnęłam drzwi biura i weszłyśmy do środka. - Co u ciebie? - zapytałam, sądząc, że zajrzała towarzyszko.

Wsunęła za ucho kosmyk kasztanowatych włosów, patrząc na mnie przez duże, podbarwione na błękitno szkła, dzięki którym jej oczy wydawały się większe i poważniejsze.

- Słuchaj, mam do ciebie sprawę - rzekła. - Z tym Leonardem Grice'em to Sodoma i Gomora.

Zamrugałam oczyma.

- Jak to?

- Pam Sharkey musiała do niego zadzwonić po rozmowie z tobą. Nie wiem, co mu powiedziała, ale wściekł się koszmarnie. Wynajął prawnika, który wysmażył pismo do California Fidelity, grożąc, że nas zaskarży i obłupie do gołego. Idzie o miliony.

- Za co?

- Za zniestawienie, uwłaczenie, naruszenie warunków umowy, zakłócanie spokoju. Andy jest wściekły. Twierdzi, że nie wiedział, że jesteś w to zamieszana. Wykrzykuje, że ani California Fidelity, ani nikt inny nie upoważniał cię, żebyś tam chodziła i zadawała pytania... bla, bla, bla. Wiesz, jaki jest Andy, kiedy się do czegoś przyczepi. Chce cię widzieć natychmiast, jak tylko się pojawisz.

- O co ta awantura? Przecież Leonard Grice nawet nie przedstawił roszczenia!

- To już przeszłość. Zameldował się w poniedziałek z samego rana i życzy sobie dostać pieniądze natychmiast. I od razu wniósł sprawę. Andy obrabia papiery najszybciej jak może i jest naprawdę wkurzony. Powiedział Macowi, że jego zdaniem, biorąc pod uwagę, jak nam zaszkodziłaś, powinniśmy zakończyć z tobą wszelkie kontakty. Wszyscy uważają, że straszny z niego dupek, ale lepiej, żebyś wiedziała, co się dzieje.

- Na jaką sumę opiewa roszczenie?

- Dwadzieścia pięć patyków za szkody wyrządzone przez pożar. Taka była wartość ubezpieczenia, a on wyszczególnił straty co do grosza. O ubezpieczeniu na życie się nie mówi. Odebrał jakieś grosze z tego tytułu - ze dwa i pół tysiąca - mamy w aktach odnotowane, że wypłacono mu pieniądze miesiąc temu. Kinsey, Andy szuka kozła ofiarnego i ty nim będziesz. Musi na kogoś zrzucić winę, żeby Mac jego nie obciążył odpowiedzialnością.

- Niech to szlag. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. Niczego na świecie nie potrzebowałam teraz mniej niż awantury z Andym Montycki, kierownikiem działu roszczeń Towarzystwa Ubezpieczeniowego California Fidelity. Andy przekroczył czterdziestkę, był konserwatywny i niezbyt pewny siebie, człowiek, którego obsesją jest obgryzanie paznokci, a pierwszą zasadą - nie rzucać się w oczy.

- Mam mu powiedzieć, że jeszcze nie przyszłaś? - zapytała.

- Tak, zrób to dla mnie, jeśli możesz - zdecydowałam. - Sprawdzę tylko sekretarkę i znikam. - Otworzyłam szafkę, wyjęłam teczkę ze sprawą Elaine Boldt. Odwróciłam się do Very. - Wiesz, Vera, coś ci powiem. Ta sprawa aż parzy. Leonard Grice miał pół roku na wysuwanie roszczeń, a nie ruszył palcem. Teraz całkiem zniecka wywiera nacisk na towarzystwo ubezpieczeniowe i żąda wypłaty. Chciałabym wiedzieć, co go tak przypiliło.

- Muszę uciekać, zanim zaczną mnie szukać - rzekła Vera. - Nie wchodź Andy'emu w drogę, bo cię to może sporo kosztować.

Podziękowałam jej za ostrzeżenie i obiecałam, że będę w kontakcie. Wysłała na korytarz, zamknęła za sobą drzwi. Z opóźnieniem poczułam, jak policzki powlekają mi się gorącą czerwienią, a serce zaczyna łomotać. Kiedyś, w pierwszej klasie, zostałam wysłana do dyrektora szkoły za przesłanie ściagi i do tej pory nie otrząsnęłam się z przerażenia. Byłam winna przestępstwa, ale po raz pierwszy w życiu miałam aż takie kłopoty. Oto ja: nieśmiałe dziecko na chudych nogach, śmiertelnie przerażone; wróciłam do domu cała we łzach. Ciotka zabrała mnie natychmiast z powrotem do szkoły i wygarnęła wszystkim, co o tym myśli, podczas gdy ja siedziałam na korytarzu na drewnianym krzeselku i modliłam się o śmierć. Trudno mi czasem być dorosłą, gdy część mnie ciągle jest sześciolletnią dziewczynką całkowicie zdana na łaskę władz.

Spojrawszy na sekretarkę, stwierdziłam, że nie ma nowych wiadomości. Zamknęłam biuro i wyszłam z budynku frontowym wejściem, bo w ten sposób uniknęłam mijania podwójnych przeszkłonych drzwi California Fidelity. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do Tillie. Chciałam z nią pogadać i dać jej znać, co się stało. Właśnie skręcałam we Via Madrina, kiedy zerknąwszy we wsteczne lusterko, zorientowałam się, że jakiś facet na ryczącym motorze siedzi mi na ogonie. Zwolniłam lekko, żeby go przepuścić, i znowu zerknęłam w tył. Trąbił jak szalony. Co ja, u licha zrobiłam? Przejechałam mu psa, czy co? Nacisnęłam hamulec, a on także stanął, wyłączył silnik, kopnięciem ustawił podpórkę. Ubrany był w czarny



błyszczący kombinezon, do tego miał czarne rękawice i buty oraz czarny kask z przydymioną szybką. Wysiadłam z samochodu i ruszyłam w jego stronę. Podchodząc do mnie, motocyklista ściągał kask. O, cholera, to Mike. Powinnam się domyślić. Różowy grzebień na głowie jakby z lekka przygasł. Zastanowiłam się, czy Mike robił sobie kolor farbą do włosów, barwnikiem spożywczym czy może gotowanymi burakami? Był podminowany.

- Boże, trąbię na ciebie już parę przecnic! Dlaczego nie oddzwoniłaś? Zostawiłem wiadomość w poniedziałek.

- Wybacz. Nie wiedziałam, że to ty za mną jechałeś. Wydawało mi się, że to ty miałeś dzwonić do mnie.

- Próbowałem, ale ciągle odzywała się sekretarka. Gdzie byłaś?

- Wyjechałam z miasta. Wróciłam wczoraj wieczorem. A co? Coś się stało?

Ściągnął rękawice, wetknął je w kask, który dzierzył pod pachą.

- Myślę, że mój wujek ma kochankę. Przyszło mi do głowy, że chciała-byś o tym wiedzieć.

- Skąd o niej wiesz?

- Zabierałem... towar i widziałem wujka, jak wychodził z budynku obok.

- Z bloku?

- Tak, z bloku. Tego z apartamentami.

- Kiedy to było?

- W niedzielę wieczorem. Dlatego zadzwoniłem od razu w poniedziałek z rana. Najpierw nie byłem pewien, że to on. Tak sobie pomyślałem, że to jego samochód podjeżdża pod dom, ale było prawie zupełnie ciemno i niezbyt dobrze widziałem. Myślałem, że przyjechał po coś do domu, więc związałem się jak w ukropie, żeby cały towar upchnąć do worka. Rany, nie wiem, jak bym się miał tłumaczyć. Byłem taki spanikowany, że w końcu schowałem się w budce i patrzyłem przez niedomknięte drzwi. A on wszedł do bloku.

- Dlaczego uważasz, że to była jego kochanka?

- Bo go z nią widziałem. Nie miałem nic innego do roboty, więc przeszedłem przez ulicę, schowałem się za drzewem i czekałem, aż wyszli. Nie było go pięć, najwyżej dziesięć minut, a potem zgasły światła w mieszkaniu po lewej, na pierwszym piętrze. Zaraz potem wyszli z jakimiś bagażami i wsiedli do samochodu.

- Przyjrzałeś się tej kobiecie?

- Niespecjalnie. Nie było jej dobrze widać z tego miejsca, gdzie stałem, a poza tym szli dosyć szybko. A kiedy wsiedli do samochodu, zaraz się do siebie przykleili. Dużo nie brakowało, żeby ją na tym przednim siedzeniu połamał. Jakieś wariactwo. To znaczy, normalnie ludzie w tym wieku tego nie robią, rozumiesz. A poza tym, nigdy nie myślałem o nim w ten sposób. Myślałem, że z niego jest już zasuszony staruszek, któremu w ogóle nie staje. Czegoś takiego się nie spodziewałem.

- Mike, on ma najwyżej pięćdziesiąt dwa lata! Mógłbyś już przestać to wałkować? Jak ona wyglądała? Widziałeś ją kiedyś wcześniej?

Mike podniósł dłoń do brody.

- Siegała mu mniej więcej dotąd. To widziałem. Miała włosy związane z tyłu apaszką na babuszkę, czy jak to się tam nazywa. Chyba nigdy przedtem jej nie widziałem. To znaczy, nie jestem pewien. Właściwie, to miałem wrażenie, że gdzieś ją już spotkałem. Laleczka i tyle.

- Słuchaj, wyświadczyć mi przysługę. Znajdź jakiś papier i kawałek ołówka i zapisz wszystko, dopóki jeszcze masz na świeżo w pamięci. Zannotuj datę i godzinę i wszystko, co ci się przypomni. Nie musisz pisać, co tutaj robiłeś. Zawsze możesz powiedzieć, że przyszedłeś sprawdzić, czy z domem wszystko w porządku, albo coś w tym rodzaju. Zrobisz, o co cię proszę?

- Pewnie, nie ma sprawy. A co ty masz zamiar zrobić?

- Jeszcze nie zdecydowałam.

Wróciłam do samochodu i pięć minut później naciskałam brzęczyk domofonu połączonego z mieszkaniem Tillie.

Czekała na mnie przy drzwiach i od razu zaprowadziła do salonu. Na nosie miała nisko zsunięte okulary i zerknęła na mnie znad oprawek. Zajęła miejsce w bujanym fotelu i wzięła w ręce jakąś robótkę. Wyglądało to na fragment tkaniny obiciowej, drukowany w widoczek gór porośniętych lasem, pasących się tu i ówdzie sarenki i strumyczka tryskającego ze skał. Miała mnóstwo kolorowych kłębków wełny i wpychała je w płótno szydełkiem. Zwierzęta wystawały tak, że były prawie trójwymiarowe; okolo-  
ne szwami, dawały efekt pikowania.

- Co to takiego? - zapytałam, siadając. - Wypychasz to?

Uśmiechnęła się leciutko. Nareszcie udało jej się doprowadzić trwałą ondulację do pożądanego stanu. Teraz miała na głowie gniazdko zwartych kędzierzawych loczków koloru morelowego.

- A tak, wypycham. To się nazywa trapunto. Kiedy skończę, dam

do usztywnienia i oprawienia w ramki. Robię to na kościelną wentę dobroczynną na jesieni. Te kordonki mam z nakrętek z butelek od lekarstw, więc następnym razem, kiedy otworzysz tylenol albo pigułki na przeziębienie, zachowaj opakowanie dla mnie. Siadaj. Nie widziałam cię strasznie dawno. Czego się dowiedziałas?

Zdałam jej krótkie sprawozdanie z wypadków od minionego piątku, kiedy to spotkałyśmy się ostatnio. Zastosowałam odrobinę cenzury. Powiedziałam jej, że znalazłam kota, ale ominęłam sprawę magazynu narkotyków w sąsiedztwie. Opowiedziałam o Aubreyu Danzigerze i o późniejszej mojej konfrontacji z Beverly, o walizach, o wypadzie na Florydę, o groźbie procesu sądowego i powtórzyłam historyjkę Mike o przyjaciółce Leonarda Grice'a na piętrze tego domu. W tym miejscu Tillie zdjęła okulary i nawet je złożyła.

- Nie chce mi się wierzyć - oznajmiła. - Mike musiał być pod wpływem narkotyków.

- Pewnie, że był na haju, ale odrobina trawy nie wywołuje halucynacji.

, - No więc wszystko zmyślił.

- Powtarzam ci tylko, co mi powiedział.

- Któż by to mógł być, na Boga!?! Gotowa jestem gwarantować, że Leonard nie miał romansu z żadną z moich lokatorek! W dodatku, sądząc ze słów Mike'a, chodziłoby o mieszkanie Elaine, a to jest już po prostu niemożliwe.

- Daj spokój, Tillie, nie bądź taka naiwna. To świetny układ. Dlaczego nie miałby tutaj mieć kochanki?

- Bo w tym budynku nie mieszka żadna, która by pasowała do takiego opisu.

- A co z tą spod szóstki? Tą, u której miałas być rano, po włamaniu.

- Ma siedemdziesiąt pięć lat.

- Jest mnóstwo innych lokatorów.

- Same młode małżeństwa, Kinsey. Więcej mam samotnych mężczyzn, którzy by poszli z Leonardem, niż kobiet.

- I to też możliwe. A co z Elaine? Dlaczego to nie może być ona? Tillie uparcie kręciła głową.

- A może, to ty? - zapytałam.

Tillie roześmiała się w głos, aż przyłożyła rękę do piersi.

- Pochlebiasz mi. Chciałabym wierzyć, że ciągle jeszcze jestem zdolna

do wesołej zabawy w samochodzie, ale to zupełnie nie w moim stylu. Poza tym, Mike mnie dobrze zna. Rozpoznałby mnie nawet w ciemnościach.

Musiałam się z tym zgodzić. Rzeczywiście nie potrafiłam sobie wyobrazić Tillie w namiętym uścisku z Leonardem Grice'em. Po prostu mi to nie pasowało.

- A co z Elaine? - naciskałam. - Może romansowała z Leonardem i w końcu postanowili pozbyć się jego żony? Ona dokonuje mordu, podczas gdy on jest u siostry. Wyjeżdża na Florydę kilka dni później i siedzi cicho przez pół roku, czekając, aż on uporządkuje wszystkie swoje sprawy, żeby mogli razem uciec do raj. W chwili gdy zdają sobie sprawę, że coś podejrzewam, przyspieszają tempo, chcą błyskawicznie zniknąć z miasta.

Tillie patrzyła na mnie długą chwilę.

- A kim jest Pat Usher?

Wzruszyłam ramionami.

- Może zjednali sobie jej pomoc, więc ich kryła.

- A kto się tutaj włamał i po co? Myślałam, że jesteś przekonana, że to była Pat Usher.

Poczułam irytację.

- Tillie, nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie pytania. Mówię tylko, że to możliwe, że Leonard miał gdzieś tutaj kochankę. Może to była Pat.

Tillie nie odezwała się słowem. Założyła okulary i zabrała się do swojego górskiego obrazka z bawełny, produkując wybrzuszenie, które wyglądało jak szczyt świętej Heleny tuż przed wybuchem.

- Możesz mi dać klucz do mieszkania Elaine?

- Oczywiście - zgodziła się. - Ja też idę.

Odłożyła robótkę i podeszła do sekretarzyka, z szuflady wyciągnęła komplet kluczy. Podała mi też plik rachunków; wetknęłam je w tylną kieszeń spodni. Coś mi się mgliście przypomniało, ale nie wiedziałam co.

Zamknęła swoje mieszkanie i poszłyśmy do windy.

- Nie słyszałaś czyichś kroków nad głową?

Obrzuciła mnie spojrzeniem.

- Nie, ale ten dom jest porządnie zbudowany, wcale nie musisz słyszeć, że ktoś jest na górze. Naprawdę wierzysz, że on tam kogoś miał?

- To by miało sens - uznałam. - Po zniknięciu Elaine jej mieszkanie jest

wymarzonym miejscem schadzek. Może Pat Usher znalazła sposób, żeby się tam dostać. Na pewno jest gdzieś w mieście. Jeżeli miała dostęp do mieszkania Elaine na Florydzie, dlaczego nie tutaj? Swoją drogą, byłaś w domu w niedzielę wieczorem?

Pokręciła głową.

Drzwi windy otworzyły się na pierwszym piętrze. Tillie ruszyła korytarzem w lewo, mówiąc do mnie nad ramieniem.

- Poszłam na spotkanie w kościele i wróciłam po dziesiątej.

Dotarła do drzwi mieszkania Elaine i przekreśliła klucz w zamku.

- Na pewno nikogo tu nie ma - oznajmiła, wchodząc.

Oczywiście, nie miała racji.

Wim Hoover, lokator spod dziesiątki, leżał rozciągnięty w przedpokoju, z dziurą w głowie, tuż za prawym uchem. W powietrzu unosił się zatechły zapach dymu papierosowego i cuchnący smród rozkładającego się ciała. Był martwy przynajmniej od trzech dni.

Tillie pobladła i biegiem ruszyła do siebie, wzywać policję.

## ROZDZIAŁ 23

Jak to miałam w zwyczaju, obejrzałam pośpiesznie mieszkanie w czasie, gdy Tillie dzwoniła po gliny. Poprosiłam ją, żeby nie wspominała o mnie, bo nie miałam czasu na przesłuchania i tanie dowcipy porucznika Dolana. Miałam już niemałe kłopoty w California Fidelity, nie chciałam jeszcze do kompletu podpaść Dolanowi. Cuchnęło tak koszmarnie, że Tillie nie powinna mieć żadnych kłopotów z wytłumaczeniem, co ją sprowadziło na górę.

Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby odgadnąć, iż mieszkała tutaj Pat Usher. Nawet nie próbowała zatrzeć śladów swojej obecności. Cieniuteńka pelerynka, w której widziałam ją w Boca Raton, leżała rzucona nie dbale obok niepościelonego łóżka. Pat najwyraźniej korzystała ze wszystkiego, co jej się przydało: jedzenia, ubrań, kosmetyków. Wszędzie poniewierały się brudne naczynia, popielniczki wypełnione po brzegi, śmieci wysypywały się z papierowego worka ze starannie wywinętym brzegiem. Brygada kryminalna będzie miała tu niezły ubaw, ale mnie interesował gabinet. Wszystkie szuflady biurka były otwarte, ich zawartość porozrzucana, foldery poprzedziane na pół. Wyglądało to na normalny u Pat atak gniewu i wściekłości. Ciekawa byłam, czego szukała i czy znalazła. Niczego nie dotykałam. Minęło pewnie pięć minut, od kiedy Tillie zeszła na dół, i czas już było się zbierać. Nie chciałam być w pobliżu, kiedy granatowi z wyciem syren zjawiają się na widoku.

Przystanąłam jeszcze w korytarzu i spojrzałam na Wima. Leżał twarzą do dołu, jedną dłoń miał pod policzkiem, jakby drzemał. Jego ciało było

spuchnięte, skóra pociemniała, a dziura po kuli tak okrągła jak dziurka od sznurowadła. To była pewnie dwudziestka dwójka. Broń zazwyczaj nieśmiertelna, ale jeśli wpuścić nabój do ludzkiej czaszki, potrafi błyskawicznie zrobić z mózgu jajecznicę. Biedny Wim. Dlaczego go zabiła? Nie wątpiłam, że zrobiła to Pat. Czy zamordowała także Marty Grice? Autopsja nie wykazała u niej ran postrzałowych, jedynie liczne ślady uderzeń nie zidentyfikowanym tępym narzędziem. Co za narzędzie, gdzie ono było?

Zjechałam windą na parter i wyszłam z budynku, nie rozmawiając już z Tillie. Otworzyłam samochód z kluczyka i wsiadłam, nagle świadoma, że w tylnej kieszeni dzinsów zaszeleściły mi papiery. Wyciągnęłam plik rachunków, które dała mi Tillie, i wtedy bezwolnie wyrwało mi się:

- Och!

Właśnie mnie oświeciło, czego mogła szukać na górze Pat Usher. Paszportu Elaine Boldt. Sama robiłam to samo, kiedy drugi raz byłam w jej mieszkaniu i wetknęłam dokument do tylnej kieszeni spodni. Nie przypomniałam sobie, żebym go potem zabrała do biura, więc musiał być gdzieś w moim mieszkaniu. Czy właśnie po to Pat się tam włamała? Gdyby go znalazła, byłaby prawdopodobnie już na pokładzie samolotu odlatującego w siną dal. Z drugiej strony, Leonard Grice nie odebrał jeszcze pieniędzy z ubezpieczenia, więc może jednak oboje tkwili w mieście.

Włączyłam silnik i odjechałam, zdecydowana zniknąć z widoku, zanim pojawią się gliny. Myślałam intensywnie. Pat i Leonard musieli najpierw pozbyć się Marty, a potem Elaine; może dlatego, że odgadła, co się wydarzyło. W każdym razie otwierało to przed nimi zupełnie nowe możliwości. Zyskali dostęp do własności Elaine Boldt, do wszystkich jej kont bankowych, mogli dysponować jej kartami kredytowymi. Leonard oczekiwał pół roku, żeby uporządkować sprawy spadkowe po śmierci Marty. Wyplata z ubezpieczenia nie była duża, ale jeśli dodać aktywa Elaine Boldt, gra zaczynała być warta świeczki. W chwili gdy Leonard uzyskał wyłączne prawo własności nieruchomości na Via Madrina, mógł ją sprzedać za jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. Działka byłaby prawdopodobnie warta więcej, gdyby dom Spalił się doszczętnie. Na razie wystarczyło tylko, żeby pozował na wdowca pogrążonego w żałobie, udając brak zainteresowania sprawami materialnymi. Nie tylko zyskiwał sympatię otoczenia, ale też odwracał uwagę od prawdziwego motywu, którym były pieniądze. Układ mógł

działać bez zarzutu, tyle że nagle wypłynęła Beverly Danziger, potrzebująca podpisu siostry na jakimś mało ważnym dokumencie. Twierdzenie Pat, że Elaine wyjechała do Sarasoty do przyjaciół, zwyczajnie nie wytrzymało bliższego sprawdzenia, bo nie sposób było dokładnie określić jej miejsca pobytu. Tylko jak miałam cokolwiek z tego udowodnić? Spekułowałam jak szalona, prawdopodobnie popełniłam kilka pomyłek, ale nawet gdybym miała całkowitą rację, musiałam przedstawić policji jakieś dowody.

Na razie Leonard zaczął mi skutecznie blokować ruchy, umieszczając mnie na cenzurowanym, przynajmniej w towarzystwie ubezpieczeniowym. Nie śmiałam go ponownie wypytywać i wiedziałam, że powinnam w ogóle zachowywać się wyjątkowo ostrożnie. Cokolwiek zrobię, może z jego punktu widzenia zostać zinterpretowane jako zniesławienie, niepokojenie albo naruszenie dóbr osobistych. W co ja się wpakowałam? Leonard Grice i Pat Usher będą blokowali moje dochodzenie.

Zatrzymałam się, żeby kupić szybę, a potem wróciłam już prosto do domu. Musiałam znaleźć paszport Elaine.

Sprawdziłam w workach na śmieci, za poduszkami kanapy, pod meblami i we wszystkich innych dziurach, gdzie mam zwyczaj utykać różne dziwne rzeczy. Nie przypomiinałam sobie, żebym go wkładała do akt, a nie przyszło mi do głowy, żeby go specjalnie chować. Wiedziałam, że gdzieś go rzuciłam, co oznaczało, że gdzieś musiał być. Stałam, obracając się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni, przesuwając wzrokiem po całym pokoju: blat biurka, biblioteczka, stolik do kawy, niewielka lada, oddzielająca część kuchenną.

Wysłam do samochodu i zajrzałam do schowka na rękawiczki, do kieszeni na mapy, za siedzenie, za osłonę przeciwsłoneczną, do aktówki, do kieszeni zakietu... cholera jasna. Wróciłam do mieszkania i zaczęłam od początku. Gdzie ja go wetknęłam? Mógł być w biurze. Zdecydowałam się zajrzeć tam po zamknięciu California Fidelity i wyjściu Andy'ego Montycki. Boże, swoją drogą, co on wiedział? Zaczynałam do czegoś dochodzić i miałam tylko nadzieję, że zdążę skończyć, zanim się zrobi nerwowy i zapłaci roszczenie.

Zerknęłam na zegarek. Minęła pierwsza, a o czwartej przychodziła dziewczyna od ślusarza. Siadłam przy biurku i wyciągnęłam akta sprawy Elaine Boldt. Może coś przegapiłam. Zagryzłam wargi i zaczęłam wyrывkowo przeglądać notatki. Czułam się, jakbym je oglądała już setki razy i



nie potrafiłam uwierzyć, że dostrzegę coś nowego. Wróciłam do początku i przeczytałam wszystkie raporty po kolei. Przyczepiłam swoje kartki ze wskazówkami na tablicy nad biurkiem, najpierw w kolejności, potem jak leci, żeby sprawdzić, czy nie wyjdzie na jaw jakaś sprzeczność. Przeczytałam wszystkie materiały, które Jonah skopiował mi z akt Wydziału Zabójstw, a potem oglądałam duże połyskujące obrazy ze sceny morderstwa, aż nabrałam pewności, że znam wszystkie szczegóły na pamięć. Jak zabito Marty Grice? Tępe narzędzie to mogło być naprawdę wszystko.

Wiele rzeczy mnie niepokoiło. Mniej ważne pytania kłębiły mi się w głowie. Zaczęłam wierzyć, że Elaine nie żyje, że została zabita już jakiś czas temu. Nie miałam dowodu, ale podejrzewałam, że Pat Usher podała się pod Elaine Boldt i zreżymie odegrała całą tę sfigowaną wyprawę na Florydę, zostawiając fałszywy ślad, by stworzyć wrażenie, że Elaine jest żywa i ma się dobrze, podczas gdy w rzeczywistości była już martwa. Jeśli jednak zabiła ją w Santa Teresa, to co zrobiła z ciałem? Pozbycie się ciała nie jest takie proste. Można je wrzucić do oceanu, ale wtedy napuchnie i po jakimś czasie wypłynie. Można schować gdzieś w krzakach, wtedy jakiś miłośnik joggingu natknie się na nie najdalej o szóstej rano. Co jeszcze można zrobić? Trupa można zagrzebać. Może ciało zostało ukryte w piwnicy domku Grice'ów? Przypominam sobie stan tamtejszej podłogi: pełno pokruszonego betonu i brudu. Może dlatego Leonard nie pozwolił tam wejść ekipie porządkowej. Kiedy za pierwszym razem przeszukiwałam dom Grice'ów, ucieszył mnie uśmiech losu, ale nawet wtedy wydawało mi się to zbyt piękne żeby było prawdziwe. Może Leonard Grice nie życzył sobie, żeby eksperci obstukiwali mu ściany i podłogi.

Nie dawała mi spokoju także Pat Usher. Jonah nie miał możliwości sprawić jej przez Centralny Rejestr Skazanych, bo wysiadł komputer. Teraz już pojechał do Idaho, ale może Spillman zechce mi pomóc. Nie przypuszczałam, żeby się naprawdę nazywała Pat Usher, ale mogło się to okazać pseudonimem... jeżeli miała przeszłość kryminalną, co jak dotąd nie było pewne. Wyjęłam podkładkę i zrobiłam notatkę. Może dzięki paru sądowym rejestrom uda mi się dowiedzieć, kim ona jest i jak się związała z Leonardem Grice'em.

Przejrzałam plik nowych rachunków Elaine, który dostałam od Tillie, wyrzuciłam kilka śmieci. Przyjrzałam się zaproszeniu na wizytę kontrolną u dentysty i odłożyłam je na bok. Elaine Boldt nie prowadziła samochodu,

więc korzystała z usług w niewielkiej odległości od miejsca zamieszkania. Przypomniałam sobie pierwszy plik rachunków - jeden z nich pochodził od tego samego dentysty, Johna Picketta, doktora chirurgii dentystycznej. Gdzie ja go już spotkałam? Przekartkowałam materiały z Wydziału Zabójstw, spoglądałam na każdą kolejną stronę. Ach. Nic dziwnego, że nazwisko wydawało mi się znajome. To właśnie ten dentysta dostarczył rentgen jamy ustnej, który posłużył do identyfikacji zwłok Marty Grice.

Rozległo się pukanie do drzwi. Drgnęłam, podniosłam wzrok. Czwarta.

Wyjrzałam przez judasza i otworzyłam drzwi. Dziewczyna od ślusarza była młoda. Mogła mieć jakieś dwadzieścia dwa lata. Błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

- Cześć - powiedziała. - Nazywam się Becky. Dobrze trafiłam? Próbo-  
wałam od frontu, ale tamten pan powiedział, że pewnie chodzi o ciebie.

- Tak, tak. Wchodź.

Była wyższa ode mnie i bardzo szczupła, długie ręce miała gołe po ramiona, niebieskie dzinsy wisały jej na szczupłych biodrach. Nosiła pas z narzędziami przewieszony przez pierś; młotek wyglądał niczym broń w kaburze. Jasne włosy miała obcięte krótko, z chłopięcym kosmykiem na czole. Piegi, błękitne oczy, jasne rzęsy, żadnego makijażu, cała ta niezdarność młodości. Budowę miała mocną i zdecydowaną, wyglądała zdrowo i pachniała mydłem „Ivory”.

Poprowadziłam ją do łazienki.

- Chciałabym mieć na tym oknie coś trudnego do sforsowania.

Oczy jej rozbłysły, kiedy zobaczyła dziurkę w szkle.

- Ojej! Całkiem niezłe. Zręczna robota. Chcesz nowe zamki na wszystkich oknach czy tylko na tym?

- Chcę nowe zamki wszędzie, łącznie z biurkiem. Możesz naprawić rygiel?

- Jasne. Mogę zrobić wszystko, co trzeba. Jeśli masz nową szybę, od razu ją wstawię. Uwielbiam taką robotę.

Zostawiłam ją samą. Po fakcie zebrałam kilka brudnych ubrań rozrzuconych po salonie. Nic tak jak spokojne spojrzenie obcego nie alarmuje świadomości człowieka. Dwa ręczniki plażowe, podkoszulkę i ciemną bawełnianą letnią sukienkę rzuciłam na kupę innych brudnych rzeczy w pralce. Ponieważ żyję na niewielkiej przestrzeni, wykorzystuję pralkę jako

kosz na brudną bieliznę. Wsypałam proszek. Ustawiłam program na najkrótszy cykl i już miałam domknąć drzwiczki, kiedy zauważyłam paszport Elaine wystający z bocznej kieszeni džinsów. Pewnie krzyknęłam, zaskoczona, bo Becky wystawiła głowę zza drzwi łazienki.

- Wołałaś mnie?

- Nie, nie. Po prostu znalazłam coś, czego długo szukałam.

- Aha. W porządku. To masz szczęście. - Wróciła do pracy. Wetknęłam paszport na tył dolnej szuflady w biurku i zamknęłam ją. Dzięki Bogu miałam paszport. Dzięki Bogu, że się znalazł. Jak talizman, jak dobry omen. Podniesiona na duchu zdecydowałam, że mogę wystukać swoje notatki na maszynie do pisania, więc wyjęłam ją i ustawiłam na biurku. Słyszałam, jak Becky wali czymś w ramę. Po kilku chwilach znowu wystawiła głowę z łazienki.

- Hej, Kinsey? Ono jest potwornie spaczzone. Chcesz, żebym naprawiła?

- Chętnie, czemu nie? - zgodziłam się. - Jeśli zdołasz doprowadzić do tego, że będzie dobrze chodziło, znajdę ci jeszcze kilka zadań.

- Fajnie - ucieszyła się i zniknęła.

Usłyszałam straszny hałas rozbierania ramy okiennej na części pierwsze. Pracowała wyraźnie z animuszem i entuzjazmem. Chyba słyszałam też, jak coś trzasnęło.

- Nie przejmuj się hałasem - zawołała. - Kiedyś widziałam, jak robił to mój ojciec, to bułka z masłem.

Po chwili przeszła przez pokój cichutko, na paluszkach. Położyła palec na wargach.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam w pracy. Muszę iść do samochodu po linkę. Rób swoje - wyszeptała ochryple. Miało to przeszkadzać mniej, niż gdyby mówiła normalnym głosem.

Wywróciłam oczyma i zaczęłam stukać w klawisze. Potem musiałam jeszcze wstać, żeby jej otworzyć. Przeprosiła krótko i wróciła do łazienki. Pisałam sprawozdanie i rozliczenie dla Julii Ochsner. Becky w łazience stukała w coś młotkiem.

Po jakimś czasie ukazała się ponownie.

- Gotowe. Chcesz wypróbować?

- Za chwilkę.

Skończyłam wystukiwać adres na kopercie, wstałam, przeszłam do łazienki. Pewnie tak to jest, jak się ma małe dziecko. Hałas, przeszkadzanie,

ciągle zwracanie uwagi. Nawet zupełnie przeciętne matki niebotycznie mnie zdumiewają. Boże, co za hart ducha.

- Popatrz tylko - zachęcała mnie uszczęśliwiona. Podniosła okno.

Przedtem czynność ta przypominała dźwiganie ciężarów. Okno zacinało się w połowie drogi, a potem zgrzytało, wreszcie niespodziewanie wyrwało w górę i waliło we framugę. Żeby je opuścić, musiałam praktycznie uwiesić się na nim całym ciężarem, z wysiłkiem ściągnając je centymetr po centymetrze. Teraz jeździło gładko.

Dziewczyna odsunęła się na bok, żebym mogła spróbować sama. Sięgnęłam, zupełnie nie przygotowana, że opadnie tak szybko. Ciężarki huknęły w sworznie.

Becky wybuchnęła śmiechem.

- Mówiłam ci, że działa.

Patrzyłam oniemiała raz na nią, raz na framugę. Dwie myśli zaległy mi się w głowie równocześnie. Pomyślałam o doktorze Pickecie i rentgenie jamy ustnej oraz o skardze May Snyder, że słyszała głośne walenie w noc śmierci Marty.

- Muszę wyjść - oznajmiłam. - Skończyłaś już?

Roześmiała się znowu tym wymuszonym śmiechem z fałszywą wesołością, którym człowiek się śmieje, kiedy odnosi wrażenie, że ma do czynienia z kimś dziwnym.

- Jeszcze nie wszystko. Mówiłaś, że masz dla mnie inne zajęcia.

- Jutro. Albo kiedyś indziej - powiedziałam. - Naprawdę jestem ci wdzięczna za pomoc.

Pojechałam znowu w okolice mieszkania Elaine Boldt i poszukałam gabinetu doktora Picketta na Arbol. Widziałam go już wcześniej w jednym z tych jednopiętrowych domków z kołatkami, niegdyś tak powszechnych w tej dzielnicy. Większość z nich została przekształcona w filie agencji nieruchomości albo sklepy z antykami, które wyglądały jak zatłoczone mieszkania z szyldem nad frontowymi drzwiami.

Doktor Pickett wybrukował kawałek trawnika, na którym zazwyczaj rosną kwieciste krzewy. Zyskał w ten sposób miniaturowy parking. Stał na nim tylko jeden samochód, buick z 1972 roku, z tablicą rejestracyjną FALS TTH. Zaparkowałam obok, zamknęłam drzwiczki kluczykiem i podeszłam do ganku. Napis na drzwiach głosił „PROSZĘ WEJŚĆ”, tak więc zrobiłam.

Wnętrze przypominało moją szkołę podstawową: błyszcząca drewniana podłoga i zapach zupy jarzynowej. Słyszałam, jak ktoś kręci się po kuchni.

Gdzieś tam grało radio, nastawione na muzykę country. Podniszczone drewniane biurko ustawione pod kątem witało w korytarzu, na nim widniał dzwonek, a obok niego napis: „PROSZĘ DZWONIĆ”. Uderzyłam dłonią w przycisk.

Po prawej znajdowała się poczekalnia urządzona w nowoczesnym duńskim stylu: plastikowe fotele i niskie stoliki z drewnianego laminatu. Czasopisma ułożono równo, ale podejrzewałam, że prenumerata dawno już wygasła. Zauważyłam egzemplarz „Life” z hasłem „Młodziutka gwiazda filmowa Janice Rule” na okładce. Między recepcją a gabinetem doktora Picketta wzniesiono przepierzenie. Przez otwarte drzwi dojrzałam staromodny fotel dentystyczny z czarnym siedzeniem, obok biały porcelanowy zlew. Taca z narzędziami była okrągła i najwyraźniej obracana na metalowym ramieniu. Przykryta białym papierem, jak serwetą rozpostartą na obrusie w restauracji. Na niej wszystkie narzędzia leżały równym rzędem niby w muzeum stomatologicznym. Bardzo się ucieszyłam, że akurat nie potrzebowałam czyszczenia zębów.

Wzdłuż ściany stało kilka zbitych z drewna szafek na akta. Nie pilnowane. Usłyszałam w duszy podszept demona. Sumiennie przycisnęłam dzwonek jeszcze raz, ale radio zagłuszało wszystko. Ten rodzaj muzyki oraz poezji zawsze łamał mi serce.

Na każdej szufladzie znajdowała się miedziana ramka, w którą wsunięto biały kartonik. „A- C” widniało na pierwszym, „D-F” na następnym. Tych starych szafek nie da się zamknąć na klucz. To znaczy, niektóre się da, ale tych akurat nie. Mogłabym narobić niezłego szumu. Ale mogłam też być na złym tropie, a wówczas byłaby to tylko strata czasu, mojego także. Wahałam się, ponieważ sądy są naprawdę kapryśne w kwestiach integralności dowodów. Niemile widziane jest uciekanie się do kradzieży, by zdobyć informacje, które następnie będzie się przedstawiało jako „dowody oskarżenia oznaczone A i B”. Gliny mają obowiązek pozyskać wszelkie materiały, posegregować je, oznaczyć i prowadzić szczegółowe rejestry, skąd pochodzą oraz kto miał do nich dostęp. To się nazywa łańcuch dowodów. Czytałam, stąd wiem.

- Hop, hop! - zawołałam. Odczekałam chwilę, zastanawiając się, czy „hop, hop”, podobnie jak „mama” albo „tata” istniało w większości języków. Gdyby w ciągu następnych dziesięciu sekund nikt nie zareagował, zamierzałam radzić sobie sama.

## ROZDZIAŁ 24

I okazała się pani Pickett. W każdym razie założyłam, że to była ona. Tęga, o dużej, okrągłej twarzy i nosie jak u mopsa, nosiła okulary bez oprawek. Ubrana była w dżersejową sukienkę, granatową z nadrukiem białych strzałek lecących we wszystkich kierunkach. Włosy miała ściągnięte gumką na czubku głowy, loczki spływały jej na głowę jak woda z fontanny. Miała na sobie biały fartuch, odruchowo wygładzała materiał.

- Tak mi się zdawało, że kogoś tu słyszałam - stwierdziła. - Chyba się nie znamy? - Głos miała miękki, naznaczony lekkim akcentem południa.

Musiałam w ułamku sekundy zdecydować, czy mówić prawdę. Wyciągnęłam do niej rękę i przedstawiłam się.

- Jestem prywatnym detektywem - dodałam.

- Naprawdę? - Oczy jej się zaokrągliły jak spodki. - Co ja mogę dla pani zrobić?

- Nie jestem zupełnie pewna. Czy pani nazywa się Pickett?

- Tak, to ja. Mam nadzieję, że John nic nie przeskrobał. - Jej głos wznosił się i opadał melodyjnie, przepełniony napięciem.

Pokręciłam głową.

- Interesuje mnie sprawa śmierci kobiety, która mieszkała w okolicy...

- Założę się, że mówi pani o Marty Grice.

- Rzeczywiście.

- Och, czy to nie straszne? Bardzo byłam przejęta, kiedy się o tym

dowiedziałam. Co za czasy, żeby taką miłą kobietę spotkał taki los? No, ale tak to właśnie bywa.

- Straszne - zgodziłam się.

- I wie pani, co? Nie złapali mordercy!

- Marta Grice była waszą pacjentką, prawda?

- Tak, to się zgadza. Trudno spotkać miłą osobę. Wie pani, miała zwyczaj czekać na przyjęcie tutaj. Siadywała ze mną i rozmawiałyśmy sobie. Kiedy artretyzm dawał mi się we znaki, poradziła mi, jak mu się nie dać. Nigdy nie widziałam Johna tak poruszonego jak wówczas, kiedy trzeba było identyfikować zwłoki. Pewnie nie spał przez tydzień.

- Czy to właśnie on zrobił prześwietlenie jamy ustnej w czasie autopsji?

- Nie, to zrobił patolog. John przyniósł nasze zdjęcie rentgenowskie i od razu na miejscu porównali. Oczywiście, nie było najmniejszych wątpliwości. Powiedziano nam, że to tylko formalność. John robił jej prześwietlenie najdalej półtora miesiąca przed śmiercią. Tak mi żal tego jej męża... Byliśmy na pogrzebie, naprawdę, zrobiłam z siebie wariatkę. Płakałam jak dziecko i John też. No tak, ale to pewnie z nim pani by chciała rozmawiać. Dzisiaj ma wolne, ale powinien niedługo wrócić. Miał załatwić kilka spraw. Może pani poczekać albo zajrzeć później.

- Myślę, że równie dobrze może mi pomóc pani.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - rzekła z powątpiewaniem. - Nie jestem ekspertem, ale zawsze asystuję mężowi. Często powtarza, że mogłabym pewnie zrobić plombę równie dobrze jak on, ale widzi pani, ja nie przepadam za nowocainą. Nie umiem robić zastrzyków. Ręce mi lodowacieją, robi mi się gęsia skórka... - Zatarła dłonie i wstrząsnęła się, pokazując, jak ją to denerwuje. - Proszę pytać, o co pani chce.

- Doktor Pickett miał także pacjentkę o nazwisku Elaine Boldt - zaczęłam. - Czy może mi pani powiedzieć, kiedy była tutaj po raz ostatni?

- Nazwisko wydaje mi się znajome, ale nie potrafię jej sobie skojarzyć. Musiała dopiero zacząć do nas przychodzić. Gdyby była więcej niż raz, raczej bym ją zapamiętała. - Przynęła się do mnie bliżej. - Pewnie nie może mi pani zdradzić, jak to się wiąże... - zapytała konfidencjonalnym tonem.

- Nie mogę. Mogę tylko powiedzieć, że były przyjaciółkami. Pani Boldt mieszkała tuż obok pani Grice.

Pani Pickett lekko skinęła głową, poruszyła brwiami, jak gdyby pojęła głęboki sens rzeczy i nie zamierzała zdradzić ani słowa. Podeszła do szafek z aktami i wyciągnęła górną szufladę. Stałam tuż za nią. Ciekawa byłam, czy zabroni mi zaglądać przez ramię, ale najwyraźniej nie miała zamiaru. Szuflada była zapchana tak dokładnie, że trudno było wcisnąć palce między kartki papieru.

-Zaraz zobaczymy. Bassage, Belin, Bewley, Bevis... No, proszę, te są nie na miejscu. - Wyciągnęła dwie karty i zaczęła tam, gdzie skończyła. - Birch, Blackmar, Blount. Mam. Boles. O to chodziło?

- Nie. Boldt. B o l d t. Wiem, że raz wysłali państwo do niej rachunek, a całkiem niedawno widziałam przypomnienie o półrocznej wizycie kontrolnej.

- Ma pani rację. Sama pisałam tę kartę z przypomnieniem, teraz już pamiętam. Na Via Madrina, prawda? - Wróciła do przeglądania szuflady, sprawdzając kilka kart do przodu i kilka wstecz. - Pewnie będzie to miał na biurku - zdecydowała w końcu. - Niech pani idzie ze mną, poszukamy.

Poszłam za nią krótkim korytarzem do niewielkiego biura po lewej, gdzie kiedyś była zapewne łazienka. Biurko doktora Picketta było zawalone kartami pacjentów. Jego żona wsparła ręce na biodrach, jakby nigdy nie widziała niczego podobnego.

- Mój Boże. Ależ bałagan. - Zaczęła przeglądać najbliższą stertę.

- Dlaczego mąż trzyma to wszystko na biurku? - zapytałam.

- Może dostaliśmy prośbę z rejestrów stomatologicznych. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Czasami pacjenci wyjeżdżają poza granice stanu...

- Czy mogę pani pomóc?

- Ależ tak, oczywiście. W tym tempie nie skończę do jutra.

Zabrałam się energicznie do roboty, przeszukując najbliższy plik kart, potem jeszcze sprawdziłam stertę po pani Pickett, żeby się upewnić, że niczego nie przegapiła. Nie było karty Elaine Boldt.

- Może być jeszcze w jednym miejscu - stwierdziła. Podniosła palec wskazujący i wyprowadziła nas z powrotem do biurka przy wejściu, otworzyła w nim górną szufladę i wyciągnęła z niej dosyć cienką szarą teczkę. - Tutaj są przypomnienia. Jeśli pani Boldt dostała zawiadomienie o kontroli, powinna być w tej tezcze. Pewnie nie wspomniała, kiedy była ostatnio?



- Nie - przyznałam. - Ale chyba w grudniu, skoro niedawno dostała przypomnienie o półrocznej kontroli.

Pani Pickett obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym aprobaty.

- Dobry pomysł. Pewnie dlatego to pani jest detektywem, a nie ja.

W porządku, zobaczymy, jak wyglądał grudzień.

Przejrzała plik jakichś piętnastu kart. Zaczęłam się obawiać o roczne dochody doktora Picketta, widząc, jak niewielu przyjmował pacjentów.

- Spokojny miesiąc - zauważyłam, obserwując żonę dentysty.

- Mój mąż pracuje na pół etatu - odparła, zaabsorbowana tropieniem. - Leczy już tylko starsze osoby z okolicy i nadal próbuje ograniczać praktykę. Ma gorsze żyłaki niż ja, lekarz zabronił mu stać cały dzień. Jak tylko trafi się okazja, spacerujemy, żeby poprawić krążenie. Proszę, jest. - Podała mi kartę z mieszaniną triumfu i ulgi. Może i byli w wieku emerytalnym, ale biuro prowadzili jak trzeba.

Przyjrzałam się karcie. Niewiele na niej było. Nazwisko Elaine Boldt, jej adres i data wizyty. Dwudziesty ósmy grudnia. Czy byłam na właściwym tropie? Przypomniałam sobie tamto pierwsze wrażenie.

- Rozumiem, że Marty Grice była państwa pacjentką dłużej i poleciła doktora Picketta Elaine?

- To łatwo sprawdzić. Widzi pani? Z tyłu karty, w rubryce „Z polecenia” jest napisane: „Marty Grice”. Robimy to, bo jeśli ktoś zalega z płatnością, mamy jakąś możliwość nacisku.

- Czy mogę zobaczyć kartę Marty Grice? - zapytałam.

- Dlaczego by nie?

Wróciła do szafek na akta i podała mi kartę z szuflady oznaczonej „G-I”. Nazwisko Marty było wyraźnie wypisane na pasku papieru u góry. Otworzyłam okładkę. W środku znajdowały się trzy arkusze papieru. Pierwszy to kwestionariusz ogólnego rozpoznania, badający kwestie przyjmowanych lekarstw, rozpoznanych uczuleń i przebytych chorób. Marty wypełniła kwestionariusz i podpisała go, automatycznie dając zezwolenie na „wszelkie niezbędne usługi stomatologiczne”. Drugim dokumentem był kwestionariusz stomatologiczny, dotyczący kwestii leczenia kanałowego, krwawienia dziąseł, przypadków nieświeżego oddechu oraz zgrzytania albo zaciskania zębów. Trzeci arkusz zawierał informacje na temat aktualnego leczenia. Wzbogacony był diagramem górnej i dolnej szczęki, na którym porządnie, jak ręką kartografa, zaznaczono piórem kulkowym aktualne wypełnienia. Nazwisko Marty było wyraźnie wypisane na

samej górze. Poniżej znajdowały się krótkie odręczne notatki doktora Picketta: „Rutynowa wizyta. Czyszczenie zębów. Nie stwierdzono próchnicy”. Rentgen został wykonany, następną wizytą ustalona na czerwiec. Przyglądałam się temu długi czas, układając sobie w głowie ciąg wypadków. Wszystko zdawało się pasować, wszystko oprócz daty. Dwudziesty ósmy grudnia. Podeszłam do okna i podniosłam kartę do światła. Cierpki uśmiech wypłynął mi na usta, bo i tak wiedziałam, że nie mogło być inaczej. Po prostu nie wierzyłam, że faktycznie znajdę dowód. A jednak był. Ktoś delikatnie wyskrobał nazwisko zapisane na karcie i w jego miejsce wpisał „Marty Grice”. Przesunęłam palcem po tym miejscu, chcąc wyczuć poprzednie nazwisko, jak gdybym czytała Braillem. Rzeczywiście, Elaine Boldt. Ostatnie kilka fragmentów układanki trafiło na miejsca. Byłam pewna, że to zwęglone szczątki Elaine Boldt zostały zabrane z domu Grice'ów tamtej nocy. Zamknęłam oczy. Nagle wydało mi się to bardzo dziwne. Szukałam Elaine przez dziesięć dni, nie zdając sobie sprawy, że już ją widziałam - na fotografii z danych Wydziału Zabójstw, zwęgloną i nie do poznania. Marty Grice była żywa i zapewne ukrywała się pod postacią Pat Usher. Musiałam jeszcze doszlifować kilka szczegółów, ale miałam ogólne wyobrażenie, jak dokonano morderstwa.

- Dobrze się pani czuje? - zaniepokoiła się żona doktora.
- Tak - odparłam krótko.
- Chciała pani mówić z Johnem...
- Za jakiś czas. Bardzo mi pani pomogła. Jestem ogromnie wdzięczna.
- Szczerze mówiąc, nie widzę, co takiego zrobiłam, ale bardzo mi miło.

Uścisnęłam jej dłoń, świadoma, że odprowadziła mnie mocno zdumionym spojrzeniem. Wsiadłam do samochodu i siedziałam, zastanawiając się, co dalej. O rany, a jak oni to zrobili, że zgadzała się zawartość żołądka? To dopiero musiało być zręczne posunięcie. Raport z autopsji wskazywał na najpopularniejszą grupę krwi, więc to akurat nie sprawiało kłopotu. Marty i Elaine były podobnego wzrostu. Ofiara mordu nie była nieznaną; wszyscy przyjęli, że to Marty, a rentgen jamy ustnej został wykorzystany do potwierdzenia jej tożsamości. Nie było żadnych powodów, by się domyślać, iż zamordowany został ktoś inny. Leonard wraz z siostrą rozmawiali z nią przez telefon o godzinie dziewiątej, a Lily twierdziła, że Marty

po odłożeniu słuchawki poszła otworzyć komuś drzwi. Telefon na posterunek policji to posunięcie dla zwiększenia efektu. Mike miał rację co do czasu. O dwudziestej trzydzięci tamtej nocy rzeczywiście na podłodze w domu Grice'ów leżało ciało kobiety przykryte dywanikiem. Tylko że to nie była jego ciotka. Elaine musiała zostać zamordowana wcześniej; zabójca bijąc tęym narzędziem, dbał, żeby zostawić kawałek szczęki umożliwiający identyfikację. Tak wiele rzeczy nagle się wyjaśniło. Wim Hoover musiał rozpoznać Marty, kiedy wchodziła lub wychodziła z apartamentu Elaine. Albo Leonard, albo sama Marty dopadła go, zanim dotarł do telefonu.

Włączyłam silnik, zjechałam z parkingu, zakreśliłam w lewo. Pojechałam na posterunek policji i zaparkowałam przed wejściem, w zielonej strefie zezwalającej na kwadrans postoju. W środku przystanąłam przy kontuarze po lewej. Za nim znajdowały się drzwi prowadzące do pomieszczenia Wydziału Zabójstw.

Jakiś gliniarz w cywilnym ubraniu, którego w życiu nie widziałam na oczy, zerknął na mnie, przechodząc koło tamtych drzwi. Przystanął.

- Potrzebuje pani pomocy?
- Szukam porucznika Dolana.
- Zaraz sprawdzę. Przed chwilą tam byłem, ale go nie widziałem.
- Zniknął. Czekałam, oglądając się przez ramię na Wydział Osób

Zaginionych i Rejestrów Osobowych. Była tam tylko czarnoskóra urzędniczka, która w oszalałym tempie waliła w klawisze maszyny do pisanania.

Wszystko już wiedziałam. Marty Grice wyjechała na Florydę i mieszkała w apartamencie Elaine. Nietrudno było sobie wyobrazić, co tam robiła. Zrzuciła trochę wagi. Zrobiła sobie nową fryzurę i ufarbowała włosy. Nikt jej tam nie znał, więc nie musiała się ukrywać. Prawdopodobnie odstawiła się, jak tylko dorwała forszę Elaine Boldt. Wróciłam myślą do naszego spotkania: posiniaczona, podpuchnięta twarz, plaster na nosie. Nie miała żadnego wypadku samochodowego. Poddała się operacji plastycznej - nowa twarz wraz z nową tożsamością. Powiedziała mi, że „przeszła na emeryturę” i nie ma zamiaru przepracować już ani jednego dnia w życiu. Mieli z Leonardem kłopoty finansowe, a tuż obok żyła Elaine Boldt z górą pieniędzy. Jak bardzo Marty musiała cierpieć na jej widok... Morderstwo było cudownym wyrównaniem rachunku krzywd, dawało niezłą emeryturę do końca życia. Teraz trzeba było już tylko poczekać, aż Leonard załatwi resztę

spraw i oboje byli ustawieni. Sprawa Dolana. Gdyby tak znaleźć narzędzie zbrodni, mielibyśmy wystarczające dowody, żeby przystąpić do działania. Na razie mogłam przynajmniej powiedzieć porucznikowi, co się dzieje. Niemądrze byłoby zatrzymać tę wiadomość dla siebie. Wrócił gliniarz w cywilnych ciuchach.

- Porucznik Dolan wyszedł i dzisiaj już nie wróci. Mogę w czymś pani pomóc?

- Wyszedł? - powtórzyłam. Ugryzłam się w język, ale myśli nie zdążyłam zatrzymać.

Niech to jasna cholera!

- Zajrzę jutro z samego rana.

- Proszę bardzo. Chce pani zostawić wiadomość?

Wyjęłam wizytówkę.

- Proszę mu tylko przekazać, że zajrzę.

- Przekażę - powiedział.

Wróciłam do samochodu, ruszyłam. Miałam pewną teorię na temat narzędzia zbrodni, ale chciałam najpierw porozmawiać z Lily Howe. Jeśli się we wszystkim orientowała, była w niebezpieczeństwie. Zerknęłam na zegarek. Osiemnasta piętnaście. Zauważyłam automat telefoniczny na stacji benzynowej, podjechałam do niego. Serce zaczęło mi łomotać ze strachu. Nie chciałam, żeby Mike miał jakieś kłopoty. Jeśli się zorientuje, że jego ciotka żyje, na pewno będzie je miał. Och, do diabła. Ręce mi się trzęsły, kiedy kartkowałam książkę telefoniczną, gorączkowo szukając innych Grice'ów. Znalazłam Horacego na ulicy Anaconda. Wydał mi się właściwą osobą, musiałam jeszcze poszperać na dnie torby w poszukiwaniu dwudziestocentówki. Wystukałam numer, wstrzymując oddech, kiedy telefon zabuczał jeden raz, drugi, czwarty, szósty. Odczekałam dwanaście sygnałów i odłożyłam słuchawkę. Wydarłam stronę z książki telefonicznej; wepchnęłam ją do torebki z nadzieją, że będę miała okazję zadzwonić jeszcze raz.

Znowu wsiałam do samochodu. Pojechałam do Lily Howe. Gdzie był teraz Leonard z Marty? Czy już prysnęli, czy nadal byli gdzieś w mieście... na przykład u Lily Howe? Przegapiłam Carolina Avenue i musiałam zawracać, zerkając w przelocie na numery domów. Dostrzegłam wreszcie dom Howe'ów, zwolniłam zdecydowanie, wkurzając ludzi w samochodzie za mną. Zjechałam na bok i zakręciłam w przecznicy sześć domów dalej. Kiedy naciskałam hamulec, żeby zaparkować, serce podskoczyło mi do gardła.

Leonard wraz z przyjaciółką właśnie zahamowali na podjeździe domu Lily.

Raptownie skuliłam się na siedzeniu, waląc kolanem w deskę rozdzielczą. O kurczę! Porządnie zabolalo. Wychyliłam się ostrożnie, wyjrzałam znad kierownicy. Najwyraźniej nie zwrócili na mnie uwagi; oboje wysiedli z samochodu, podeszli do frontowych drzwi, nie oglądając się za siebie. Zapukali, a gospodyni otworzyła im bez żadnego okrzyku zdziwienia czy przerażenia, bez najmniejszego zaskoczenia. Ciekawa byłam, od jak dawna wiedziała, że Marty Grice żyje. Czy była z nimi w zмовie od początku? Przyglądałam się domowi w zamyśleniu. Tak długo, jak był tam Leonard, istniało duże prawdopodobieństwo, że Lily była bezpieczna, ale nie sądziłam, żeby Marty była skłonna zostawić ją przy życiu, kiedy będą znikać na dobre. Będę musiała poodgrywać anioła stróża Lily Howe, czy tego chciała, czy nie.

## ROZDZIAŁ 25

Siedziałam i czekałam, a na kolanie rósł mi wielki, bolesny siniak. Próbowałam sobie naszkicować plan dalszego działania. Nie chciałam zniknąć ze sceny teraz, kiedy miałam wroga na celowniku. Publicznego telefonu nie było tu w promieniu paru kilometrów, a zresztą, po kogo miałabym dzwonić? Przyszło mi do głowy, żeby wyjść z samochodu i podczołgać się do domu, ale nigdy nie byłam w tym dobra. Poza tym trudno trafić na otwarte okno. Przy kilku okazjach, kiedy zdołałam coś podsłuchać, rozmowa wcale nie dotyczyła interesującego mnie tematu. Po prostu ludzie nie mają w zwyczaju wałkować stosownych szczegółów popełnionych zbrodni. Jeśli się kogoś śledzi, to wyglądając znad parapetu, najpewniej ujrzy się czarne charaktery grające w kierki. Nigdy nie zdołałam podejrzeć, jak ktoś ćwiartuje ciało albo kamufluje łup skradziony z banku. Postanowiłam zostać w samochodzie i czekać.

Nie ma nic bardziej podejzranego od człowieka siedzącego murem w samochodzie zaparkowanym w dzielnicy domków jednorodzinnych. Było kwestią czasu, kiedy jakiś zaniepokojony mieszkaniec zwróci na mnie uwagę i zadzwoni po policję. Potem następuje miła pogawędka z jakimś mundurowym. Przygotowałam sobie w myślach skróconą wersję historii mordu, żebym mogła ją przedstawić zwięźle, kiedy nadejdzie pora. W domu Lily Howe panował spokój. Minęła godzina i czterdzieści pięć minut. Zapadające ciemności zaczęły stopniowo ograniczać mi widoczność. Dookoła zapalały się światła, w domu Lily Howe także. Ktoś pichcił barbecu-e. Byłam głodna i chciało mi się siusiu. Nie potrafiłam zdecydować, czy

powinnam zaryzykować kucnięcie pod jakimś krzaczkiem. Nie mam poczucia niższości w stosunku do mężczyzn, ale w chwilach takich jak ta zazdroszczę im penis. O dwudziestej pierwszej dwadzieścia trzy otworzyły się drzwi frontowe domu Lily Howe. Marty oraz Leonard Grice wyszli. Pochyliłam się, skurczyłam i obserwowałam. Nie było żadnych łzawych pożegnań. Oboje wsiedli do samochodu, trzasnęli drzwiczkami i wycofali się z podjazdu. Czekałam, aż znikną mi z oczu, wreszcie podeszłam do domu. Światło na ganku zgasło. Zapukałam. Nastął moment ciszy, po czym usłyszałam zakładanie łańcucha. Lily przeczytała wszystkie podręczniki na temat zapobiegania włamaniom. Tym lepiej dla niej.

- Kto tam? - dobiegł mnie z wnętrza niewyraźny głos.
- To ja - odparłam szeptem. - Zapomniałam torebki.
- Otwarto łańcuch i Lily uchyliła drzwi.

Pchnęłam je raptownie, omal ie złamałam jej nosa. Rozległ się stukot, Lily krzyknęła, ale zdążyłam już zamknąć za sobą drzwi.

- Musimy porozmawiać - oznajmiłam.

Zasłoniła twarz ręką, a w jej oczach pojawiły się łzy; nie były to łzy bólu, ale wzburzenia.

- Powiedziała, że mnie zabije, jeśli coś powiem.
- Zabije panią i tak, to pewne. Jak pani to sobie wyobraża? Wyjedzie i zostawi panią w spokoju? Powiedziała pani, co zrobiła z Wimem Hooverem? Wsadziła mu kulkę prosto w głowę. Pani się tu nie liczy. Nie ma pani żadnych szans.

Lily pobladła. Wyrwał jej się szloch, jak bańka z dna stawu, ale zaraz najwyraźniej wzięła się w garść. Zamknęła oczy i pokręciła głową, jak więzień postawiony przed kołem do łamania kości. Obojętne, co jej zrobię, nie piśnie ani słowa.

- Do cholery jasnej! Powiedz mi, co się dzieje!

Minę miała hardą, zyskałam okazję, by podziwiać próbkę jej dzieciństwa. Siostra Leonarda wiedziała, jak sobie radzić z takimi tyranami jak ja. Zacięta w uporze, pasywna, przyjęła postawę obronną, którą najwyraźniej doprowadziła do perfekcji jako metodę obrony przed atakiem. Po prostu zamknęła się w sobie, schowała w skorupie. Jako dziecko musiała być regularnie straszona. Wszystkim: od zastrzyków przeciwtężcowych, jeśli za każdym razem po siusianiu nie umyje rąk, po areszt policyjny, jeśli nie rozejrzy się w obie strony przed przejściem przez ulicę. Zamiast nauczyć się reguł zachowania, nauczyła się ukrywać.

Ku memu zdumieniu podeszła do jednego z turkusowych foteli i usiadła bez słowa. Wzięła w rękę pilota i włączyła telewizor. Przeskoczyła pół tuzina kanałów, póki nie znalazła ulubionej stacji. Zamierzała mnie zagłuszyć. Obeszłam fotel i kucnęłam przy niej. Mówiłam napiętym głosem, a ona z wyteżoną uwagą patrzyła w ekran, gdzie hoża platynowa blondyna w bawełnianej koszulce bez rękawów robiła tort.

- Pani Howe, nie jestem pewna, czy pani rozumie, co się dzieje. Pani szwagierka zabiła dwie osoby i najprawdopodobniej nikt prócz nas o tym nie wie.

W powietrze wzbija się potężna chmura mąki, obsypując dziewczęcą twarz blondynki. Zamroczone alkoholem najwyraźniej użyła jednocześnie i drożdży, i proszku do pieczenia i w ten sposób spowodowała wybuch suchej mąki. W tle rozbrzmiewał radosny śmiech z taśmy. Och, ta dziewczyna! Fantastyczna, prawda? Lily Howe uśmiechnęła się leciutko, może wspominała własne przygody kulinarne.

Dotknęłam jej ramienia.

- Czas ucieka, Lii. Wiesz, co? Myślę, że Marty niedługo wróci i zabije nas obie. Będzie musiała.

Milczenie. Może moje słowa były dla niej równie rzeczywiste jak ta lalunia z tortem. Teraz blondynka rozbijała jajka, udało jej się przy tym spryskać twarz żółtkami. Łamano w tym programie podstawowe prawa natury, a blondynka robiła z siebie pośmiewisko. Pojawił się mąż. Na widok bałaganu opadła mu szczeka. W tle nowy paroksyzm śmiechu. Czy cokolwiek w realnym świecie uderzyło mnie kiedyś z taką siłą?

- Dokąd pojechali? - zapytałam. - Wyjeżdżają z miasta?

Lily roześmiała się głośno. Blondyna wsadziła mężowi na głowę miskę odwróconą do góry dnem. Ona mu pokazała. Zabrzmiało kilka akordów muzycznego tematu i weszły reklamy. Sięgnęłam do pilota, wyłączyłam głos. W ciszy dotarło do nas szuranie po linoleum puszką, z której jakiś pies wyjadał siekaną wątróbkę.

- Leonard ma kłopoty - powiedziałam. - Pomoże mu pani czy nie?

Spojrzała na mnie, poruszyła ustami.

Przysunęłam się bliżej.

- Nie słyszałam.

Na jej twarzy pojawiło się napięcie, nie mogła skupić wzroku. Patrzyła na mnie z wymuszoną koncentracją pijaka.

- Leonard nigdy nikogo nie skrzywdził - powiedziała. - Nie wiedział o niczym, aż było za późno.



Przypomniało mi się, co Mike mówił o namiętności Leonarda do żony. Nie widziałam go w roli niewinnej ofiary, ale nie zdradziłam się słowem.

- Skoro już jednak coś wie, jest w niebezpieczeństwie. Jeśli mi pani powie, dokąd pojechali, wyciągnę go z tego.

- Tylko do Los Angeles - wyszeptwała. - Dopóki nie przyjdzie nowy paszport Marty, jeszcze zostają. Potem polecą do Ameryki Południowej. - Oczy napełniły jej się łzami. - Może już nigdy więcej go nie zobaczę. Zawsze byliśmy sobie tacy bliscy... Nie mogę się zwrócić przeciwko niemu. Nie mogę go zdradzić, nie rozumiesz?

- Próbujesz mu pomóc, Lily. On to zrozumie.

- To było straszne. Koszmar. Kiedy przyszłaś, myślałam, że Leonard umrze ze strachu. O mało nie dostał ataku serca, a ona właśnie wtedy wróciła. Myślała, że zabrałaś paszport Elaine i była wściekła z powodu opóźnienia. On się jej boi. Zawsze się bał krzyków i awantur...

- To rozumiałe. Ja sama się jej boję. Ona jest chora umysłowo. Mieli bagaże w samochodzie?

Zaczynała się załamywać. Wzmianka o wyjeździe Leonarda sprawiła jej zbyt wielki ból, obraz spakowanych walizek łamał serce. Tego było dla niej za wiele. Nic nie miało znaczenia, skoro ją opuszczał.

- Pojechali się spakować. - Jej głos przerywał szloch, zaczęła jej cieknąć z nosa. - Pojechali do motelu, a potem do domu. Pokłócili się o to, ale ona nie chciała tego tak zostawić, bo to dowód.

- Czego nie chciała zostawić?

- N-no... wiesz...

- Narzędzia zbrodni?

Lily kiwała głową bez końca. Chyba nie mogła przestać. Jakby jej pękły jakieś trzymadła w szyi i miała tak kiwać głową już zawsze. Przypominała maskotkę, którą ustawia się w samochodzie na tylnej półce.

- Lily, posłuchaj mnie. Chcę, żebyś teraz wezwała policję. Idź do sąsiadów i zostań, aż ktoś tu przyjedzie. Rozumiesz? Chodź. Potrzeba ci czegoś? Sweter? Torebka? - Miałam ochotę wrzeszczeć, żeby zaczęła się wreszcie ruszać, ale nie śmiałam.

Patrzyła na mnie tymi wyblakłymi, przestraszonymi niebieskimi oczyma z psią ufnością. Pomogłam jej wstać, wyłączyłam telewizor, a potem zaholowałam do wyjścia. Wyjrzałam na ulicę, nikogo nie było. Nie chciało mi się wierzyć, że Leonard pozwoliłby Marcie ją skrzywdzić, ale nie on

był u steru. Traciłam cenny czas, lecz musiałam się upewnić, że Lily będzie bezpieczna. Poszłyśmy do pierwszego domu, w którym paliło się światło: był to budynek pokryty cedrowymi gontami, dwie posesje dalej.

Zadzwoniłam do drzwi. Otworzył jakiś mężczyzna. Wypchnęłam ją przed siebie, tłumacząc, że potrzebuje pomocy. Przypomniałam Lily, żeby koniecznie zadzwoniła po policję, i wyszłam. Nie byłam pewna, czy zrobi, jak jej kazałam.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam z piskiem opon, paląc gumę, kiedy z poślizgiem wchodziłam w zakręt dwie przecznice dalej. Prowadziłam w napięciu, prześlizgując się obok znaków stopu, unikając nateżonego ruchu jak tylko mogłam. Musiałam dotrzeć do domu przed nimi. Utknęłam na światłach, więc wykorzystałam ten czas na szukanie latarki. Wyciągnęłam ją, sprawdziłam baterie. Wydawały się w porządku. Miałam już zielone, ruszyłam.

Poniewczasie zdałam sobie sprawę, że moja trzydziestka dwójka tkwiła zamknięta w biurowej szafce z aktami. Niewiele brakowało, żebym wciśnęła hamulec i zawróciła po nią, ale nie miałam na to czasu. Jeśli pojechali najpierw do motelu, spakowali się, zapłacili i załadowali bagaże, mogłam zdążyć przejąć narzędzie zbrodni, zanim oni to zrobią. Jeśli mnie wyprzedzą, wejdę od razu do Tillie i wezwę policję. Nie miałam zamiaru gadać z Marty Grice samotnie.

Czułam napływ adrenaliny i krew krążyła mi szybciej. Nagle przyszła mi do głowy odpowiedź na dawne pytanie: już wiedziałam, jak załatwili sprawę treści żołądka. Marty Grice ukradła śmieci Elaine Boldt. Bardzo proste. Brązowa torba ze sklepu, którą Mike widział w korytarzu, to były śmieci Elaine Boldt, a w nich pusta puszka po tuńczyku i po zupie pomidorowej, którą zjadła tego wieczoru na kolację. Marty miała mnóstwo czasu, żeby wszystko przygotować. Miałam przed oczyma całą scenę, jakbym była jasnovidzem. Leonard wyszedł na kolację z Lily, a Marty zadzwoniła do Elaine, zapraszając ją pod jakimś pretekstem do siebie. Elaine zajrzała i padła ofiarą morderstwa. Marty wzięła klucze i gdy tylko się ściemniło, poszła do mieszkania Elaine. Przyniosła śmieci, zostawiła je w korytarzu, poszła do piwnicy po naftę. Właśnie wówczas pojawił się Mike, otworzył drzwi i zamknął je, kiedy zdał sobie sprawę, że coś jest zdecydowanie nie w porządku. Marty skończyła polewanie domu naftą i siedziała, czekając na umówiony na dziewiątą telefon od Leonarda. Złożyła mu raport, co

jadła Elaine, żeby mógł później wspomnieć o tym policji. Kanapka z tuńczykiem i zupa pomidorowa. Może nawet wsadziła resztki do własnej lodówki, żeby cała historyjka była bardziej prawdopodobna. Podłożyła ogień, a następnie ukryta się u Elaine. Tam w komfortowych warunkach przeczekała aż do odlotu na Florydę, do następnego poniedziałku wieczór. Zgadywałam, że w tym czasie ufarbowała sobie włosy, podejrzewałam także, iż cienkie brązowe pasmo, jakie widziałam w łazienkowym koszu Elaine podczas pierwszego przeszukania jej apartamentu, stanowiło dodatkowy dowód na obecność tam Marty Grice.

Dotarłam do domu Grice'ów i zatrzymałam się po przeciwnej stronie ulicy. Jakiś czas oglądałam uważnie dom i podwórze. W ciemnościach nie widać było szkód poczynionych przez ogień, ale nadal emanowała z tego miejsca aura ruiny i opuszczenia. Przed frontem nie było żadnego samochodu. Żadnych świateł we wnętrzu domu. Żadnych przechodniów w najbliższej okolicy.

Wyłączyłam silnik, wyszłam z samochodu, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Liczyłam się z tym, że będę musiała bardzo szybko uciekać. Otworzyłam bagażnik, wyjęłam skrzynkę, a z niej narzędzia, które miały mi być potrzebne. Kiedy tylko się upewniłam, że nikt nie idzie, przeszłam przez ulicę i przecięłam boczne podwórko u Grice'ów.

Cicho szłam chodniczkiem, obserwując dom. Większość okien na froncie straciła szyby w czasie pożaru i została potem zabita deskami, ale dwa, bliżej tyłu pozostały nienaruszone. Wybrałam jedno z nich i wyłamałam zamek łomem. Było smoliście czarno i zupełnie cicho, jeśli pominąć świerszcze grające w trawie. Wiedziałam, że powinnam sobie zapewnić drogę odwrotu, ale nie mogłam ryzykować. Jeśli tamci dwoje się pokażą, na pewno zwrócą uwagę na otwarte okno lub drzwi. Musiałam po prostu szybko robić swoje i mieć nadzieję, że moje domysły w kwestii narzędzia zbrodni były prawidłowe. Nie miałam czasu na pomyłki.

Wdrapałam się do kuchni i opuściłam okno za sobą. Na podłodze zgrzytało mi pod stopami potłuczone szkło. Strumień światła z latarki wyłowił z mroku poczerniałe framugi drzwi, ściemniałe od dymu ściany w korytarzu gęstym od cieni. Wstrzymałam oddech, nasłuchując. Panowała płaska, jednowymiarowa cisza. Nie było prądu i brakowało mi miękkiego brzęczenia różnych urządzeń. Lodówki, pieca, ściennego zegara, termy. Przyplątało mi się w pamięci jakieś powiedzonko o grobowej ciszy, ale szybko wypchnęłam je z myśli.

Ruszyłam naprzód, wzdrygnęłam się, kiedy szklana skorupa trzasnęła mi pod stopami. Czy ktoś poruszył się na schodach? Machnęłam strumieniem światła po suficie, oczekując odgłosu kroków. Wyobrażenia budziła prymitywny strach - każde dziecko go zna. Ruszyłam dalej. Przed sobą dostrzegłam bladą poświatę, ledwie widoczne światło z sąsiedniego domu. Zatrzymałam się przy oknie wychodzącym dokładnie na salon po drugiej stronie ścieżki. Pan Snyder oglądał telewizję, migotały nieme obrazy. Po tej stronie domu było jeszcze małe okno tuż obok kuchni. Teraz miałam już pojęcie o tym waleniu, które May Snyder słyszała tamtej nocy, i przyszła mi chętć przetestować najnowszą teorię. Spojrzałam w stronę pokoju, w którym spała staruszka, ale było tam ciemno. Czym jest starość i śmierć? Może śpi się dłużej i dłużej, aż pewnego dnia człowiek po prostu już nie ma ochoty się budzić?

Przesunęłam palcami po framudze, oświetliłam płyty odłóżającej farby - spalona i pomarszczona biel, martwa skóra. Widziałam, gdzie futryna została wcześniej rozebrana, a następnie ponownie zbita gwoździami: Bum, bum, bum i bum. Kilka chwil zajęło mi takie ustawienie latarki na framudze, żeby światło padało pod odpowiednim kątem; mogłam dobrze widzieć, co robię, i miałam obie ręce wolne. Ostrożnie wsadziłam wąski koniec łomu w szparę, podważyłam listwę maskującą we framudze, aż puściła z trzaskiem tak ogłuszającym, że serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Przypuszczałam, że Elaine została zamordowana ciężarkiem z futryny okiennej, który następnie wsunięto z powrotem na miejsce, jak gdyby nigdy nic. Przyszło mi to do głowy jak niespodziewane olśnienie, kiedy usłyszałam ciężarki mojego okna łazienkowego walące głucho w blokadę.

Bardzo dobry pomysł. Miał w sobie tę codzienną schludność, którą Marty najpewniej uwielbiała. Jeśliby dom spłonął całkowicie, kto by się kiedykolwiek czegokolwiek domyślił? Buldożery uprzątają ruinę, pozostałości ładuje się na śmieciarki i wywozi na wysypisko. Nawet teraz, kto by się domyślił? Szczerze mówiąc, była głupia, że tutaj wracała. Powinna była po prostu zostawić to tak, jak było. Wpadła w panikę, prawdopodobnie chciała definitywnie zakończyć sprawę, żeby już do końca życia mogła czuć się bezpiecznie. Nawet gdyby ją złapali, to co jej mogli udowodnić? A narzędzie zbrodni było prawdopodobnie pokryte jej odciskami palców. Może nadal tkwiły na nim włosy Elaine albo kawałki powybijanych zębów i kości, mikroskopijne kawałki ciała. Co zamierzała zrobić z tym strasznym

przedmiotem? Pewnie gdzieś zakopać... Rzucić w morze z końca mola.

Przypuszczam, że każda część okna ma swoją nazwę, ale dla mnie to czarna magia. Staralam się po prostu robić to samo, co Becky od ślusarza. Rezultat był taki sam. Udało mi się rozebrać futrynę, odsłaniając oba komplety ciężarków, łączącą je linkę oraz bloczki umożliwiające podnoszenie i opuszczanie ramy. Obejrzałam oba komplety - razem cztery ciężarki - uważając, żeby niczego nie dotknąć. Cholera, na tym świństwie nie będzie widać odcisków palców. Metal był pokryty cienką warstwą trocin i brudu. Wilgoć ze ściany wytworzyła tak dużo rdzy, że ewentualne odciski palców najpewniej już zostały zatarte. Fakt, że od zbrodni minęło pół roku, też nie działał na moją korzyść. Płamki zaschniętej krwi nadal będą widoczne przy badaniu mikroskopowym, ale nie byłam pewna, co jeszcze uda się znaleźć. Poświeciłam wzdłuż ramy. Na końcu lśniły dwa błyszczące blond włosy, splątane z pasmem sztywnych, ciemnobrązowych. Poczułam, jak usta mi się wykrzywiają z obrzydzeniem.

Owinęłam ten koniec małą plastikową torebką i zabezpieczyłam taśmą klejącą. Ucięłam scyzorykiem sznurki, ostrożnie opuściłam pobrzękujące ciężarki do dużej plastikowej torby. Porucznika Dolana i jego drużynę z Wydziału Zabójstw szlag by trafił, gdyby widzieli, że ręką dotykam dowodów rzeczowych, ale nie miałam wyboru. Scyzoryk razem z pozostałymi narzędziami wrzuciłam do trzeciej plastikowej torby. Folia szeleściła mi w dłoniach przy każdym ruchu. Dlatego nie usłyszałam Leonarda i Marty, póki nie znaleźli się na schodach przy tylnych drzwiach.

## ROZDZIAŁ 26

W zamku zazgrzytał klucz. Poderwałam głowę. Sparaliżował mnie strach podobny do porażenia prądem, serce waliło mi jak młotem, aż pulsowała szyja. Na moją korzyść działało jedynie to, że ja wiedziałam o nich, a oni o mnie jeszcze nie. Zgasiałam latarkę, wetknęłam owiniętą folią ciężarki pod pachę. Mózg mi pracował na zwolnionych obrotach, odrętwiały, jak gdyby zanurzony w lodowatej wodzie. Kusilo mnie, żeby uciekać na górę, ale stłumiłam ten odruch. Tam nie było się gdzie schować, nie było też wyjścia na dach.

Ostrożnie ruszyłam w lewo, do kuchni, łowiąc uchem najłżejszy szmer. Dobiegała mnie cicha, spokojna rozmowa. Prawdopodobnie próbowali zorientować się w sytuacji, świecąc latarką to tu, to tam. Jeśli Marty nie była w domu od nocy pożaru, mogła zareagować na widok zwęglonej ruiny podobnie jak ja. Jeszcze niczego się nie domyślali, ale w chwili gdy zobaczą ramę okna, zaczną mnie szukać.

Wejście do piwnicy stało otworem - pionowa czarna szczelina na tle szarego korytarza. Zaryzykowałam jeden błysk światła i ruszyłam w dół, najszybciej, jak się dało bez robienia hałasu. Wiedziałam, że pochyłe drzwi wychodzące na boczne przejście są zablokowane skoblem, ale miałam nadzieję znaleźć w piwnicy jakąś kryjówkę.

U stóp schodów przystanąłam, żeby się zorientować w sytuacji. Z góry dobiegały trzeszczące kroki. Otaczała mnie smolista ciemność. Czułam się, jakbym miała na oczach grubą czarną maskę, której nie mogło przebić żadne światło. Znowu pozwoliłam sobie na jeden błysk. Musiałam się cofnąć przed oślepiającą jasnością, odwrócić głowę, ochronić oczy. Zamrugalam, teraz

widziałam lepiej. Och, Boże, jak ja się z tego wyplączę?

Obróciłam się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Musiałam gdzieś schować ciężarki, a miałam mało czasu. Mogą złapać mnie, ale nie mogą dostać narzędzia zbrodni, ponieważ dokładnie po to przyszli. Podeszłam do wielkiego, martwego pieca. Wyglądał złowieszczo, jak czołg. Uchyliłam drzwiczki, włożyłam ciężarki do środka, wciskając pakunek między zewnętrzną ściankę, a osłonę palnika. Kiedy zamykałam drzwi, zawiasy zgrzytnęły przenikliwie. Zamarłam, odruchowo zerknęłam w górę, jakbym mogła wzrokiem sprawdzić, jak daleko dotarł dźwięk.

Na górze było cicho. Musieli już dojść do korytarza, na pewno odkryli też skutki mojej działalności. Teraz nadśluchiwali, tak samo jak ja. W ciemnościach starego domu, takiego jak ten, dźwięk może być równie zwodniczy jak głos brzuchomówcy.

Gorączkowo rozglądałam się za jakąś kryjówką. Każdy kąt, każda szpara, jaką dojrzałam, były albo za małe, albo za płytkie. Podłoga nade mną zatrzeszczała. Nie zajmie im to już dużo czasu. Było ich dwoje. Rozdzieliła się. Jedno pójdzie na górę, drugie zejdzie do piwnicy.

Przesunęłam się w lewo, na palcach skradałam się do betonowych stopni prowadzących na świat. Pochyliłam się i wdrapałam na nie, wepchnęłam się w niewielką niszę na szczycie. Zgarbionymi plecami dotykałam skosnych drzwi, nogi podciągnęłam pod siebie. Ponieważ odcięto dopływ prądu, będą zmuszeni szukać mnie przy świetle latarki. Pozostawała nadzieja, że trudno będzie im zajrzeć w ten róg, ale pewności nie miałam. Drogę do wolności zagradzały mi te pochyłe drewniane drzwi. Przez szpary między deskami docierało do mnie wilgotne nocne powietrze. Słodka woń jaśminu rosnącego przy domu połączyła się niespodziewanie z nieprzyjemnym zapachem sadzy i starej farby. Serce łomotało mi kompletnie oszalałe, bałam się tak, że aż bolały mnie płuca. Trzymałam latarkę jak maczugę i z trudem uspokajałam oddech.

Zdałam sobie sprawę, że coś uciska mnie w udo. Kluczyki samochodowe. Przeniosłam ciężar ciała, wyprostowałam prawą nogę, bardzo ostrożnie, żeby nie szurnąć tenisówką po betonowym stopniu. Równie ostrożnie odłożyłam latarkę stopień niżej i centymetr po centymetrze wyciągnęłam kluczyki, trzymając je w garści, żeby nie zabręzczały. Do kółka przyczepiony był ozdobny krążek wielkości pięciocentówki. Z aktualnie dostępnych mi przedmiotów on najbardziej przypominał narzędzie. Tęsknie

wspomniałam scyzoryk, łom i młotek, zawinięte w plastikową torbę i wtknięte do pieca razem z ciężarkami. Przesunęłam lewą dłońią po desce tuż nad głową: szukałam zawiasów. Były. Płaskie, wygięte w lekki łuk, miały jakieś piętnaście centymetrów długości. Śruby wystawały nierówno, niektóre były obluźowane, inne wypadły.

Próbowałam wykorzystać krążek jako śrubokręt, ale główki były zaklejone farbą, a rowki za płytkie, żeby próbować podważania. Zgarbiłam się, pchnęłam do góry. Poczułam, że drzwi się poruszają. Drżącymi rękoma szukałam wśród kluczyków. Wybrałam najdłuższy. Wsunęłam go między zawias a drewno i nacisnęłam ostrożnie. Ustąpił odrobinę. Gdybym mogła obluźować zawiasy, może udałoby mi się wyważyć drzwi. Zaciskałam usta, żeby nie sapać z wysiłku.

Chwila przerwy. Słyszałam tylko własny wyteżony oddech. Drzwi zrobiono z sosny, teraz już starej, przegniłej i miękkiej. Znowu przeniosłam ciężar ciała, próbując zyskać więcej miejsca. Zaskrzypiały piwniczne drzwi. Potem szurnięcie buta na betonowych stopniach. A potem usłyszałam dyszenie i już wiedziałam, kto tu jest. Wolno obróciłam głowę w prawo. Widziałam przyćmione żółte światło latarki, jednej z tych solidnych, wielkich jak skrzynka na piknik; rzucała na ścianę dużą kwadratową plamę. Baterie były słabe, a mimo to rozpoznałam kobietę, którą spotkałam na Florydzie. Pat Usher... Marty Grice. Nie wyglądała dobrze. Ciemne włosy zdawały się pozbawione życia, oczy miała zapadnięte, za to kości policzkowe - w tym oświetleniu przesadnie wystające. Poświeciła na przeciwną ścianę. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, czy istnieje jakaś szansa, że przeoczy moją kryjówkę. Na chwilę zniknęła mi z pola widzenia. Nie śmiałam drgnąć. Z napięcia bolały mnie nawet kości. Nogi zaczynały mi drżeć tym nie kontrolowanym drżeniem, które ma źródło w stresie i w niespełnionej potrzebie ruchu. Pragnienie ucieczki skierowane do wewnątrz. Marzenie ciała uwięzionego bez nadziei na ulgę. Strumień światła zataczał powolny krąg, wyławiając z ciemności kolejne przedmioty. Zaraz dotrze do mnie. Zrobiłam jedyne, co mogłam. Wyprysnęłam w górę jak wynurzający się wieloryb, pchając zamknięte drzwi z taką siłą, że omal nie pękły. Niestety, zabrakło mi dźwigni, a ona była za szybka. Naprężyłam się, pchnęłam jeszcze raz.

Przemknęła przez piwnicę niczym błyskawica. Kiedy waliłam plecami w drzwi, prawie się wyprostowałam, deski wybrzuszyły się z trzaskiem.



W tym momencie pociągnęła mnie za nogi. Walnęłam głową w betonowy stopień. Jej latarka potoczyła się gdzieś w bok, ciemniejszy strumień światła wycelował w ścianę, równie bezsensowny, jak obraz telewizyjny po skończonym programie. W gęstych ciemnościach piwnicy wystarczyło to jednak, żeby zadziałać na moją niekorzyść. Odczołgałam się w bok, jakoś stanęłam na nogi. Rzuciła się na mnie, wspięła po mnie, zaczęła dusić. Zatoczyłam się do tyłu, wytracona z równowagi nagłym dodatkowym ciężarem. Próbowałam ją zrzucić, zedrzeć z siebie, grzmociłam nią o schody. Uczepliła się mnie jak ośmiornica - mackami, przysawkami i straszną paszczką. Zaczynałam tracić przytomność. Próbowałam przyłożyć jej łokciem, ale nie miałam jak zebrać siły, żeby wyrzucić jej jakąkolwiek krzywdę. Wyciągnęłam w górę jedną rękę, chwyciłam ją za włosy, szarpnęłam gwałtownie do przodu. Pod własnym ciężarem poleciała na ziemię.

W ułamku sekundy dostrzegłam w jej dłoni jakiś podłużny kształt. Ostrzegł mnie charakterystyczny wizg, ale już nie zdążyłam się uchylić. Usłyszałam przyprowadzający o mdłości trzask. Zaatakowała mnie chyba trzonkiem od siekiery, przyłożyła mi z taką siłą, że z początku wcale nie poczułam bólu. Zastanawiałam się, czy to, podobnie jak przerwa między błyskawicą, a grzmotem, będzie świadczyło o jego natężeniu. Czy jest jakiś sposób na ustalenie stopnia bólu w zależności od tego, ile sekund upłynęło od ciosu do reakcji? Uchwyt siekiery świsnął jeszcze raz, tym razem zdołałam podnieść rękę i osłonić twarz. Przyjęłam uderzenie na przedramię. Nawet nie połączyłam przeraźliwego dźwięku, który usłyszałam, z bólem, który mną wstrząsnął. Otworzyłam usta, ale nie wydałam żadnego dźwięku. Nacierała znowu. Oczy jej błyszczały, wargi rozciągnęły się w grymasie, który między świrami mógłby uchodzić za uśmiech. Zgarbiłam się, tym razem przyjęłam cios na ramię. Ból przypominał gorący jezor ognia pełznący wzdłuż boku. Palce zacisnęły mi się na poręczy. Uciekłam na schody, ratując życie. Błyszczący obłok przesłaniał mi widok lśniącymi iskierkami. Wiedziałam, że kiedy przestanę widzieć, będę martwa. Nabrałam głęboko powietrza, potrząsnęłam głową, z ulgą stwierdziłam, że wróciła ciemność.

Zacisnęłam prawą pięść. Z głuchym okrzykiem walnęłam z całej siły. Trafiłam, poczułam to w całym ramieniu. Czułam ból stawów, kiedy rąbnęłam ją w twarz, a ona wydała zduszony dźwięk, który mi się spodobał. Zatoczyła się do tyłu, skoczyłam na nią, otoczyłam ramieniem jej szyję.

Pociągnęłam na bok, straciła równowagę; jednocześnie ciągnęłam do tyłu, żeby nie mogła stanąć na nogi. Dusiła się pod własnym ciężarem. Zaciskałam ramię coraz mocniej. Wtedy usłyszałam głośny trzask i przez chwilę miałam wrażenie, że skręciłam jej kark. Osunęła się na podłogę. Puściłam ją, żeby mnie nie pociągnęła za sobą. Chwilę patrzyłam na nią ogłupiała, wreszcie podniosłam wzrok. Leonard Grice stał z dwudziestką dwójką w ręku, teraz broń była wymierzona we mnie.

- Mnie postrzeliłeś, idioto - wycharczała Marty ochryple.

Leonard spojrział na nią niebotycznie zdumiony.

Zrobiłam krok do tyłu. Marty dostała w bok. Nie była to śmiertelna rana, ale powinna ją nauczyć moresu. Klęczała, biorąc się w garść. Cierpiała. Jęczała z gniewu i z bólu.

Dyszałam, nadal walcząc o każdy oddech, ale równocześnie czułam dziwne podniecenie zwycięstwa. Prawie ją zabiłam. Kilku sekund brakowało, żebym zmieniła ją w trupa. Leonard nie umiał strzelać, dlatego ją zranił, pozbawiając mnie przyjemności, ale i tak wygrałam walkę. Chciało mi się śmiać, póki nie ujrzałam wyrazu twarzy Leonarda Grice'a.

Szałeństwo, które wzięło nade mną górę przez kilka ostatnich minut, zniknęło jak ręką odjął; zdałam sobie sprawę, że moje kłopoty dopiero się zaczęły. Stałam zupełnie nieruchomo. Musiałam w którymś momencie dostać w twarz, bo w ustach miałam krew. Pomacałam językiem, czy nie mam połamanych zębów, ale wszystko wydawało się w porządku. Nie był to dobry moment na myślenie o glinach, ale to właśnie zrobiłam.

Próbowałam zachowywać się rozważnie, ale było to bardzo trudne. Opanowała mnie przemożna chęć, by walczyć z Marty, aż któraś na wzór rannego zwierzęcia odpełźnie ze skamleniem, skryć się i lizać rany. Powinnam się jak najszybciej zająć Leonardem. Już zostawiłam mu za dużo czasu. Wiedziałam, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli.

Patrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu. Zresztą, i tak go nie rozumiałam.

- Daj spokój, Leonardzie, skończmy już z tym.

Nie odezwał się. Próbowałam mówić lekkim tonem, jakbym codziennie gadała z facetami, którzy próbują mnie zastrzelić.

- Jestem już zmęczona i zrobiło się późno. Czas do domu. Ona potrzebuje pomocy.

Błąd. Marty najwyraźniej zdołała się otrząsnąć, skupiła uwagę na nim. Ona sama nie stanowiła teraz żadnego zagrożenia, ale on tkwił na krawędzi, może próbując, smakując jak ja, przedziwne nowe uczucie, jakie niesie ze sobą rozdzielanie śmierci.

- Zastrzel sukę - wydyszała Marty. - Zastrzel!

Zmobilizowałam resztki sił, zebrałam się w sobie. Wystrzelił dokładnie w momencie, kiedy ruszyłam na niego, ale wówczas niosła mnie już siła rozpędu.

- Nie! - krzyknęłam.

Kopnęłam go w rzepkę z taką siłą, że usłyszałam głośny trzask. Upadł, szczebiocząc z bólu jak jakiś dziki ptak. Pistolet odjechał po podłodze. Myślałam, że Marty będzie próbowała go dosięgnąć, ale ona tylko patrzyła, zupełnie nieruchoma, jak schylałam się po broń. Wyjęłam bębenek, zajrzałam do środka. W komorze zostały jeszcze cztery naboje. Włożyłam bębenek na miejsce, upewniłam się, że bezpiecznik jest odciągnięty, i obróciłam się tak, że oboje trzymałam na muszce. Leonard siedział, kołysząc się w przód i w tył. Patrzył na mnie wzrokiem pełnym nienawiści.

Wyciągnęłam broń w jego kierunku, wycelowałam mu w twarz.

- Odstrzelę ci dupę, jeśli tylko się ruszysz. Ostatnio nabrałam niezłej wprawy. Wsadzę ci kulkę prosto między oczy.

Marty zaczęła krzyczeć. Dziwny to był dźwięk, jak płacz dziecka nękanego kolką. Leonard objął ją opiekuńczo ramieniem.

W tamtej chwili bardzo brakowało mi kogoś, kto pocieszyłby mnie. Lewe ramię wisiało niczym drewniana kłoda, przyczepiona do ciała gwoździem. Opuściłam wzrok i ujrzałam krew moczącą rękaw, wypływającą z dziurki wielkości groszku.

„Ten skurczybyk rzeczywiście do mnie strzelił” - uświadomiłam sobie zdumiona.

Uchwyciłam broń zdrową ręką i zaczęłam wołać o pomoc. W końcu to May Snyder usłyszała mnie i wezwała gliny.

# Epilog

Już od dwóch dni siedzę w szpitalu. Lewą rękę mam w gipsie. Dziś po południu zjawił się ortopeda, obejrzał moje zdjęcia rentgenowskie i zdecydował, jak powinna wyglądać rehabilitacja po wyjściu ze szpitala. Rozmawiałam przez telefon z Julią Ochsner; zaprosiła mnie na rekonwalescencję do siebie, na Florydę. Przyrzekła mi słońce i odpoczynek, ale podejrzewam, że szuka szansy, żeby zrobić ze mnie czwartą do brydża. Końcowy rachunek wyniósł 1987 dolarów i 35 centów, ale Julia oświadczyła, że zapłaci dopiero, kiedy się u niej zjawię. Trzeba uważać na małe staruszki - są twarde - czego nie mogę powiedzieć o sobie. Boli mnie dokładnie wszystko. Patrząc w lustro i widząc obcą twarz: spuchnięte usta, posiniaczone policzki, dziwnie płaski nos. Odczuwam też inny rodzaj bólu i nie potrafię dokładnie określić, skąd się on bierze. Zamykam sprawę, ale historia nie jest jeszcze skończona. Będzie trzeba poczekać na postanowienie sądu, a ja nauczyłam się oczekiwać go z rezerwą. Na razie wyglądam przez okno, patrzę sobie na palmy i zastanawiam się, ile jeszcze razy przyjdzie mi tańczyć ze śmiercią, zanim orkiestra spakuje manatki.

Z poważaniem Kinsey Millhone